

BOY

SŁÓWKA

**Wydanie nowe
przedmową i komentarzem
opatrzył
dr Tadeusz Żeleński**

Copyright by **Tower Press**

Wydawnictwo „Tower Press ”
Gdańsk 2001

OD AUTORA

Kiedy nakładca zwrócił się do mnie z tym, że *Słówka* znowu, jak co parę lat, są na wyczerpaniu i że trzeba pomyśleć o ich przedruku, zafrasowałem się nieco. Uczucie to miałem już przy paru ostatnich wydaniach. Miałem świadomość, że trzeba by coś zrobić, coś przewietrzyć, przebrać, przesiał przez sito, że sporo już w tej książeczce jest rzeczy niezrozumiałych dla publiczności. Ale po namyśle zmieniłem zamiar. Niech zostanie wszystko, jak było: właśnie takie *Słówka*, jak są, mogą być dokumentem chwili, miejsca i okoliczności, które je wydały i od których nie da się ich oderwać. Raczej należałoby opatrzyć rzecz jakimś komentarzem, mniej lub więcej historycznym. Tak szybko życie nasze zmienia się dziś w historię... Sposobność nastęrcza się bodaj i dlatego, że wydanie niniejsze schodzi się z d a t ą j u b i l e u s z o w ą, a wszak jubileusze to moja słabość. W jesieni 1930 upłynęło dwadzieścia pięć lat od powstania „Zielonego Balonika”. Wprawdzie *Słówka*, to nie „Zielony Balonik” – w każdym razie nie całe *Słówka* – ale geneza ich jest ściśle z tą wesołą instytucją związana.

Kusiłoby mnie tu napisać monografię tego pierwszego „kabaretu” artystów, ale na to nie starczy miejsca. Trzeba by wprzód podjąć to, co – bardzo szkicowo, co prawda – czyniłem¹ gdzie indziej: podmalować tło dawnego Krakowa, tej jedynej w swoim rodzaju maleńkiej stolicy; pokazać te stare mury, te wąskie ulice, jesienią i zimą tonące w lepkiem błocie, licho oświetlone, wczesnym wieczorem puste, bez ruchu, nie dające żadnej stawy młodzieńczemu głodowi wrażeń; nabożeństwa majowe i pasterki w mrocznych, przesyconych zapachem kadzideł kościołach jako surogat erotycznych przeżyć; dewocje, sodalicje, sutanny, św. Wincenty à Paulo, matrony o tłustych lub kościstych rękach, czarne mantyle, dobrotliwe hrabiny z ich cudzoziemską polszczyzną, a często polską francuszczyzną, wędnące pannice w oczekiwaniu na męża, latami oprowadzane przez matki „po Plantach”; obchody, pogrzeby, linia A–B, lejtnanci, handelki, pilzner i bryndza, bryndza, bryndza...

W tym historycznym mieście wszystko było historyczne. Gdy w Warszawie wrzała walka około pozytywizmu i postępu, w Krakowie terenem jej były retrospektywne spory o rok 1863. Na obchody jedni kładli kontusze, drudzy przeciwstawiali im czamary. Gdy w kościele ci intonowali *Boże, coś Polskę*, tamci przekrzykiwali ich śpiewem *Z dymem pożarów*. Ale nam, malcom, wszyscy kazali śpiewać „Przy Cesarzu mile włada Cesarzowa pełna łask...”

Mówię tu oczywiście o bardzo dawnym Krakowie, z epoki mojej ławy szkolnej; a mówię o nim dlatego, że ta rozpaczliwa młodość zaciążyła na całej naszej generacji. Szkoła trzymała nas zresztą jak pod brudnym kloszem, spod którego nie widziało się świata. Nie dawała nic, nawet tego ucisku, który rodzi bunt i mocne podziemne życie. Ot, rośliśmy, młodzi durnie, kując gramatykę i stękając *Ode do młodości*. Jako wyżycie się fizyczne – ślizgawka kilkanaście razy do roku; jako nasycenie romantycznego głodu – przyglądanie się „facetkom” wychodzącym w niedzielę ze mszy u Kapucynów.

Było coś chorowitego w ówczesnym Krakowie, z jego nienaturalnie rozdętą głową na maleńkim korpusie. Można by ówczesny jego symbol widzieć w anachronicznie „hetmańskiej” głowie na małym ciałku hrabiego Stanisława Tarnowskiego, wielokrotnego rektora uniwersytetu i prezesa Akademii. Ten papież dawnego Krakowa trzymał rękę na wszystkim i wszystko nagiął do katechizmu grzecznych dzieci: profesor literatury, który później jeszcze, w epoce

¹ *Brewerie, Ludzie żywi, Plotki, plotki..., Pijane dziecko we mgle, Marzenie i pysk, Słowa cienkie i grube, Znaszli ten kraj?...*

Przybyszewskiego, Wyspiańskiego, Kasprowicza, dąsał się na nich, przeciwstawiając im Rydla; któremu Litka z *Rodziny Połanieckich* wydawała się nie dość dobrze wychowana; który po ukazaniu się tomu poezji Kazimierza Tetmajera pytał w „Przeglądzie Polskim”: „Co by powiedział pan Tetmajer, gdyby ktoś, przejąwszy się jego hasłami, oblał naftą kościół Mariacki i podpalił?”

Zabawna figura, powie ktoś. Ale wówczas to nie było zabawne. Bo koteria, której szczytowym punktem był „Szlak” (pałac Tarnowskiego), skupiała całkowitą i bezwzględną władzę. Miała nieoficjalny wpływ na „rząd”, którego każdorazowy „delegat” był na jej usługi; obsadzała urzędy starostów; miała mandaty poselskie dzięki systemowi kurialnemu; miała w ręku Wydział Krajowy i Radę Szkolną; kler i banki; „Floriankę” i „Zachętę”; miała wpływ na wszystkie instytucje, obsadzała swoimi ludźmi uniwersytet, trzymała za łeb Akademię i wszystko, co się z nią wiązało w postaci nagród, stypendiów, podróży. Dla grzecznych dzieci były wszystkie ciasteczka, krnąbrnym, groził absolutny post.

Dodajmy do tego osobisty *prestige* tej kasty. W maleńkim Krakowie, który w epoce, gdy ja chodziłem do szkół, miał mało co ponad 50 000 mieszkańców, nie było przemysłu, handlu, finansów; nie było nic, co by się mogło przeciwstawić tej sile społecznej. „Arystokracja” – często dość samozwańcza – była zarazem plutokracją w tym ubożuchnym mieście; ona bywała za granicą, znała świat, miała powozy, strojne kobiety, salony. Miała w swoich najlepszych egzemplarzach rzetelną kulturę; ich malował Matejko, im przygrywała księżna Czartoryska, uczennica Szopena, ich bawił dowcipem znakomity Kazimierz Morawski, dla nich błaznował niewysłowny ksiądz Pawlicki. Tak więc kasta ta miała wszystkie środki władania duszami i nigdy może władza nie była tak kompletna. Bo cóż mogło przeciwstawić tylu splendorom zahukane „miasto”? Chyba pocieszną bałuczyznę swoich „domów otwartych”...

Nie chcę tu popełniać niesprawiedliwości. Bardzo być może, że ówczesny Kraków nie byłby się mógł zdobyć na nic innego i że byłby jeszcze mizerniejszą miejsciną bez tej „śmietanki”, w której pływało zresztą kilkunastu istotnie wartościowych ludzi. Ale faktem jest, że ta przewaga, w połączeniu z wpływami Tow. Jezusowego, zanurzała ów dawny Kraków w letniej wodzie „dobrze myślącej” martwoty. To była epoka, w której dosłownie nie było młodzieży, w której dwudziestoparoletni ludzie byli rozsądni, ograniczeni i – mierni.

To wszystko trzeba by pokazać. Trzeba by dalej w owym szkicu nakreślić, jak w owej martwocie zbudziło się nowe życie: jak wtargnęło w ten cichy pański folwarczek, jak nastąpiła nagle doba „renesansu”, jak nagle Kraków stał się miastem, na które zwróciły się oczy całej Polski. Teatr, malarstwo, rzeźba, literatura, polityka, cyganeria... Szczęśliwym zbiegiem zeszło się kilka faktów, spotkało się kilka indywidualności. Otwarcie nowego teatru, Pawlikowski. Przemiany w szkole sztuk pięknych i napływ nowych sił (zwłaszcza Stanisławski); przyjazd Przybyszewskiego w momencie przesilenia w założonym przez Ludwika Szczepańskiego i Gabriellę Zapolską „Życiu”; wreszcie Wyspiański. Z drugiej strony, na innej płaszczyźnie, działały się znamienne rzeczy: pierwsze procesy polityczne młodzieży o socjalizm (a także „o symbolizm i dekadentyzm, i inne prądy wywrotowe”, jak brzmiał w jednym takim procesie prokuratorski akt oskarżenia), potem Daszyński, młody walczący socjalizm, odświeżający stęchliznę galicyjskiej polityki. Zarazem coraz gęściej napływał do Krakowa element młodzieży zmuszonej opuszczać Warszawę, co – zwłaszcza w r. 1905 – stało się masowym zjawiskiem.

Rzecz osobliwa: właśnie w tym dramatycznym roku 1905 powstał „Zielony Balonik”. Przypadek? Nie sądzę. Mimo że wyda się to paradoksem, bardzo być może, że właśnie ów dreszcz, jaki wzniciły wypadki warszawskie, spowodował tę nieoczekiwaną reakcję. *Blut ist ein ganz besondrer Saft*, jak powiada Goethe. Jedna tylko istnieje rzecz stała: energia; natomiast transmisje jej i wędrówki podlegają najosobliwszym kaprysom.

„Zielony Balonik” był „kropką nad *i*” przeobrażenia starego Krakowa; był niby ową małą

farsą, jaką niegdyś w dawnym teatrze dawano po pięcioaktowej dramie. Czerpał soki z wszystkich owych spraw, które się rozegrały w artystycznym świątku Krakowa w poprzedzającym go dziesięcioleciu.

Znamienną rzeczą jest, że „Zielony Balonik” był pierwotnie pochodzenia malarskiego raczej niż literackiego, narodził się przy „stoliku malarskim” w kawiarence opodal Akademii Sztuk Pięknych. Bo też przemiana, która się dokonała w świecie malarskim, była najbardziej dotykalna. Przedtem, na schyłku życia Matejki, panował w tej uczelni malarskiej też swojego rodzaju terror, terror genialnej, ale zamkniętej w sobie indywidualności. Gdy z Zachodu szły już nowinki o „plenerze”, słońcu, impresjonizmie, w szkole były wciąż gipsy i draperie, i historyczne „kobyły” epigonów Matejki. Ci, którzy rwali się do pejzażu, do natury, kryć się niemal musieli przed Mistrzem. Naraz – zupełna zmiana. Słońce i powietrze w miejsce brudnych pracownianych „sosów”; zamiast Monachium – Paryż, koleżeńska swoboda zamiast dystansu i respektu.

Paryż! To czarodziejskie miasto coraz bardziej stawało się wówczas celem tęsknot. Przedtem, gdy malarze jeździli nagminnie do Monachium, intelektualiści wędrowali do Lipska, do Berlina, do Heidelberga. Bohater Kisielewskiego *W sieci* marzy o... Zurychu, ale sam Kisielewski w parę lat potem przybywa do Krakowa już z Paryża. Coraz więcej młodych tam śpieszy. Czy nie z Paryża, tego buntowniczego miasta, powiała na Kraków szczęśliwa fala nieusznanowania?

Tak powstał „Zielony Balonik”. Nie będę tu powtarzał tego, co gdzie indziej opowiadano o organizacji tego „kabaretu” i jego dość nielicznych zresztą manifestacjach, które w ciągu kilku lat odbywały się, zachowując charakter raczej towarzyski niż widowiskowy. Nie było tam właściwie ścisłego rozdziału między estradą a salą, między dostawcami a odbiorcami zabawy; piosenkarz bywał nieraz redaktorem intencji całej grupy. Gdyby obecny jubileusz „Zielonego Balonika” mógł zgromadzić wszystkich jego weteranów, zasiadłoby u stołu kilku dzisiejszych dyrektorów teatru, kilku czołowych publicystów, sporo wybitnych ludzi w różnym zakresie, no i zatrząsienie tęgich malarzy i rzeźbiarzy, dziś profesorów, rektorów, laureatów. Ta mała, setkę osób zaledwie licząca salka „Jamy Michalikowej” była naładowana elektrycznością. Było coś radosnego w tej maleńkiej biesiadzie wszystkich sztuk, w tym misterium duchowej wolności, było jakieś zbawcze odprężenie dziesiątków lat zakrzepłej żałoby, frazesu, celebry, załgania. Toteż ten wybuch śmiechu, jaki poszedł na całą Polskę, miał energię większą, niżby pozwalał wnosić drobny krąg zdarzeń, z których się urodził. Bo oto minęło ćwierć wieku, a wciąż jeszcze zdaje się, że to ten nabój śmiechu raz po raz eksploduje. Ile i jak oddziaływał na formy naszego nowego życia, nie moją rzeczą robić tego bilans; może bardziej, niż się niejednemu buchalterowi literatury wydaje.

I „Balonik” nie uniknął wszakże tego losu, który groził wszelkim krakowskim poczynaniom: znów ta duża głowa na małym tułowiu! Wszystko można było w Krakowie zmienić, ale nie to, aby przestał być małym, zabiedzonym miasteczkiem, w którym się „nic nie działo”. Mieliliśmy ostre zęby, nie bardzo mieliśmy co gryźć. Ówczesne życie galicyjskie było tak mizerne... To, co było w sferze teatru, sztuki, literatury, ogryźliśmy do kostki. Zbiorowy a bezinteresowny wysiłek zmontowania – na raz jeden, bo każdy wieczór był tam premierą! – nowego programu przychodził organizatorom coraz ciężej, wieczory „Balonika” stawały się co rok rzadsze.

Co do mnie, odczuwałem to bardzo dotkliwie. Miałem już trzydziestkę, kiedy zabłąkałem się do „Balonika”; byłem od lat kilku lekarzem, asystentem kliniki, mordowałem się nad pracą habilitacyjną, jako że szanujący się człowiek nie mógł zostać w Krakowie czym innym jak profesorem uniwersytetu. Gdyby nie „Balonik”, męczyłbym się z pewnością całe życie w fałszywie obranym zawodzie, nigdy nie dowiedziałbym się o swym istotnym powołaniu. Ale od czasu, jak mnie ono nawiedziło, męczyłem się inaczej. Byłem jak mamka, która ma za dużo pokarmu. Wstrzymany tak długo zmysł pisania rozpierał mnie; skąpe okazje wieczorów

„Balonika” nie zaspokajały go, pisać zaś wiersze tak, bez okazji, jakoś mi było głupio. Stary koń, lekarz, asystent kliniki... To mnie pchnęło w dwóch kierunkach. Z jednej strony instynktem samozachowawczym zwróciłem się ku przekładom, które zaspakajały bodaj formalną potrzebę tworzenia. Polski Molier, Villon, Rabelais wyszli najzupełniej z ducha „Zielonego Balonika”. Z drugiej strony zaczęły się lęgnąć we mnie wiersze jakieś inne, bardziej osobiste, których wydawanie na świat połączone było z pogwałceniem wrodzonej mi wstydlivosti ducha. To są te inne *Słówka*, nie kabaretowe, zabłąkane tu między innymi, zahukane i cokolwiek onieśmiałone tym towarzystwem. Mało też kto je zauważył... Ale to uczucie zawstydzenia stawało mi się coraz bardziej przykre, tak że w końcu zacząłem się bronić tym napadom. Niebawem przemiana warunków naszego życia otworzyła nowe możliwości i dała mi możliwość wypowiedzania się w sposób nie tak upokarzający, jak pisanie wierszy. *Słówka* się skończyły.

Poza tym nie wydaje mi się, abym się odmienił zbytnio. Sposób, w jaki tymi *Słówkami* ćwierć wieku temu na ciemnym rogu ulicy Floriańskiej poznałem się z literaturą, wycisnął piętno na całej mojej karierze literackiej. Jak wówczas, tak i dziś jeszcze wszystko wydaje mi się w niej zabawną i niespodzianą przygodą. I tak samo, jak po pierwszym tomie moich wierszyków czytałem w pierwszej w ogóle, jaką miałem w życiu, „recenzji” takie dusery, jak „znikczemniały drab” – „zwyrodniały głuptas” – „szarganie świętości”, tak samo czytuję mniej więcej to samo i dziś. Tylko już za co innego: *Słówka* stały się tymczasem nietykalne, czcigodne, weszły niemal w program szkolny. Niechże ten krótki komentarz naukowy posłuży kochanym malcom, pocąjąc się nad wypracowaniem: „*Słówka*” *Boya na tle epoki*, albo: *Krzywa humoru Boya na zasadzie chronologii „Słówek”*.

Nie poprzestając na tym ogólnym komentarzu, umieściłem na końcu tomu przypisy z objaśnieniem zawilszych miejsc tekstu. Nie taję, iż sporządzenie tych przypisów nie przyszło mi bez trudności; wielokrotnie dawał mi się we znaki mój niedostatek metody naukowej. Staralem się robić jak najlepiej; jako niedościgły wzór przyświecał mi ów znakomity profesor-polonista, który (kilkanaście lat temu) w „krytycznym” wydaniu dzieł Słowackiego wiersz z *Grobu Agamemnona* „*tu cząbry smutne gór spalonych pachną*” opatrzył następującym objaśnieniem: „Comber – pieczeń sarnia lub cielęca”. Było z tego dużo śmiechu; ostatecznie trzeba było wycofać tom z obiegu i przedrukować kartkę. Temu to królowi mimowolnych humorystów naukowych niniejsze pierwsze „krytyczne” wydanie *Słówek* poświęcam.

Warszawa, grudzień 1930.

Różne wierszyki

SŁÓWKA

Gdy coś mnie nadto wzruszy
Lub serce mi podrażni,
Chowam się po uszy
Do swojej wyobraźni.

Tam o kaździutkiej porze
Schronienie mam zaciszne,
Gdzie myśl wyprawiać może
Przeróżne rzeczy śmieszne.

Miał czerpać próżną chwałę
W tym, że jak z książki gada,
W głupiutkie słówka małe
Calutka się rozpada.

Te słówka mi uciechy
Sprawiają nieraz mnóstwo,
Lubię ich puste śmiechy
I ducha ich ubóstwo.

Jak błazenkowie mali
Słówko się z słówkiem cacka,
To jęzor mu wywali,
To szczyplnie je zniecka.

Jedno przez drugie hasa
Wydając kwik wesoły
Niby dzieciaków masa,
Gdy wyrwie się ze szkoły.

Jednemu w tej pogoni
Pąsem nabiegną lice,
Gdy żywszy ruch odsłoni
Młodziutkich płci różnice;

Inne, troszeczkę z boku,
Przystanie gdzieś nieśmiele
I stoi z mgiełką w oku
Jak zadumane ciele;

Te dwa, w pustocie nowej,

Objęły się przyjemnie
I same w rym gotowy
Splatają się beze mnie;

Ja patrzę na niewinne
Figielki miłych dzieciak
I wolę niżli inne
Ten mały własny świątek...

O BARDZO NIEGRZECZNEJ LITERATURZE POLSKIEJ I JEJ STRAPIONEJ CIOTCE

J. E. Prof. Dr Hr. St. Tarnowskiemu poświęcam

I

Pełna gracji, zacna, słodka,
Żyła sobie stara ciotka.
Bez zbytków, lecz i bez braku
Miała swój domek na Szlaku.
Oprócz cnót rozlicznych wieńca
Hodowała też siostrzeńca.
Brzydki chłopiec, z krzywą buzią,
Zwał się – dajmy na to – Józio.
Ciotka była panną czystą,
A Józio był modernistą.
(Modernista – znaczy chłopak,
Co wszystko robi na opak;
Każdego się głupstwa czepi,
A zawsze chce wiedzieć lepiej.)
Z tym smarkaczem ciotka stara
Miała strapięń co niemiara.
Zawsze jej czymś umiał dopiec,
Taki już był brzydki chłopiec.
Próżno ciotka mu wymienia
Albo Lucka, albo Henia,
Co ich przykład wszystkim świeci,
Jako grzecznych, dobrych dzieci;
On rozepcze się wygodnie,
Obie ręce włoży w spodnie,
Śmieje się i kiwa głową,
Jakby mówił: „Gadaj zdrowo!”

II

To rzecz nie do uwierzenia,
Co on ma za przywidzenia!
Czasem coś bez sensu maże
I mówi, że to w i t r a ż e.
To znów wieczór biega nago
I rozbija wszystkich laga.
Ciotka krzyczy: „*Joseph! arrête!*”
A on: „Ciociu, to kabaret!”
Wszystkie meble w domu psuje:
Mówi, że sztukę s t o s u j e.
Wszędzie wlezie, wszędzie dotrze,

Deprawuje dzieci młodsze.
To rzecz w Polsce niesłychana:
Nie chcą wierzyć już w bociana!
Kiedys wpada mała Hanka:
„Ciociu, jestem r o t o m a n k a” –
„Któż cię tak nauczył?!” – „Józio” –
Mówi z rozpaloną buzią.
„A ja – sepleni Ludwiczka –
Jestem święta pla-samiczka”.
Chociaż zwykle dobra, słodka,
Zawyła ze zgrozy ciotka:
Raziła ją na kształt gromu
Taka hańba w polskim domu!

III

Czasem dobra ciotka woła:
„Usiądźcie, dzieci, dokoła,
Powiem wam o dawnych dziejach,
O hetmanach, kaznodziejach,
Potem każde z was wymieni,
Którego najwyżej ceni”.
A Józio ze śmiechu kona
I krzyczy: „Ciociu! Kambrona!”

IV

Czasem, a najwięcej w poście,
Przychodzą do ciotki goście.
„Józio, przywitaj się z panem!
Co ty tam za parawanem?!
Wylaż stamtąd, puść Haneczkę
I powiedz gościom bajeczkę”.
Wylaż Józio, głową kiwa
I w te słowa się odzywa:
„Bajeczka pana Jachowicza.
Staś na sukni zrobił plamę,
Oblał bowiem ponczem mamę;
A widząc ją w srogim gniewie,
Jak przepraszać, sam już nie wie.
«Plama głupstwo – mama doda –
Ale ponczu, ponczu szkoda!»”
Skończył Józio, gość się śmieje,
A ciotkę wnet krew zaleje:
Biedaczka dostała mdłości
I ze wstydu, i ze złości.
Tak ten niegodziwy chłopiec
Zawsze ciotce umiał dopiec.

V

Tak się trapi dobra ciotka,
Pełna gracji, zacna, słodka,
Lecz największą ma subiekcję,
Gdy rozpocznie z Józiem lekcję.
Dojdźże ładu z taką głową:
Zawsze ma ostatnie słowo!
Ciotka prawi o *Trzech psalmach*,
Józio o „tańczących palmach”;
Ciotka mu o apostołach,
On jej o spermatozoach;
Ciotka uczy, kto był G a l l u s,
On poprawia: „Ciociu, Phallus!”
Ciotka znów z innego wątku
Baje o świata początku,
Józio się ząb za ząb kłóci,
Że świat cały powstał z CHUCI.
(Mruknie ciotka w pasji szewskiej:
„Wciąż ten łajdak Przybyszewski!”).
Ciotka znów o ideałach –
Józio: „Ciociu, co to wałach?”
Taką ciotka ma subiekcję,
Gdy rozpocznie z Józiem lekcję.

VI

Kiedy wieczór już zapada,
Ciotka do snu się układa:
„Józiu! Zostaw ten rozporek
I chodź odmówić paciorek.
Niech Józio przy łóżku klęknie
I powtarza głośno, pięknie:
«Boziu, usłysz głos chłopczyny,
Odpuść s y n ó w naszych winy!
Polska cię na pomoc woła!
Niech tradycji i Kościoła
Pozostanie sługą wierną!
Erotyzmem ni m o d e r n ą
Niech się naród ten nie spodli!»
Teraz Józio się pomodli
Za mamusię, za tatusia,
Potem grzecznie się wysusia
I spokojnie, cicho zaśnie”.
Brzydki chłopak mruknął: „Właśnie!”

Pisane w r. 1907

ACH! CO ZA PRZEŚLICZNE ABECADŁO!

(Fragment zamierzonego dzieła)

Bb

Barbara się **baw**iała z **bernardynem** **bardzo**,
Lecz że taką zabawą zacni ludzie gardzą,
Teraz każde z osobna winy swoje maże:
Bernardyn **beczy** **Bogu**, a **bęben** **Barbarze**.

Cc

Certował się co nocy z **Cecylią Celestyn**,
Z ilu dań ma się składać ich miłosny festyn;
Dziś błąd swój poniewczasie pojmować zaczyna
Cesia, całując chłodne ciało **Celestyna**.

Dd

Długą **dyskusję** z **durniem dorzeczną Dorota**
Wiodła, co jest ważniejsze, czy miłość, czy cnota;
Tymczasem się ściemniło: gdy weszli rodzice,
W **dłoniach durnia** **dostrzegli Dorotę** **dziewicę**.

Ee

Ekscytowała Edzia **etryczna Emma**,
Iż przewrotnej miłości chce poznać *dilemma*:
Póty się naprzykrzała, aż wreszcie znudzony
Edward ewakuował **Emmy** **edredony**.

DZIADZIO

Raz maleńka Fryderyka
Miała dziadzię tabetyka.
A że stąpał dość niezdarnie,
Dziecię pusty śmiech ogarnie.

„Przestań – rzecze jej na to staruszek łagodnie –
I ja biegałem niegdyś zwawo i swobodnie;
A że mi dziś chodzenie idzie jak po grudzie,
To dlatego, że w pracy żył ciężkiej i trudzie”.

Dobre dziecię, zawstyżone,
Poszło płakać aż na stronę;
Odtąd zawsze w czci głębokiej
Podpierało starca kroki.

Pamiętajcie, drogie dziatki,
Nie żartować z ojca, matki,
Bo paraliż postępowy
Najzacniejsze trafia głowy.

TETRALOGIA Z KAJETU PENSJONARKI

1. STEFANIA

(Powieść psychologiczna)

Kto poznał panią Stefanią,
Ten wołał od innych pań ją.

Coś w niej już takiego było,
Ze popatrzeć na nią miło.

Oczy miała jak bławatki
I na sobie ładne szmatki.

Chociaż to rzecz dosyć trudna,
Zawsze była bardzo schludna.

Aż mówił każdy przechodzień:
„Ta się musi kąpać co dzień”.

Choć męża miała filistra,
W innych rzeczach była bystra.

Jeździła aż do Abacji
Po temat do konwersacji.

Prócz tego natura szczodra
Dała jej b. ładne biodra.

Raz ją poznał jeden malarz,
Który często pijał alasz.

Jak ją zobaczył na fiksie,
Zaraz w niej zakochał w mig się.

Miała w uszach wielki topaz
I była wycięta po pas.

Przedtem widział różne panie,
Ale zawsze bardzo tanie.

I do swego interesu
Miały dosyć podłe desu.

Strasznie się zapalił do niej,
Wszędzie za Stefanią goni.

Miał kolorową koszulę
I przemawiał bardzo czule.

Żeby dała mu natchnienie.
Ale ona mówi, że nie.

Że umi kochać bez granic,
Ale to tyż było na nic.

Potem jej mówił na raucie:
„Dałbym życie, żebym miał cię”.

Jak zobaczył, że nie sposób,
Poszedł znów do tamtych osób.

Ale już zaraz za bramą
Mówił, że to nie to samo.

Takiej dostał dziwnej manii,
Że chciał tylko od Stefanii.

Bo to zawsze jest najgłupsze,
Kiedy się kto przy czym uprze.

Mówili mu przyjaciele:
„Czemu jesteś takie ciele?”

Z kobietami trzeba twardo,
A nie cackać się z pulardą”.

Więc jej zaczął szarpać suknie:
A ta jak na niego fuknie.

Wtedy całkiem stracił humor
I upijał się na umor.

Potem do Stefanii lubej
List napisał dosyć gruby.

Że to będzie znakomicie,
Jak sobie odbierze życie.

A ona myślała chytrze:
„To by było nie najbrzydsze”.

Lecz jak przyszło co do czego,
Jakoś nic nie było z tego.

Potem znowu za lat kilka
Przyszła na nią taka chwilka.

I myślała, czy to warto
Było być taką upartą.

Lecz tymczasem mu wychłódło,
Bo już była stare pudło.

Tak to ludzie trwonią lata,
Że nie są jak brat dla brata.

Z tym największy jest ambaras,
Żeby dwoje chciało naraz.

2. ERNESTYNKA (Powieść obyczajowa)

Druga znów była dziewczynka,
A zwała się Ernestynka.
Jeden miała smutek wielki,
Bo ojciec robił serdelki.
A przeciwnie, za to ona
Była bardzo wykształcona.
Wciąż czytała, co się zmieści,
Śliczne francuskie powieści.
Mówili o niej bógwico,
Że jest tylko półdziewicą.
Nie każda jest taka święta,
Żeby zaraz mieć bliźnięta.
Raz ją ojciec przez to złapał,
Bo jej narzeczony chrapał.
Straszny krzyk się zrobił w domu,
Że tak czynią po kryjomu.
Każdy wrzeszczał o czym innym,
Jak zwykle w życiu rodzinnym.
Ojciec najgorsze wyrazy
Powtarzał po kilka razy.
Ona płakała cichutko,
Bo ją przy tym kopnął w udko.
A potem jeszcze jej ostro
Zakazał bawić się z siostrą,
Że się taka sama świnka
Zrobi jak ta Ernestynka.
Z książkami też była heca:
Wszystkie powrzucał do pieca,
Choć sam nie wiedział, dlaczego,
Co ma jedno do drugiego.

W końcu ustały te krzyki,
Poszedł rano do fabryki.
Na co człowiek się naraża,
Kiedy ojca ma masarza.

3. FRANIO

(Powieść dydaktyczna)

Franio był to chłopiec mały,
Ale był bardzo nieśmiały,
Lubił widzieć u siostrzyczki,
Kiedy zdejmuje spódniczki.
Zaraz robił się niebieski
I w oczach miał rzewne łezki.
Aż mówiła dobra niania:
„Żeby szlag nie trafił Frania”.
Albo się w kąpielu śmiała:
„Tobie by się żona zdała”.
A on patrzył, przestraszony,
Bo nie był uświadomiony.
Naradził się Tato z Mamą,
I Babunia też to samo,
Że to już ostatnia pora
Zawieźć Frania do doktora.
Doktor zaraz wziął trzy ruble
I kazał go moczyć w kuble.
Powiedział, że to dziedziczne
Cierpienie psychofizyczne.
I że mu to przejdzie z wiekiem,
Jak będzie dużym człowiekiem.

Złe sobie daje świadectwo,
Gdy kto wyszydza kalectwo.

4. LUDMIŁA

(Powieść fantastyczna)

Inna znów dziewczynka była,
A wołali ją Ludmiła.
Mimo dość tłustego cielska
Była bardzo marzycielska.
Często śniło się jej w nocy,
Że ją Rycerz miał w swej mocy,
A ona z wielką ochotą
Uwieńczyła go swą cnotą
I w sympatii doń miotała
Duże kształty swego ciała.
Nikt na palcach nie policzy,

Ile miała z tym słodczy.
Jednej nocy, bawiac wspólnie,
Rycerz czuły był szczególnie.
Ciagle mówił: „Ach! Ludmiło!”
(Niby tak się to jej śniło.)
Wciąż mężniej sobie poczynał,
Aż łóżko wpadło w Urynał.

Oto jak nas, biednych ludzi,
Rzeczywistość ze snu budzi.

Z NASTROJÓW WIOSENNYCH

Nie masz nic miłszego ponad
Ciągący żeński pensjonat.

Sunie sznurkiem przez plantacje,
W ciszy, z wolna, uroczyście –
Zielono, pachną akacje,
Słońce gzi się poprzez liście – –

Ciągnie podwójny sznureczek
Takich przemiłych owieczek.

Cieplutko, wiosna, południe,
Ławeczka, próżniactwo boskie,
Myśli rozigrane cudnie
W jakieś koziołki szelmoskie – –

Idą: duża, mniejsza, mała,
Kobiecości gama cała.

Ptaszek ćwierka gdzieś tam z góry
Swoich liryk „pierwszą serię”,
Zapoznanych serc tortury
I celibatu mizerie – –

Pod kapotką granatową
Rysuje się to i owo.

„W rytm melodii jakiejś sennej
Kołyszą się stare drzewa,
Płynie falą dech wiosenny,
W sercu puka coś, coś śpiewa – –”

Ta mała mogłaby troszkę
Obciągnąć sobie pończoszkę...

Jakiś czar nie znany jeszcze,
Jakieś czucia wiotkie, śliczne –
Jakieś dziwne w piersiach dreszcze,
Pan i pani-teistyczne – –

.....
Czy to nie znaczy przypadkiem,
Że czas mi już zostać dziadkiem?...

NASZYM HYMENOGRAFOMANOM

Literacki nasz ogródek
Pachnie wśród księgarskich półek
Wonią mirtów, niezabudek
I przeróżnych innych ziółek.

Te inspekta czyste, ładne,
Co od rosy lśnią porannej,
To królestwo samowładne
Legendarnej polskiej panny.

Dla Niej, dla tej jasnej wróżki,
Nasi geniusze się trują,
Aby mogła do poduszki
Ubrać się w poezję – cudzą.

Przez nią, za nią, dla Niej, od Niej
Wszystko bierze swój początek,
Od HYMENU jej „pochodni”
Natchnień się rozpala wątek.

W prochu wielbi nasza małość
Dziewiczości Arcy-statut:
Panieńskiego... wdzięczku całość,
To najwyższy Stwórcy atut!

Póki tej ozdoby swojej
Nie uroni dumna Polka,
Póty małe czółko stroi
Wszechpotęgi aureolka;

Tłumów, co jej zebrzą łaski,
Brzmi w powiastkach naszych lament,
Tak czarowne rzuca blaski
Anatomii cenny diament;

Gdzie otworzyć, tam się miele
Jedną życia wciąż zawilość:
Jak i kiedy polskie ciele
Swojskiej gęsi zyska miłość...

Musisz poznać naszej Czystej
Papę, mamę, cały dom jej,
W końcu służyć do asysty
Przy niewinnej tej sodomii.

Lecz gdy klejnot swój postrada,
Pożegnajmy się z nią smutni;
Ach, po trzykroć takiej biada,
Zmarła już dla polskiej lutni!

Wszystko pierzchło, wszystko znikło,
Jakby trumnę już zabito:
Idzie życia ścieżką zwykłą
Już w kompletnym inkognito.

Co wyrośnie z małej gąski,
Która z tak krzykliwą pychą
Wpływa w życia strumyk wąski,
O tym w naszych księgach cicho;

Nasi piewcy idealni
Ignorują światek ciasny,
Co się kręci wśród sypialni,
Czasem cudzej, czasem własnej...

Gdy już hukną wielkim głosem:
„Zdrowie zacnej młodej pary!”
Któż by się tam troszczył losem.
Krajowej Madam Bovary...

Rzucona z takim hałasem,
Jak tam płacze się zagadka?...
Jakieś echa tylko czasem
Nas dochodzą: żona... matka...

Aż po lat przydługiej serii
Znowu ją sadowią na tron,
Gdzie ozdobą jest galerii
Legendarnych polskich matron.

Pisane w r. 1908

LITANIA KU CZCI P. T. MATRONY KRAKOWSKIEJ

Inwokacja

Dostojna Pani! Sporo lat już mija, jak słucham potulnie i cierpliwie potoków Twojej wymowy; racz więc przymknąć teraz na chwilę Twe słodkie usteczka i pozwól mi przemówić, a postaram się – w przeciwieństwie do Ciebie, Pani – być zwięzłym i treściwym.

O ty, polskiej ziemi chwało,
Ty, postaci wółmonarsza,
Ty, czcigodna, nazbyt mało
Opiewana „damo starsza”;

Ty, co z głębin swej kanapy
Wychylając kibić tłustą,
Brzydkie swe nadstawiasz łapy
Przerażonym naszym ustom;

Ty, co z dostojeństwem w twarzy
Dźwigasz swe potworne kłęby,
O których *Lustmörder* marzy
Szczercząc zakrwawione zęby;

I ty, uroczysta klepo,
W swojej wiecznej sukni bordo,
Ze swą beznadziejnie tępą –
Powiedzmy otwarcie – morda;

Ty, orędowniczko dzielna
Uciśnionej polskiej nacji,
Arcykapłanko naczelna
Naszej starobabokracji;

Ty, co w „Piątki” lub „Soboty”
Polskich dusz sprawujesz rządy,
Starodawne wskrzeszasz cnoty
A druzgocesz „nowe prądy”;

Co na fiksach i na rautach,
I na dobroczynnej sesji
Pytlujesz o pruskich gwałtach,
O „modernie” i secesji;

Ty, co wszelkich zadań bytu
W mig rozcinasz każdy problem,
Gdy człek myśli, jakim by tu

Zamknąć babie gębę skoblem;

Ty, strącona z Łysej Góry
W salonu fałszywy „ampir”,
Gdzie nas bierzesz na tortury
I krew nudą ssiesz jak wampir;

Ty, co głupoty powagą
Najmądrzejszych wodzisz za łby;
Ty, którą po śniegu nago
Człowiek bez litości gnałby;

Ty, elokwencji patoko,
Coś jest wiecznych sporów źródłem,
Czy cię nazwać starą kwoką,
Czy też raczej starym pudłem;

Ty, co gorzko winisz męża
O prozaizm i codzienność,
Gdy twa energia zwycięża
Nazbyt rzadko jego senność;

I ty, której czujność tępi
Młodych wzruszeń powab czysty,
A co w Tomaszu à Kempy
Dawnych gachów chowasz listy;

Ty, co zdarłszy z siebie płótna
Oglądasz się w lustrze całą
I wzdychasz, ropucho smutna:
„On tak lubił moje ciało...”

Ty, obrazie więdmy starej,
Wydarty ze sztychów Goyi –
Powiedz mi: przez jakie czary
Jęczymy w niewoli twojej?

Z jakim czartowskim blekotem
Omamienie na nas padło,
Ze czynimy czci przedmiotem
Szpetność, głupotę i sadło?

Przez jakie dziwne kuriozum
Tłuszcz bierzemy za charakter,
Pustą grzechotkę za rozum,
A za obraz cnót – k l i m a k t e r?

Za co stwór podeszły wiekiem,

Co kobietą być już przestał,
A nigdy nie był człowiekiem,
Windujemy na piedestał???

Próżne gniewy, próżne męstwo,
Nie nadeszła chwila jeszcze –
Nazbyt silnie czarnoksiężstwo
Ściska nas w potworne kleszcze;

Coraz ciaśniej, coraz duszniej,
Coraz bardziej smutni, słabi,
W takt kręcimy się, posłuszni,
Jak nam zagra chochoł babi;

I tylko w tęsknocie żyjem,
Czy nie wstanie jaki Wandal,
Co przepędzi babę kijem
I zakończy raz ten skandal!...

Pisane w r. 1908

JAK WYGLĄDA NIEDZIELA OGLĄDANA PRZEZ OKULARY JANA LEMAŃSKIEGO

By uniknąć ambarasu,
Wzięto rok za miarę czasu.

Dziela go (bardzo wygodnie)
Na miesiące i tygodnie.

Tydzień znów z grubsza podziela
Na zwykłe dni i Niedzielę.

Do pracy są zwykłe dzionki,
A Niedziela dla małżonki.

W ten dzień by największa ciura
Wyzwolona jest od biura.

Każdy ze swoją niewiastą
Rad wybiera się za miasto.

Podaj ramię magnifice
I jazda z nią na ulicę.

Oczywista, że i dziatki
Spieszą obok swego tatki.

Przodem Maryjka, a za nią
Klementynka, Brzuś i Franio.

W ciągu milej tej podróży
Człowiek trochę się zakurzy.

Szkoda nowej sukni w groszki:
Szukaj, mężusiu, dorożki.

Każda, jak to zwykle w święta,
Odpowiada ci: „Zajęta”.

Żona ci wypruwa flaki:
„BO TY ZAWSZE JESTEŚ TAKI”.

Ożywiona tą gawędką,
Droga mija dosyć prędko.

Szczęściem wzbiera miejskie łono,
Gdy trawkę widzi zieloną.

Już was tylko przestrzeń krótka
Oddziela od piwogródka.

Ale kto ma liczną dziatwę,
Nic mu w życiu nie jest łatwe.

Franio się przestraszył gęsi,
A Maryjka woła: „ęsi”.

Brzusiowi pot spływa z czoła
I co gorsza, nic nie woła.

Wszystko mija, więc szczęśliwie
Siedzicie wreszcie przy piwie.

Miło słyszeć jest *Traviatę*
W wykonaniu firmy Pathé.

Kiedy człowiek sobie podje,
Dziwnie tkliw jest na melodie.

Ogryzając z kurcząt kości
Nucisz „Za zdrowie miłości...”

Ocieżałym nieco krokiem
Wracasz do dom późnym zmrokiem.

Teraz wielka pantomina:
Do snu kładzie się rodzina.

Najpierw Maryjka, a za nią
Klementynka, Brzuś i Franio.

Patrzysz łakomie, jak żona
Rozdziewa pierś i ramiona.

Słońce, wieś, *Traviata*, piwo,
Myśli płyną ci leniwo.

A finał ekskursji całej:
Nowy bąk za trzy kwartały.

DUSZA POETY

Scena estradowa

Sala przyćmiona. Scenka oświetlona seledynowym światłem. Na kanapie leży poeta i chrapie, od czasu do czasu mu się odbija. Na podłodze stoi miednica. Akompaniament gra bardzo delikatnie ustęp z „Karnawału” Schumanna pt. „Chopin”. Z ciała poety wychodzi jego dusza w kształcie powabnej postaci niewieściej, odzianej w powłóczyście gazy, i tak żali się przed publicznością:

Usnął. Usypia. Jeszcze chwila jedna,
A już polecę, na krótko, niestety!
Ulecę w przestrzeń, ja, skazanka biedna,
Dusza poety...

Ha! Jakaż dola! Potęgą nieznaną
Na wiek wtrącona w to leniwe cielsko,
Więzić w nim muszę mą niepokalaną
Glorię anielską...

Jedno wytchnienie to, gdy sen go zmorzy
Lub gdy z opilstwa legnie jak trup blady,
A mnie porywa wówczas wichur boży
Hen, w gwiazd miriady...

Kto nas sprzął razem? Po co? W jakim celu?
Za czyje winy? Na pokutę czyją?
Każąc śnić życie jednemu wśród wielu,
Co tylko żyją?...

Po co i na co tłuc mi się daremnie
W tej biednej piersi, ach, nazbyt człowieczej,
Tchnąc w nią niepokój tej, co mieszka we mnie,
Ogromnej rzeczy?...

Za co mi cierpieć, jak w godzinie męki,
Którą śmie nazwać godziną t w o r z e n i a?
Plami dotknięciem swej kosmatej ręki
Mój świat marzenia...

Za co mi patrzeć, jak pomiędzy gminem
W mój blask się stroi, mą boskością puszy,
Jak się bezecnym staje kabotynem
Swej własnej duszy?...

A znowu, kiedy nań się wzajem patrzę,
Jak go szaleństwo mych skrzydeł urzekło,
By go przez wzruszeń sensacje najrzadsze
Gnać w zwątpień piekło;

Gdy widzę, w jaką kaźń się wprzega srogą,
Aby się czepić by za kraj mej szaty,
Żal mi nędzarza, co płaci tak drogo
Bilet w zaświaty...

Jam winna temu, że w odmęcie grzechu
Melodii szuka dla swej biednej pieśni,
Klnąc los swój, iż mej harmonii oddechu
Nie ucieleśni...

Poeta wydaje dźwięk przeciągły a podejrzany.

Jam winna temu, że to, co zamarło
W człowieczej piersi z odwiecznych zrozumień,
Próbuje wskrzesić lejąc w spiekle gardło
Żytniówki strumień...

Poecie haniebnie się odbija.

Ja go w sromotne pędzę lupanary,
Rwąc się ku piękna wiecznego świątyni,
I patrzeć muszę, na domiar mej kary,
Co on tam czyni...

Poeta oblizuje się przez sen.

I jedno tylko pragnienie tajemne,
I jedno tylko przyświeca mi hasło:
Rozżarzać tchem mym to płomień nikczemne,
By rychlej zgasło...

I czekam, marzeń nić snując leciuchną,
I pytam z drzeniem co chwilę, azaliż
Nie przyjdzie moment wreszcie, że to próchno
Zmiecie paraliz?...

Wówczas skrzydłami zatrzepocę i nad
Ziemskie padoły zapieję radością,
Że już się skończył śmieszny konkubinac
Prochu z wiecznością!...

Poeta chrapie przeciągle i przewraca się na drugi bok, wypinając się ku publiczności gestem mimo woli i niewinnie prowokacyjnym.

Pisane w r. 1913

KŁOSKI

Utwór dydaktyczny

Nie wiem, czy to lat mych skutek,
Czy mi co innego wadzi,
Dość, że coraz częściej smutek
Na mym czole się gromadzi.

Taki smutek jakiś mętny,
Potocznie mówiąc „kosmiczny”,
Jakiś dziwnie beznamiętny,
Jakiś ultraplatoniczny...

Myśli coraz wstecz mi biega
Ogarniając życia całość,
Tak się płaczą wkoło niego
W jakąś mglistą, głupią żalność...

Coraz częściej roję o niem,
Dumam nad jego „urodą” –
Gdybym nie był starym koniem,
Myślałbym, że umrę młodo...

Jakoś mi się zaproszyły
Świadomości mej organy
I na świat ten, piękny, miły,
Patrzę wpół jak zabłąkany;

Po ziemi patrzę, po niebie,
Po zielonych łąk kobiercu
I coś szepczę sam do siebie,
I coś mnie tak pika w sercu...

Kiedy ulubionej mojej
Spazmatycznie ściskam zebra,
Naraz w głowie mi się troi:
Co ma znaczyć ta algebra?...

Gdzie ma sens swój to zrównanie,
W którym znaczków gramy rolę,
My w prabytu oceanie
Biedne oka na rosole?...

Tak raz szedłem sobie miedzą
Wśród łąków pszenicy żrącej,
Której kłosa nic nie wiedzą,
Co to ludzkie komunały.

Jak im Bóg przykazał, rosna,
Ot, bez próżnego hałasu,
Kielkują skwapliwie z wiosną,
Aby wydać plon zawczasu.

Nic nie dbając, co je czeka,
Dojrzewają wnet, a potem
W łakome kiszki człowieka
Pchają się chlebusiem złotym.

Wchodzą w nie, wychodzą, ano
Znów wracają z przyszłym rokiem,
Znów się złocą w cudne rano
Pod słoneczka czujnym okiem.

I żal chwycił mnie ogromny,
I w sercu stałem się cichy,
I uczułem się tak skromny
Jak ten ziemny kłosek lichy;

I w dumy mojej pogrzebie,
Nazbyt późno zrozumiałem,
Że żyć trzeba, ot, przed siebie,
Nie szukając dziur na całym;

Że w bytu poczuciu zdrowym
Każdy twór swe lokum znajdzie:
Choć raz tym jest, a raz owym,
W końcu, gdzie potrzeba, zajdzie;

Więc notuję me wrażenia,
Może gdzieś, za lat choć trzysta,
Z mojego tu doświadczenia
Kto inny bodaj skorzysta...

Pisane w r. 1913

UWIEDZIONA

Dialog (!) sceniczny

Osoby:

ONA, piękna, wykształcona i ozdobnie mówiąca.

ON, naturalnej wielkości, wypchany, wszelako uzdolniony do wykonywania pewnej ilości automatycznych poruszeń.

Siedzą obok siebie na kanapce buduaru; za sceną akompaniament gra cichutko jakiegoś marzącego walca.

Ona

Och, nie, proszę się na mnie w ten sposób nie patrzeć...

Pan ma w oczach dziwnego coś... Och, ja się boję...

Nie, nie, potem zbyt trudno mi w pamięci zatrzeć

Ten wyraz, jaki mają oczy pańskie... twoje...

Kiedy tak patrzysz, patrzysz, coś się budzi we mnie...

Nie zmysły – och, nie, na to warciśmy zbyt wiele –

Ale coś, coś, co schwycić siłę się daremnie,

Coś jak ptak, co o klatkę tłucze się nieśmieie

I chciałby hen, daleko, ulecieć w przestworze,

Do jasności, do słońca... Ach, co ja znów baję!

Pana to nudzi, prawda? Nie przecz pan. Mój Boże,

Ja jestem mniej naiwna, niż się panu zdaje;

Wiem, że co dla mnie może stać się życiem nowym,,

Mym odrodzeniem, wszystkim, jest dla pana tylko

Epizodem, rozrywką, sportem salonowym,

W najlepszym razie wrażeń migotliwą chwilką...

Ale co mi tam: mniejsza! Dość bogata jestem,

By chociażby na marne rzucić duszy kawał –

To ma g e s t! Pan uśmiecha się? Pan gardzi gestem?...

Pan jest mniej zajmujący, niż się pan wydawał –

Ach, jakie to banalne, ta ironia pańska!

Jakie to łatwe, tanie! Jakie nowoczesne!

Lecz we mnie jakaś dusza czai się pogańska,

Umiłowanie życia namiętne, bezkresne,

Co mi pozwala płynąć wśród waszych małostek

I niesie mnie ku szczytom niby pieśń świetlana,

Że mi szarzyzna wasza nie sięga do kostek!

Co panu? Pan posmutniał... czy dotknęłam pana?...

Nie, ja tak nie myślałam... pan przecież jest inny,

W tobie nie ma małego nic – pan mnie rozumie –

No, proszę mi darować ten wybryk niewinny – –

O, dać rękę, popatrzeć, tak jak to pan umie...

Ja chcę wszystkiemu wierzyć – ja wszystkiemu wierzę –

Och, tak, przytul, przygarnij dzieciaka... twojego...

Tak, czujesz moje serce przy twoim?...

.....
Och! – – zwierzę!!!
.....

Zdaje się, że pan wziął mnie za kogo innego?!
Moja wina, wyznaję: zapomniałam o tem,
Że mimo wszystko w panu tkwi zawsze – mężczyzna.
Pan mnie otrzeźwił. Dzięki serdeczne. Tym zwrotem
Oddał mi pan ogromną przysługę. Pan przyzna,
Ze najlepiej, jeżeli zapomnim oboje,
Żeśmy się kiedykolwiek znali. Żegnam pana.
Tak, żegnam.

.....
...zostań...

...ktoś ty?...Ja się ciebie boję...

Och, co się ze mną dzieje... czym ja obłąkana?...
Nie, nie, to nic, to przejdzie... o czymśmy mówili?...
O *Xiędzu Fauście*, prawda? Cóż pan o tym sądzi?
Co do mnie, to czas spędzam przy książce najmilej,
Gdy mi wypadnie z ręki, a myśl błądzi, błądzi,
Ot, tak, samopas, nisko, niby mgła wieczorna,
Co snuje się w księżycu przez ściernie, ugory,
To jak dzwonek kapliczki wioskowej pokorna,
To znów żalosa niby cmentarne upiory...

To dziwne, jak mi dobrze się rozmawia z panem...
Pan tak umie rozumnie słuchać. Mam wrażenie,
Że choćbym się wyrwała, ot, z czymś niesłychanym,
Z czymś potwornym, wariackim, zawsze przebaczenie
Znalazłabym u pana...

Och, mów do mnie jeszcze...

Ukołysz mnie jak do snu... oczy mrużę senne,
Pragnę twych słów, a w myśli usta twoje pieszczę
Mymi ustami, w myśli całunki płomienne
Składam na nich...

...w tej chwili naga jestem cała,

Kołyszę się na fali jakichś grań anielich
I otwieram, ach, tobie, kwiat mojego ciała
Niby jakiś upojny, przenajczystszy kielich...
Ach, jakim bardzo twoja...

Ha, com ja wyrzekła!

Pan to zapomni, musi pan zapomnieć o tem...
I ja zapomnę, choćby wszystkie moce piekła
Ciągnęły mnie do ciebie... Co potem, co potem?...
Potem? Och, prawda, potem... umrzeć można przecie!
Czyż to cena zbyt wielka za szaleństwa chwilę?...
Pan się zawahał... słusznie – pan widzisz w kobiecie
Obiekt, z którym przepędzić czas można dość mile,

Lecz dla której nic więcej poświęcić nie warto.
Pan jest człowiek praktyczny. Tym lepiej dla pana.
Cóż, kiedy na istotę pan trafił upartą,
Co nie chce panu służyć za kubek szampana – –
Chyba że potem strzaskasz na miazgę ten kubek!
No... zabijesz mnie, powiedz?... twój dzieciak tak prosi,
Patrz, sam do ciebie oto wyciąga swój dzióbek...
Będziemy tak szczęśliwi... ludziom się ogłosi,
Żem sama się zabiła... uwierzą z pewnością:
„Taka wariatka, pewnie, to wygląda na nią” –
I tak odejdę, c i c h a, z mą wielką miłością,
I zostanę dla ciebie twą słoneczną panią – –
Tak mi jest dziwnie, nie wiem, co się dzieje ze mną,
Zdaje mi się, jak gdybym już gdzieś w dal leciała;
Trzymaj mnie, trzymaj mocno, och, w oczach mi ciemno,
Dusza moja jak gdyby już odeszła z ciała –
Nic nie wiem, co się dzieje... gdzie jestem w tej chwili...
Czy ja cię kiedy znałam... czym istniała w tobie...
Czyśmy gdzieś, na planecie jakiejś, wspólnie żyli...
Czekaj... czekaj... ja muszę... och, przy... po... mnieć sobie...

.....

.....

Pan jest człowiek nikczemny.

Pisane w r. 1913

KRAKOWSKI JUBILEUSZ

Nie wiem, który to nasz przodek,
W przydługi ponoś karnawał,
Gdy wyczerpał wszelki środek,
Skąd wziąć jaki świeży kawał,

Wnet, po formy dążąc nowe,
Chwycił kpiarstwa kaduceusz,
Skrobnął się nim mocno w głowę
I wymyślił – jubileusz.

Przyjęła się ta zabawa,
Jako że w niej leży sposób,
Co każdemu daje prawa
Kpić z najszanowniejszych osób;

Lecz że wszystko mija w świecie
(Niech go jasny piorun trzaśnie!)
I zdarzyć się może przecie,
Że tradycja ta wygaśnie,

Podam tu więc przepis cały,
By wszedł do krakowskich kronik,
Na ten jubel tak wspaniały,
Jak „rękawka” lub „lajkonik”.

Bierze się do tego celu
Tęgiego, starego pryka,
Sadza się go na fotelu
I siarczyście się go „tyka”.

Odmiany wszak prawa znacie,
Trudności nie będzie zatem;
Więc: jubilat, jubilacie,
Jubilata, z jubilatem...

Publiczności zastęp liczny
Hurmem obsiada galerią,
A cały ten obchód śliczny
Sam pacjent bierze na serio.

Wstaje rzędem człek niektóry,
Kogo tam zaswędzi ozór,
I wygłasza srogie bzdury
W uroczysty dmąc je pozór.

Brzmi powaga w każdym słowie,
Choć od śmiechu drgają rzęsy:
O, bo myśmy tu w Krakowie
Wszystko straszne *sans rire pęsy*.

Reszta słucha, oczy mruży
Kpiąc po trosze sobie z pryka,
I z tego, który bajdurzy,
I z tego, który to łyka.

„Z uwielbienia pełnym łonem
Stawam tu, czcigodny panie,
Z sercem... te... tak przepelnionem,
Że mi ledwo tchu już stanie.

Twe zasługi są tak duże,
Żeby trzeba, jakem szczery,
Ryć... te... spiżem... na marmurze...
(*po cichu*: cztery litery).

Twoje słowa mądre, wieszczę,
Żyć w narodzie będą święcie
I prrrrawniki nasze jeszcze
Mieć ją będą... (*cicho*: w pięcie).

Więc, gdy zasług jubilata
Żaden czasu grom nie zetrze,
Niech nam jeszcze długie lata...
(*po cichu*: psuje powietrze)...”

Coś tam jeszcze mówca bąka,
Orkiestra kropi fanfarę,
A jubilat głośno siąka,
Łez rozkoszy roniąc parę.

Magnificus się podnosi
(Przypadkowo ginekolog)
I znów z innej beczki głosi
Lapidarny swój nekrolog.

Myśli wątku nie rozprasza,
Ale skupia w treść ogólną:
„Panie... ten... ojczyzna nasza...
Jest nam wszystkim... matką wspólną.

Ona poi nas swym mlekiem
I karmi niby dziecinę,
Zanim stanie się człowiekiem...

Przez swą... panie... pępowinę...

Znak to niskiej, podłej duszy,
Narodowym to występkiem,
Gdy kto związki... panie... kruszy
Z tym matczynym... panie... pępkim...

I choć wrogie siły czasem
Sznur pępkowy... panie... przedrą...”
(Cóż, u diabła, z tym kutasem! –
Jak powiada stary Fredro...)

Et caetera, et caetera,
Jeden gada, drugi gada,
„...Praca żmudna, ciężka, szczerą...”
(Sam jubilat odpowiada.)

I tak dalej, i tak dalej,
Coraz cieplej, coraz parniej,
W końcu obiad w dużej sali:
Barszczyk, łosoś, comber sarni.

Znów podają jubilata
W różnych sosach na patelni,
Znów się każdy głąb z nim brata,
Kpiąc zeń coraz to bezczelniej.

Aż wreszcie, dobrze już rano,
Gdy wysną wszystkie likwory
I każdy pałę zawiana,
A brzuch ma od śmiechu chory,

Pacjenta odwożą do dom,
Gdzie w pierzynie ciepłej legnie,
Nim ku nowym takim godom
Znowu latek dziesięć zbiegnie;

A ci szelmy, krakowianie,
Dalej sobie łamią głowy,
Komu by tu wyrznąć – panie –
Kawał „jubileuszowy”.

PIEŚŃ O MOWIE NASZEJ

Rzecz aż nazbyt oczywista,
Że jest piękną polska mowa:
Jędrna, pachnąca, soczysta,
Melodyjna, kolorowa,

Bohaterska, gromowładna,
Czysta niby błękit nieba,
Mądra, zacna, miła, ładna –
Ale czasem przyznać trzeba,

Że ten język, najobfitszy
W poetyczne różne kwiatki,
W uczuć sferze pospolitszej
Zdradza dziwne niedostatki;

Że w podniebnej wysokości
Nazbyt górnie toczy skrzydła,
A nas, ludzi z krwi i kości,
Poniewiera – gorzej bydła.

To, co ziemię w raj nam zmienia,
Życia cały wdzięk stanowi,
Na to – nie ma wyrażenia,
O tym – w Polsce się nie mówi!

Pytam tu obecne panie
(By od grubszych zacząć braków):
Jak mam nazwać... „obcowanie”
Dwojga różnych płci Polaków?

Czy „dusz bratnich pokrewieństwem”?
Czy „tarzaniem się w rozpuście”?
„Serc komunii” – czy też „święństwem”
Lub czym innym w takim guście?

Choć poezji święci wiosnę
Wieszczów naszych dzielna trójka,
Polskie słownictwo miłosne
Przypomina – Xiędza Wujka!

Dowody najoczywistsze
Znajdziesz choćby w takim głupstwie,
Że polskiego słowa mistrze
Śnią o – „ru i porubstwie”!!

W archaicznym tym zamięcie
Jak ma kwitnąć szczęścia era?
Gdzie zatracą się pojęcie,
Tam i sama rzecz umiera!

Ludziom trzeba tak niewiele,
By na ziemi niebo stworzyć –
Lecz wykrztusić jak: „Aniele,
Ja chcę z tobą... «cudzołożyć»!!”

Jak wyszeptać do dziewczęcia:
„Chcę... «pozbawić cię dziewictwa»...
Nie obawiaj się «poczęcia»,
Kpij sobie z «ja-wno-grze-szni-ctwa»!”

Jak kusić głosem zdradzieckim,
Wabić słodkich zakłęb gama?
Każdy wyraz pachnie dzieckiem,
Każde słowo drze się „mamo!”

Nazbyt trudno w tym dialekcie
Romansowe snuć intrygi;
Polak cnotę ma w respekcie
Lub „tentuje” ją – na migi!

Stąd, gdy w Polsce do kolacji
„Płcie odmienne” siadą społem,
Główna częśćka konwersacji
Zwykła toczyć się pod stołem...

Niech upadnie ci serweta –
Człowiek oczom swym nie wierzy:
Gdzie mężczyzna? Gdzie kobieta?,
Która noga gdzie należy?

Pantofelków, butów gęstwa
Fantastycznie poplątana,
Stacza walki pełne męstwa:
Istny *Grunwald* Mistrza Jana!

Tak pod stołem wieczór cały
Gimnastyczne trwa ćwiczenie,
A p r z y stole – komunały
O Żeromskim lub Ibsenie...

Lecz najcięższą budzi troskę,
Że marnieje lud nasz chwacki,
Że już cichą, polską wioskę

Skaził żargon literacki;

Na wieś gdy się człek dobędzie,
Chcąc odetchnąć życiem zdrowszem,
Słyszy: „Kaśka, jagze bendzie
Wzglendem tego co i owszem...”

.....

Widzę tu zebraną tłumnie
Kapłanów sztuki elitę,
Co swe kudły wznoszą dumnie
Ponad rzesze pospolite.

Wy! „światlanych duchów związek”,
Wy! „idei stróże czystej”,
W a s z to jest psi obowiązek
Kształcić język ten ojczysty!

Skończcie wasze komedyje,
Schowajcie pawie ogony,
Żyćcie – czym każdy z nas żyje,
Idźcie – – k o c h a ć... za miliony!

Dość „nastrojów” waszych, dranie!
Uczcie m ó w i ć waszych braci:
To jest wasze powołanie!
Od tego was naród płaci!

Język naszym skarbem świętym,
Nie igraszką obojętną;
Nie krwią, ale atramentem
Bije dzisiaj ludów tętno;

Musi n a p r z ó d i ś ć z ż y w e m i,
A nie tępić życia zaród,
Soków pełnię czerpać z ziemi:
Jaki język – taki naród!!!

Pisane w r. 1907

PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ

(Fragmenty)

A czy znasz ty, bracie młody,
Te najmilsze dla Polaków
Szarej Wisły senne wody
I nasz stary, polski Kraków?

A czy znasz ty te ulice,
Puste w nocy, brudne we dnie,
Gdzie się snują eks-szlachcice,
Tępiąc smutne dni powszednie?

A czy znasz ty te kawiarnie
(W całym świecie takich nie ma)
Gdzie dzień cały marnie, gwarnie
Wąłkoni się cud-bohema?

Tam wre życie! Kipi, tryska!
W dymu chmurze tytoniowej
Myśli płoną tam ogniska,
Chlebuś piecze się duchowy;

Wszystko tylko Duchem żyje,
Wszystko tylko Pięknem dyszy;
Nigdy ucho tam niczyje
Prozy życia nie zasłysz;

Estetyczne rozmowy
Rozbrzmiewają od stolików,
Sztukę pcha na nowe tory
Grono c. k. urzędników;

Nic nie mąci głębin myśli,
Nic nie przerwie sennych marzeń –
Żyjem całkiem niezawiaśli
Od banalnych kręgów zdarzeń!

Niech się fale zjawisk kłębią
Gdzieś tam w wielkich stolic wirze –•
My tu żyjem życia głębią!
(Jak robaki w starym syrze...)

Niech tam sobie inne nacje
Zadzierają nosy w górę –
Kraków też ma swoje racje:
Swoją własną ma „Kulturę”!

Tak więc: chytry jest Germanin,
Francuz – sprośny, Włoch – namiętny,
A zaś każdy krakowianin:
G o ł y i i n t e l i g e n t n y.

*

* *

Niech tam Paryż krocie trawi
Na dmimady i metresy;
Krakowianin się nie bawi
W takie głupie interesy.

Nad gorączką manny złotej
On zwycięstwo odniósł walne;
Nowe puścił w kurs banknoty:
G o ł o - i n t e l e k t u a l n e.

Całą siłą swej sugestii
Wytłumaczył zacnej Polsce,
Ze wśród wszystkich męskich bestii
DUSZĘ – mają tylko golce.

Uwierzyło biedne kurczę
W ewangelię tę ubóstwa;
Opływają duchy twórcze
W gratisowe cudzołóstwa;

Wszystko wietrzy za nierzędem,
O przystępnej marzy frajdzie:
Z estetycznym płynąc prądem
Każdy jakieś łóżko znajdzie;

Sztuki esy i floresy
Tak szalony mają popyt,
Że nie starczy na karesy
Pegazowi czterech kopyt;

Żądza „stylu” ogarnęła
Rozwydrzony damski świeatek,
Więc kaplice i muzea
Pełnią funkcję separatek;

Bez szampitra i kolacji
Wykpiasz, bracie, się z romansu:
I czyż wielbić nie mam racji
Krakowskiego Renesansu?

*

* *

Sztuka różne ma sposoby,
By dać szczęście swoim synom:
Więc stworzyła żeńskie snoby
Na pożytek kabotynom.

Mieszczaneczka żyła sobie
Pielęgnowując białe sadło,
Naraz na nią, jak w chorobie,
Objawienie Sztuki padło.

Męczy, dręczy z dobrej woli
Swego mózdzku biedne centra,
Na czworakach się gramoli
Na kultury wyższe piętra.

Wspólna korzyść z takich hister-
ycznych zachceń wypaść może:
„Czystą sztukę” ma filister,
A kabotyn – s t ó ł i ł o ż e...

*

* *

Siedzi dziewczę z literatem
(Ledwie go oczami nie zji),
Upojone surogatem
I koniaku, i poezji.

On jej szepta coś do uszek,
I n t e l e k t e m praży z bliska:
I – straci dziewczę wianuszek,
Ale „światopogląd” zyska!

W przykrą jawę sen się zmienia,
Milknie śpiewne duszy granie –
Dziewczę szuka WYZWOLENIA,
Znajdzie tylko rozwiązanie...

Pisane w r. 1907

LIST OTWARTY KOBIETY POLSKIEJ

pod adresem „Zielonego Balonika”

Do twych licznych wieńców chwały,
Mój czcigodny kabarecie,
Pozwól dzisiaj listek mały
Dorzucić – polskiej kobiecie;

Usłysz od niej prawdy słowo,
Moja kliczko pięknych duchów,
Żeś edycją luksusową
Typowych polskich eunuchów!

Gdy obalasz dawne style,
Nowe wieścisz schrypłym głosem,
Czyś pomyślał choć przez chwilę
Nad nieszczęsnym m o i m l o s e m?

Aby w tajnie m e g o s e r c a
Zajrzeć, coś uczynił, powiedz?
Nieodrodny spadkobierca
Starego gbura z Nagłowic!

.....
Sto lat w lirycznej niewoli
Jęczymy: u nóg koturny,
Czoło w świętej aureoli,
Na głowie popiołów urny.

Spojrzenie czyste a tkliwe,
Na piersiach cnoty puklerze:
Sto lat czekamy cierpliwie,
Kto nas z tych strojów rozbierze!

Gdy rozeszła się wieść głucha
Jakiejś nowej ewangelii,
Jasny płomień w sercach bucha:
Precz z Kordianero, w kąć Anhelli;

Jakiś nowy dreszcz nas wzrusza,
Droga życia każda chwila,
Laura szuka kapelusza,
Weneda sukienki lila,

Aldona tłucze się w wieżę
Wołając: „Proszę otworzyć!”,
Grażyna zrzuca pancerze,

Lecz nie zdążyła nic włożyć –

Do Telimeny Zosieczka,
Ukrywszy w dłoniach oblicze,
Ciągnie z litewska: „Cjoteczka,
Naucz mnie tańczyć maczicę!”

Pokazując zgrabne nóżki
Pani Aniela Beniowska
Przykleja zalotne muszki
Koło zadartego noska –

Każda woła: „Nie chcę dziecka!”
Szepta nawet starsze panie,
Że M a r y n i a P o ł a n i e c k a
Przyspieszyła rozwiązanie!!

Wszędzie nową czuć herezją --
W całym stawku płytko grząskim,
Gdzie „obowiązek” poezją,
A poezja obowiązkiem.

Wszystko czeka z utęsknieniem,
Skąd zaświta nowa era:
Wreszcie – słyszym z serca drzeniem,
Ze -- „kabaret” się otwiera!

.....
Jakież zawód! To zebranie
Pocziwych sarmackich gburów;
Mordobicie, wódkochlanie,
Kurdesze pijackich chórów,

Łby dymiące, sprośne fraszki,
Ryki bezmyślnych toastów –
To wasze górne igraszki,
Nieodrodne plemię Piastów?

Któż z was pojmie i wyśpiewa
Dziewiczego ciała zapach,
Jak z melancholii omdlewa
W waszych grubych polskich łapach!

Kto się umie drażnić mową
Szumu leciuchnych falbanek?...
Co w a m o to! Gadaj zdrowo!
Byle w komplecie był „w i a n e k”!

Kto z piersi naszej westchnienia

Subtelnym dobędzie gestem?
Kto uprzedzi głos sumienia
Opadłych sukien szelestem?

Kto z was pieśczętą zuchwałą
Zbudzi sen zaklętych dziewic?
Niech wystąpi! zaraz! śmiało!
Gdzież jest ten z bajki królewic?

.....
Niż waszych słuchać hałasów,
Nowej kultury rycerze,
Wolę czekać lepszych czasów
W skromnej, polskiej – garsonierze!

Pisane w r. 1906

REPLIKA KOBIETY POLSKIEJ

na odpowiedź młodzieńca polskiego²

Nie tobie, mój Sowizdrzale,
Złotowłose piękny paziu,
Nie tobie, mój słodki Aziu,
Taka przystała odpowiedź
Na tęsknoty me i żale,
Na mojego serca spowiedź!
Ty niewdzięczny, ty niepomny,
Ty, pieszczony jak Żuanek,
Mentor panienczki skromnej,
Półdziewicy półkochanek,
Ty, bawidełko mężatek,
Feblik matek, wdów gagatek,
Spowiednik arystokratek,
Ty, co piłeś do przesytu
Zmysłów mych najskrytsze dreszcze,
Co dziś cały ciepły jeszcze
Od puchu mojej pościeli,
Ty – mi mówisz o kądzieli?
Więc ty, mimo twego sprytu,
Nie poznałeś mnie na tyle,
Że dla ciebie dokumentem
Są M a r y n i e i M a r y l e?!
Że dla ciebie pismem świętem
Są A n i e l e i A n i e l k i
I ten ckliwy produkt wszelki
Waszej wytrzebionej „j a ż n i”,
Waszej smutnej wyobraźni?!

Więc te cuda polskich dziewic –
Swojskiej cnotki miły zapach –
Te gosposie i te Zosie,
Które sobie przy bigosie
Fantazjował pan Mickiewicz,
Aby znaleźć w nich pociechę
Po swoich miłosnych klapach,
Czyjeż są tęsknoty echem?
Czyjeż ideały godne?
A te w czułym atramencie
Urodzone nimfy wodne
Pana Słowackiego Jula,
O którego... mankamencie

² Odpowiedź młodzieńca polskiego na *List otwarty* pióra A. Nowaczyńskiego zamieszczona jest w jego *Figlikach sowizdrzalskich*.

Wie dzisiaj każda smarkula
I który mu wypomina
Nawet Ś w i d e r s k a A l i n a!!
A ten... trzeci wasz poeta...
No, ten... hrabia... z dużym nosem,
Któremu każda kobieta,
Co ją ujrzał bez bielizny,
Była symbolem Ojczyzny,
A łóżko ofiarnym stosem!
(Tak w męczeństwa aureoli
Z każdą popływał w gondoli,
Potem – ona poszła z dzieckiem,
A on rozmawiał z Czarnieckim!)
Powiedz, proszę, z jakiej racji
Ja mam brać odpowiedzialność
Za tych figur monstrualność,
Wylęgłych w imaginacji
Rozmaitych takich panów?!
Więc te przeróżne perwersje
Lechickich erotomanów,
Polskie matki, polskie żony,
Te Grażyny i Aldony,
Ty chcesz uważać za wersję
Autentyczną kobiecości?

.....
To się można wściec ze złości!!

Zostaw całą tę bibułę,
Złotowłosa paziu słodki,
Zostaw te androny czule,
Wielkich duchów małe plotki!
Wierz mi, wszyscy ci poeci
To są duże, stare dzieci
I najgłupsza panna z pensji
Nie ma tak śmiesznych pretensji
Że ktoś stworzył *Tadeusza*,
Winszuję mu sercem całem,
Lecz czyż każdego geniusza
Mam uwieńczyć własnym ciałem?..
Płacić długi społeczeństwa
Ceną mojego panieństwa?
Zapytajcie się M a r y l i;
Opowie wam każdej chwili –
Czuje w kościach do tej pory
Te filareckie amory
I ten poetycki kierat,
W jaki wprzągnął ją pan literat!
W niewinności szukał chluby,

Mleczkiem pijał zdrowie „lubej”,
Ballad płodził całe łokcie,
Z sercem czystszy niż paznokcie
Mierzył, zbrojny w pancerz wiary,
S i ł ę (męską!) n a z a m i a r y!
Takie ma kobieta szanse,
Gdy się z wieszczem wda w romanse.
A niech która się odważy
Zerwać nici tych szantaży,
Śluza przekleństw się otwiera:
„Puchu marny” *et caetera!*

Pójdź, mój paziu, chwile płyną,
Nie dla nas ta gra słów pusta:
Gdy pić zechcesz życia wino,
Zawsze znajdziesz moje usta,
Choć p o d o k n e m trubadury
Giną w lirycznej agonii,
Drwij z całej literatury,
Oknem właż bez ceremonii!

Pisane w r. 1906

Z PODRÓŻY LUCJANA RYDLA NA WSCHÓD

GRÓB AGAMEMNONA

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtóruje pieśni tragicznej i smutnej,
Bo – Rydel wstąpił w Grób Agamemnona
I pysk rozpuścił w sposób tak okrutny,
Że rozbudzone na wpół trupy z cicha
Szepcą do siebie: „Cóż tam znów, u licha?!”

„O, cichym jestem jak wy, o Atrydzi
– Bełkoce Rydel z zapienioną twarzą –
Ani mnie kiedy moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą – –
(Tu wydał cichy jęk grobowiec niemy,
Jakby chciał mówić: «Ach, wiemy to, wiemy!»)

Z tej ziemi, którą boski Homer śpiewał,
Niechaj przeszłości szepcą do mnie głosy –
Ludu, co także *pod spód nic nie wdziewał*
I także chodził z *gołą głową, bosy*.
Niech mówi do mnie duch helleńskich braci,
Co także jak ja nie nosili gaci...

I gdy tak błędzę po Hellady błoniach,
Dziwne mam wizje przed duszy oczyma:
W tej chwili dają do kolacji w Toniach,
Wszyscy zasiedli – tylko mnie tam nie ma –
Na stole kluski... i jajka sadzone...
A dzieci mówią «Pod Twoją Obronę»...

I wraz otrząśłem się z pogańskich baśni,
Ukląkłem cicho i złożyłem ręce;
I zaraz w sercu stało mi się jaśniej,
I dziękowałem Najświętszej Paniencie
Za to, że swoich łask mi wciąż użycza
I mnie wysłała tu – nie Cięglewiczka...”

Pisane w r. 1907

LAMENT PANA RADCY NAD „BASZTĄ KOŚCIUSZKI”

Pan radca myśli,
Rachuje, kryśli³
I mruży: „A to fatalność!
Miejże tu, człeku,
W dwudziestym wieku
W naszym Krakowie «realność».

Tu nikt nie zgadnie,
Co na łeb spadnie,
Od czego krzykną mu: «wara!»
Tu każdy kątek
Pełen «pamiątek».
Ot, nawet plac piwowara!

To istna heca
Z tym gruntem Götza!
Człek płaci grosik gotowy,
Za swe pieniądze
Może, jak sądzę,
Hotelik miastu wznieść nowy.

Gdzie tam! Nie dadzą!
«Moralną władzą»
Otoczą każdy dziś placyk!
Lada Noskowski
Lub Warchałowski
Rządzi się w mieście jak kacyk!

Z tych panów łaski
Te całe wrzaski,
Te jakieś baszty, zabytki –
I przez te bunty
Najlepsze grunty
Chcą zmienić na nieużytki!

Dzieją się cuda!
Ot! Stała buda,
Pies nie zatroszczył się o to –
Aż w jednej chwili
Coś w niej odkryli:

³ Wariant:

Smutny Jan Kanty
idzie przez Planty

To świętość! relikwia! złoto!

«Tu, pod tą gruszką,
Drzemał Kościuszko!»

Dopieroż robi się skweres!

«A pod tą drugą
K o ł ł ą t a j H u g o
Załatwiały mały interes!»

Chcą kłaść fundament,
Ci dalej w lament:

«Na Boga! Nie tykaj gruszki!»

I płąć ty, człeku,
Po całym wieku
Koszta rebelii Kościuszki!

A to mi racja!
Dziś demokracja,
Nikt w takie głupstwa nie wgląda;
Czy tam Kopernik,
Czy inny piernik –
Kto tego w sklepiku żąda?!⁴

Na rany boskie!
Te Poniatoskie
Już kością w gardle mi stają –
Ja jestem kupiec,
Nie żaden głupiec:
Co mam wspólnego z tą zgrają?!

Więc tak się święci
Za moje chęci?
Milsze wam stare rudery?
Człek zdrowie traci,
Wolej dopłaci,
Idźcie do ciężkiej – Koperzy!”

Pisane w r. 1909

⁴ Wariant:

Kto tego w hotelu żąda?!

MODLITWA ESTETY

W wielu rzeczach świat po prostu
Jest podobny do loterii:
Nie wybierasz swego wzrostu
Ani swojej peryferii.

Tak byś wolał czy inaczej,
Chcesz być cienki, chcesz być gruby,
Rośniesz, jak ci traf przeznaczy,
Prima vista, ot, bez próby.

Nim się dowiesz, co potrzeba,
O proporcji i o formie,
Spadasz na świat prosto z nieba
W gotowiutkim uniformie.

Jakie system ten ma skutki,
Co wyrasta z tego dalej,
Powiedzmy to bez ogródki,
Widać – choćby po tej sali:

Jednemu policzysz kości,
Na drugiego znów tak padło,
Że aż kapie od tłustości,
Gdzie pomacać, samo sadło.

Jeden – krzywą ma łopatkę,
Drugi, losów tajemnicą,
Tu i ówdzie wdał się w matkę
I chodzi z damską miednicą;

Ta gładziutka jest jak chłopak,
Druga znowu – istna kukła,
Tamta wszystko ma na opak,
Tu jest wklęsła, tam wypukła –

Cały wyrób, bierz go czarci,
Ma fuszerki wszystkie cechy,
Widać – więcejśmy niewarci
Za paskudne nasze grzechy.

Głowy sobie Bóg nie suszy
Nad doczesnym naszym kształtem:
Dzieli po kawałku duszy,
A resztę kropi ryczałtem;

Z byle gliny, choć z zakalcem,
Lepi Stwórca ludzki potwór,
Potem, od niechcenia, palcem
Machnie jeden, drugi otwór,

Zesztrychuje z góry na dół,
Przyklepie cię po ciemieniu
I – marsz na ten ziemski padół
Służyć swemu przeznaczeniu.

Miły Boże! uważ przecie
W swej dobroci niesłuchanej,
Toż my żyjemy dziś na świecie
W wieku Sztuki Stosowanej!

Dziś, gdy cały świat ocenia
Estetycznej wagę formy,
Stan ten jest nie do zniesienia
I wprost krzyczy o reformy!

Lada mebel dziś nam składa
Skończony – panie! – artysta,
A ten, który na nim siada,
Wygląda – ironia czysta!

To nam w końcu życie zbrzydzi;
Dziś człowiek dobrego tonu
Czasem się po prostu wstydy
Wejść do własnego salonu!

Toż tam przecie siedzą w niebie
Rafaele czy Van Dycki,
Można by złożyć w potrzebie
Mały kursik estetyki...

Prosimy więc, dobry Boże,
Więcej smaku, więcej gracji,
I w tym ludzkim arcytworze
Bogdaj trochę stylizacji;

Podnosim modły pokorne,
Niechaj twoja ręka szczodra
W linie wężowo-wytworne
Kreśli niewiast naszych biodra;

Niechaj matron naszych biusty,
Polskiego domu dostatek,

Zamiast kształtów glorii tłustej
Będą jako lilii płatek;

A cnota dziewic niewinnych,
O, spraw to, panie nad pany,
Niech ma, zamiast wszystkich innych,
Zapach esencji różanej...

Pisane w r. 1910

NOWA WIARA

Zewsząd chóry brzmią radosne:
Ma cel wreszcie egzystencja;
Cel, co wskrzesi rajską wiosnę,
A tym celem – A b s t y n e n c j a.

Nazbyt długo ludzkość biedna
Ścigała marę zwodniczą,
Gdy jest droga tylko jedna,
Zgodna z wiedzą przyrodniczą.

Już rozpadły się w kawały
Dawne majaki mistyczne;
Nowe mamy ideały:
Higieniczno-statystyczne.

Zamiast błędzić w ciemnym mroku
Ludzkich instynktów wyzwoleń,
Jedno trzeba mieć na oku:
Z d r o w o t n o ś ć setnych pokoleń.

Chyba wariat jeszcze szuka,
Gdzie drga silnych wzruszeń tętno,
Gdy dziś kreśli nam nauka
Szczęścia ludzkości p r z e c i ę t n ą.

Czegóż więcej – każdy przyzna –
Możesz żądać, dobry człeku,
Patrząc, jak się ta k r z y w i z n a
Dumnie wznosi – w przyszłym wieku.

Już obliczył nam dokładnie
Akademii „były docent”,
Ile za lat tysiąc spadnie
Śmiertelności ś r e d n i procent.

Trzymaj zatem na obroży
Namiętności swoje szpetne:
Będzie prawnuk twój żył dłużej
O dwa zera i trzy setne.

Witajmy więc ludzkość czystą!
Zewsząd pieją już *Hosanna*:
Na wyścigi z onanistą
„Działająca” stara panna;

Lada kiep, co od kolebki
Ani pije, ani... pali,
Afiszuje swoje klepki,
Wprawdzie c z t e r y – lecz ze stali.

W bohaterstwa nowe szranki
Wlecze młodzian puste łóżko:
Żyj lat dziesięć bez kochanki,
Obwołają cię Kościuszką!

I w małżeństwie bez ekscesów!
Kontrolują serca bicie,
Czy pamiętasz wśród karesów,
Że masz stworzyć nowe życie?

Troska sen im z oczu płoszy:
Wielki problem w głowach świeci,
Jak przy m i n i m u m „rozkoszy”
M a k s y m a l n i e płodzić dzieci!

Odmawiajcie, abstynenci,
Higieniczny wasz różaniec,
Niech się mały świeatek kręci
W ten świętego Wita taniec;

Pijcie wodę w cnym skupieniu,
Ale mnie przechodzi mrowie,
Że gdzieś w trzecim pokoleniu
Znajdzie się ta woda – w głowie...

Pisane w r. 1907

O TEM, CO W POLSZCZE DZIEIOPIS MIEĆ WINIEN

(Dowiedzieliśmy się z komunikatu Krakowskiej Akademii Umiejętności, iż ta, ku wielkiemu swemu żalowi, nie mogła przyznać nagrody imienia Barczewskiego za rok bieżący prof. Aszkenazemu, a to dla jego brzydkiego wyznania, przeciw któremu zastrzegają się wyraźnie statuta fundacji. Nie wszystkim jednak znane jest wiekopomne a skrzydlate słowo prof. Aszkenazego, zrodzone w następstwie tego wyroku. Mianowicie, skrzywdzony autor *Lukasińskiego* w chwili pierwszego rozgoryczenia miał się wyrazić do jednego z najpoważniejszych członków instytucji, prof. Morawskiego, że wobec tego Akademia powinna oglądać nie k s i ą ż k i kandydatów, ale... zupełnie, ale to zupełnie co innego. Jędrne to oświadczenie uczonego historyka natchnęło nas do zamknięcia niniejszego zdarzenia w ramy znanej fraszki naszego znakomitego protoplasty, Jana z Czarnolasu.)

Sądziła Akademia dorocznym zwyczajem,
Kto się w piórze nalepiey odznaczył przed kraiem.
O *praemium* się zabiegał, przez boskiey obrazy,
Tomkowic z Sodalicyey y pan Aszkenazy.
W długie się Akademia spory nie wdawała,
leno im obu z sobą do łążniey kazała,
Iako że tam rozsądzać będzie komisya,
Kto ma lepsze kondycye y nagroda czyia.
Męże co nayuczeńsze zasiadły u stoła,
A ci dway, z szat rozdiani (iako rzecz?) do goła.
Pogląda Akademia, kędy trza, a ono
Barzo nierówno obie skryby podzielono.
Tomkowic stawa śmieie, bo ma rzecz w porządku:
Zasię tamten, Żydowin, skrył się w ciemnym kątku.
„Wždy – rzeknie prezes – sądząc pomyśleniem zdrowem,
Iakoż mu dawać *praemium* z defektem takowem?”
Zaczem wszystkie iurory dały głos iednaki,
Ze on dzieiopis cale ma poważne braki.
Pokraśniał aż Tomkowic, chlubnie odznaczony,
Zmówił krótki paciorek y wdział kalesony.
Aszkenazy zmarkotniał – Iza mu w oku błyszczce;
Darmo: co raz człek stracił, tego nie odzyszcze.
Nie mył się biedny długo y iachał tym chutniey:
Nie każdy w Polszcze weźmie po Bekwarku lutniey.

Pisane w r. 1909

MARKIZA

Obrazek sceniczny⁵

Jadwidze Mrozowskiej

Z odległej kędyś krainy,
Z wieków, co dawno przebrzmiały,
Przyszłam do was w odwiedzin
W rynsztunku mej dawnej chwały.

Obca tu jestem, więc staję
Nieśmiało oto i skromnie –
Czy z was mnie który poznaje?
Mówcie, czy kiedy śnił o mnie?

Czym może kiedy, czasami,
Z kartek pożółkłej gdzieś książki
Wykwitła nagle przed wami
Strojna w róż, muszki i wstążki?

Jam jest Markiza – ta sama,
Znana wam z dawnych powieści,
Ideał: kochanka, dama,
Co razem gardzi i pieści,

Co razem nęci i kusi,
W powabne iskrząc się błędy,
To znów w snach dławi i dusi
Zmorą straszliwej legendy;

Ja, której kaprys korony
Królewskie deptał tą nóżką,
A czasem znowu, szalony,

⁵ Obrazek ten wykonany był w inscenizacji Jadwigi Mrozowskiej w następujący sposób: Sala przyćmiona; światło rzucone reflektorem oświetla estradę, w głębi której znajduje się ciemny ekran. Jako akompaniament muzyczny menuet z *Don Juana* Mozarta. Po pierwszych taktach rozsuwa się zasłona w środkowej części ekranu; ujęta w stylową ramę, ukazuje się postać kobieca ubrana w kostium modnisi dworskiej z epoki Ludwika XIV. Przez parę chwil pozostaje bez ruchu, upozowana jak gdyby na starym portrecie; stopniowo, pod wpływem dźwięków melodii, twarz się ożywia, oko nabiera blasku. cała postać przegina się w rytmicznych poruszeniach. Wreszcie opuszcza ramę i menuetowym krokiem występuje na estradę. Wykonawszy kilka pas tanecznych, zaczyna mówić; a to w ten sposób, iż pierwsze strofy deklamacji nieomal padają w rytm melodii. Muzyka zamiera i cichnie zupełnie w ciągu czwartej zwrotki, powraca na chwilę z początkiem dziesiątej i znowu z początkiem szesnastej, odkąd już towarzyszy do końca. W połowie ostatniej zwrotki Markiza krokiem menuetowym cofa się w głąb ramy, z której mówi ostatnie dwa wiersze, po czym znowu stopniowo zastyga w nieruchomość portretu. Zasłona zasuwana się z wolna.

Paziów przygarniał w me łózko;

W pochlebstwie od miodu słodsza,
W szyderstwie jak pocisk prędką,
W pieszczocie od bluszczu wiotsza,
To jak stal ostra i giętka;

Ja, której miłosny zakon
Wcielił do kunsztów swych ciemnych
Trucizny subtelnej flakon
I sztylet zbirów najemnych;

Ja, co drobniuchną mą dłonią
Zalotnie przysłaniam oczy,
Śledząc z uśmiezkim, jak o nią
Krew strumieniami się toczy –

Z salonów moich złoconych,
Z mej gotowalni pachnącej,
Z ogrodów moich strzyżonych,
Z lektyki mojej błyszczącej

Zeszłam tu do was na chwilę –
Ot tak, zachcenie kobiece –
Ot, kaprys jak innych tyle,
Aby, nim rychło odleczę,

Tchnąć ku wam brzmieniem echowem
Minionych wieków piosenki,
Poigrać kuszącym słowem,
Krętym jak loków mych pęki,

Zmienić w majaków gorączkę
Sen waszych nocy spokojnych,
Obudzić w was słodką drzączkę
Pragnień zawrotnych, upojnych;

Rozniecić ognie najświętsze,
Przez które żyję i ginę,
W serc waszych wcisnąć się wewnątrz
I bodaj na tę godzinę

Przerobić na m o j e prawo
Dusz waszych pustą zawilość,
Ze życia jedyną sprawą
Jest miłość, ach, tytko miłość!

Że kto u stóp mych wiek strawi,

Najsroźsze cierpiąc męczarnie,
Choć wszystką krew z serca skrwawi,
Ten dni swych nie przeżył marnie;

Że jeśli zechcę, odmienię
W słodycz najcięższą niedolę,
Bo jedno moje spojrzenie,
Ach, wszystkie uleczy bole;

Że jeśli szął czyichś rojeń
Me serce podzielić raczy,
Ach, wobec takich upojeń
Cóż szczęście aniołów znaczy!

.....
Idę już, tak, czas mi w drogę –
Żyćcie szczęśliwi, żegnajcie;
Ja jedno radzić wam mogę:
Kochajcie, tylko kochajcie...

Pisane w r. 1913

WOLNY PRZEKŁAD Z ASNYKA

Najpiękniejszych moich piosnek ...

Kochanko moja słodka,
Naucz mnie takich piosneczek,
Żeby ich każda zwrotka
Miała smak twoich usteczek;

Żeby ich każde słowo
W szept się mieniło najśodszy,
Wciąż powtarzając na nowo
To, co bliżutką rozmową
Dwa serca bredzą trzy po trzy –

Potem wymyślę temat
Sentymentalny ogromnie
I spiszę cały poemat
O tobie, miła, i o mnie.

Wszystko tym razem się znajdzie,
Jak w głowie samo się kleci
Niby w niańczynej bajdzie
Dla troszkę większych już dzieci.

Będzie o Lali królowie,
Jak miała swego pajaca,
Co płakał, płakał tak rzewnie,
A ona mówiła: „caca”;

Będzie i Baba-Jaga,
Wiedźma złośliwa krzynekę,
Co, jak ją rozdziać do naga,
Zmienia się w małą dziewczynkę;

Będą i włoski złote,
Czesane złotym grzebieniem,
Co najmocniejszą pieśczętę
Sączą cichutkim strumieniem;

Będzie i siódma rzeka,
I siódma góra będzie,
I myśli tęskne człowieka,
Pół świnki a pół łabędzie...

I wiele jeszcze innych
Bajeczek nowych i dawnych,

Tak wiernych, że aż dziecinnych,
Tak czułych, że aż zabawnych.

Niżąc chcę ziarko po ziarku,
Aż wzrośnie śliczna książeczka,
Którą nam dadzą w podarku
Twe drogie, słodkie usteczka...

KAPRYS

Melodia: Delmet, *Les petits pavés*

Ach, niech się święci ta godzina,
W której twój kaprys począł wić
Sympatii naszej złotą nić,
Po stokroć moja ty jedyna...

O chwilo, słodka chwilo, stój,
O chwilo, słodka chwilo, stój –
Błogosławiony kaprys twój...

Jeżeli potrwa dwa tygodnie,
Cóż pozostanie po nim, cóż?
Prócz zamyślenia dwojga dusz,
Co sen miniony śnią łagodnie...

O, wspomnień, słodkich wspomnień rój,
O, wspomnień, słodkich wspomnień rój –
Błogosławiony kaprys twój...

Jeżeli potrwa trzy miesiące,
Ach, to już jest drażliwsza rzecz:
Rozłąki ból gnającej precz
I łzy okrutne, łzy piekące...

Nim z ócz mych tryśnie gorzki zdrój,
Nim z ócz mych tryśnie gorzki zdrój –
Błogosławiony kaprys twój...

Jeżeli potrwa, och, pół roku,
Nawet mi myśleć o tym strach:
W twe oczy z drzeniem patrzę, ach,
Mego szukając w nich wyroku...

O, snuj się, nitko złota, snuj,
O chwilo, słodka chwilo, stój –
Błogosławiony kaprys twój...

PIOSENKA MEGALOMANA

Dwugłos filozoficzny

Melodia: Delmet, *Exil d'amour*

Rozpoczyna głos męski z właściwą temu gatunkowi przesadą:

Wpleceni w uścisk miłosny
I z twarzą złożoną na twarz,
Prześnijmy, o luba, wiek nasz,
Przetrwajmy od wiosny – do wiosny!
Wpleceni w uścisk miłosny...

Niech płyną koło nas godziny,
Niech płyną w przestrzenny gdzieś mrok –
Cóż znaczy godzina czy rok
W przesłodkich objęciach jedynej!
Niech płyną koło nas godziny...

Sekundą nam będzie pieśczoła,
Kwadransiem oddania szaf –

Tutaj tenor, mimo całej beczelności, zawahał się na chwilę; natychmiast odbiera od niego melodię sopran, rozlewając skarby najczystszej liryki:

...Ach, byle chronometr ten trwał
Tak długo, jak serca ochota...

Razem:

Sekundą dla nas pieśczoła!

Sopran prowadzi dalej melodię z rosnącym zapalem i silą głębokiego przekonania:

Wpleceni w uścisk miłosny
I z twarzą złożoną na twarz,
Prześnijmy, o luby, wiek nasz,
Przetrwajmy od wiosny – do wiosny!

Razem:

Wpleceni w uścisk miłosny...

Akompaniator, ratując sytuację, szaleje po swoim klawicymbale w niesłychanych arpedziach i glissandach:

.....
.....

Sopran, nieco zamglony:

Ach, byle chronometr ten trwał...

.....

Razem:

Sekundą nam będzie pieszczota...

(Da capo ad libitum.)

MADRYGAŁ SPOD CIEMNEJ GWIAZDY

Chciałbym przy pani ...uchnie
Być takim skromnym amantem,
Co go się puszcza przez kuchnię,
Zanim się puści go kantem.

Ot, cichym pragnieniem mojem
(Nie dla pieniężnych korzyści)
To być w jej domku lift-boyem
Lub drabem, co schody czyści.

Sprzątałbym z wielkim hałasem,
Wstawał ze wszystkich najraniej,
By się w nagrodę choć czasem
Przytulić do jaśnie pani.

Obmywszy z kurzów me ciało,
Jak można najidealniej,
Pukałbym potem nieśmiało
Do jej bieluchnej sypialni.

Z emocji leciutko dyszę
(Zwyczajnie, osoba w wieku),
Aż szept najdroższy usłyszę:
„No, włączcież prędeż, człowieku!”

Z szacunku słowa nie gadam,
Liberię szybko zdejmuję,
Kładę się w łóżko i: „*Madame
est servie*”, głośno melduję...

Powiedz, mój strózu-anielu,
Czy to zuchwalstwem zbyt dużem
Marzyć, choć czasem, w niedzielę
Szczęście anioła ze stróżem?...

OFIARUJĄC EGZEMPLARZ «ŻYWOTÓW
PAŃ SWOWOLNYCH»

Jeśli, miłenka, słodkie oczy twoie,
Mknąc po buxtabach tey anticzney xięgi,
Bogday raz uźrzą w iey kartach nas dwoie,
Nie żal mi będzie przydłuższey mitęgi:
By spektr choć zbudzić twey lubey ochoty,
Wartoć iest wydać z siebie siodme poty.

WIERSZYK, KTÓRY SAM AUTOR UWAŻA ZA NIE BARDZO MĄDRY

Niech mi kto wreszcie powi –
Diabłów kroć sto tysięcy! –
Czemu się tak nerwowi
Stajemy coraz więcej?

Długom to zgłębiał, przecie
Doszedłem kwintesencji:
W tym zło, że na tym świecie
Nic nie ma konsekwencji.

Rzecz jedna sama w sobie
Nie ciągle jest jednaka,
Lecz bywa w różnej dobie
To taka, to owaka.

Bywają dni, że człowiek
Strasznie jest siebie pewny,
Rad, od otwarcia powiek,
Jak prosię w deszcz ulewny.

Przed lustrem wówczas staje
I sam jest z siebie dumny,
I sam się sobie zdaje
Przystojny i rozumny.

Na drugi dzień, przeciwnie:
Ta sama, ot, osoba,
A wszystko się w niej dziwnie
Znów człeku nie podoba.

Pysk mu się widzi krzywy,
Wiersze haniebnie głupie
I bardzo jest zgryźliwy,
I sam ma siebie w pogardzie.

Nie macie wprost pojęcia,
Jak to jest źle na nerwy,
Bez chwili odpoczęcia
Tak huśtać się bez przerwy.

Ba, gdyby się to dało
(To byłoby najprościej)
Wprowadzić jakąś stałą
Podstawę wszechwartości!

Tak głowę dręczę biedną,
Gdy myśl się jakaś czepi:
Ach, czyż to tylko jedno
Mogłoby tu być lepiej...

LIST PRYWATNY DO KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO

nakłaniający go do spożycia wieczerzy u Żorża

Zatem namawiasz mnie, miły Kornelu,
Ażeby kropnąć felieton dla „Słowa”?
Czemu nie? Owszem, drogi przyjacielu,
Zbyt jest zaszczytną dla mnie ta namowa,
Bym się nie skusił zasiać z Jaśnie Państwem
Pomiędzy jednym a drugim pijaństwem.

Temat? Ach, temat!... Ty, mistrzu mój łysy,
Coś włosy stracił w pielgrzymia włóczędzie,
Coś nos swój wściubiał za wszystkie kulisy
I z wszech stron ziemską penetrował nędzę,
Ty wiesz, że w tym jest felietonu sztuka,
Że pióro samo, kędy chce, go szuka.

Połykać chciwie życia chleb powszedni,
Sok wszystek wyssać by z najlichszych zdarzeń,
Krwia własną w nektar go zacząć przedni,
Wzmocnić zaprawą z własnych snów i marzeń
I w kunszt zmieniawszy wydać drugą stronę,
Wołając: „Życia chcecie? Oto ono!...”

Myśli zmęczone rozpuścić samopas,
Niech senne błądzą w ulicznym rozgwarze,
Niech w każdym szynczku przystaną na popas,
Pomarzą tęsknie w każdym lupanarze
I niech wędrówki swojej znaczą szlaki
W atramentowe kreśląc się zygzaki...

Toć już szczęśliwie mija drugi tydzień,
Jak pilnie badam tętno tej stolicy:
Ptaszki śpiewają nam swoje dobrydzień,
Gdy nas przed Żorzem ujrzą na ulicy,
Słoneczko wita swym pierwszym promykiem,
Na który w odzew bucham szczęścia rykiem.

Drugi już tydzień pędzę w tym przybytku,
Gdzie nafta mieni się w wino szampańskie;
Literat biedny, przywykam do zbytku,
Dzieląc bratersko te igraszki pańskie;
Cud kanaeński witam duszą całą
Myśląc pobożnie: „Ach, byle tak trwało!...”

Ach, gdybyż w słowach móc oddać zupełnie
To, co w pijackim łbie gzi się cichutko!

Gdybyż pochwycić tej radości pełnię,
Co świat obrębia tęczową obwódką
I myśl uskrzydla tak, aż zacznie, bosa,
Płasać „po desce” krokiem Dionizosa...

Och, gdybyż zakląć te, co w nas są wtedy,
Nieopisane uśmiechy dziecięce,
Te zadumania godne ksiąg *Rigwedy*,
Spojrzenia obce pożądania męce,
Co rozpinają ponad płcie odmienne
Jakiejś czystości girlandy promienne...

Gdybyż wyśpiewać moc ten dziw po dziwie!
Te zasłuchania nad wieczności tonią,
Gdy rzępolony Walc nocy fałszywie
Brzmi nam zaświatów kosmiczną harmonią
I stapia z naszym się jestestwem całym
Bijąc w strop szklanny potężnym chorałem...

Ach, gdybyż oddać te świty precudne,
Walczące z jaśnią rozet elektrycznych,
Gdy światło z światłem igra dziwne, złudne,
Sączy się z wolna w strumieniach mistycznych
Albo wałęsa się w promykach mdławych,
Śmiech płosząc nagle z twarzy zielonkawych...

A więc te piękne, jasne lwowskie noce,
Zbyt krótkie w życiu, niech ożyją w pieśni;
Niech czar ich wdziękiem rytmów zamigoce,
W słów szumie niech się bodaj ucieleśni
I niech na chwałę brzmi owej świątyni,
W której się takie dobre rzeczy czyni...

I chcę tam z tobą jeszcze iść, Kornelu,
Jeszcze raz z wami snuć z a b a w ę w s z c z ę ś c i e,
Tam nam przystało wytrwać, przyjacielu,
Z Rzeczywistością zmagać się na pięście,
Tam pójdźmy razem na g w i a z d naszych p o ł ó w,
Aż nas prześwietlą w dwu ziemskich aniołów!

Lwów, 6 maja 1912

I w letnią noc, w smutku szale
Łzami skrapla własne kale –
sony...

DEDYKACJA

(Pisana po ukończeniu wydawnictwa Moliera w r. 1912 w sierpniu: miesiącu i roku ukazania się niezapomnianych felietonów p. F. H. Esika.)

Skończyłem już robótki
Te, com miał w życiu grubsze,
I mogę, czas choć krótki,
Spocząć na własnym kuprze.

Miesiące pięknych sporo
Z jeniusem żyłem górnie,
A teraz znów z pokorą
Powracam między durnie.

Znów, ziemio, twój-em cały,
Znów jestem dawnym Faustem,
Gotowym twe specjały
Łykać pełniutkim haustem.

Dajcie mi życia czarę!
W odmiany mej przededniu,
Choć felietonów z parę
O *Życiu nocnym w Wiedniu!*

Ach, nuć mi, nuć, słowiku,
Pieśń narkotyczną bytu,
Ty, co mi wnet, Esiku,
Urośniesz w ogrom mitu!

Ach, nuć mi, Ferdynandzie,
Twe *süßen Himmelslieder*,
Aż oko łą mi zańdzie:
Die Erde hat mich wieder!

SPLEEN

Smutek w sercu moim mieszka
I tak gryzie mnie jak weszka.
Gryzie duszę moją biedną,
O co? To już wszystko jedno.
Przyczyn jest ogromnie wiele
Na duszy jak i na ciele.
Coraz rzadziej mi się zdarzy,
Bym uśmiechnął się na twarzy,
Ciągłe myślę aż do skutku
O moim dotkliwym smutku.
O, jak mnie to czasem nudzi
Patrzeć na cierpienia ludzi.
Czasem się nieszczęście stało,
Że dzieciątko robi biało.
Ja się na to krzywię troszki
I daję skuteczne proszki,
Po których mówię, że ono
Będzie robiło zielono.
Jeszcze bardziej bez nadziei
Pędzę życie przy kolei.
Z tą koleją bywa różnie:
Czasem komuś członki urznie,
To znów dadzą znać o zmierzchu,
Że ktoś flaki ma na wierzchu,
Wielka bywa różnaitość
Rzeczy, które budzą litość.
Ja się znowu troszkę krzywię,
Jadę na lokomotywie,
To znów, naśladować giemzę,
Skaczę sobie w lot na bremzę,
Myślę często tylko przy tem,
Żeby już być emerytem.
Innych zmartwień też jest sporo:
Lewą nogę rok mam chorą,
Choć czyniłem to i owo,
Żeby ona była zdrową.
Ale najcięższa choroba
Jest dla mnie

6

.....

⁶ Dokończenie tego wiersza dla szczególnych przyczyn nie mogło być zamieszczone; życzliwy czytelnik znajdzie je w pośmiertnym wydaniu pism poety, którego terminu nie możemy na razie oznaczyć. Zresztą, westchnienie wyrażone w tym wierszu ziściło się; po dziesięcioletniej służbie autor jest obecnie emerytowanym lekarzem kolejowym. (Przyp. wydawcy [autora].)

Pisane w r. 1912

POCHWAŁA WIEKU DOJRZAŁEGO

Marzę często o tym wieku,
Gdy zwierzę ginie w człowieku;
Gdy już żadna z ziemskich chuci
Władzy Ducha nie zakłóci.
Jak to musi być przyjemnie!
Nic poza mną, wszystko we mnie:
Zmysłów swoich gęstą pianę
Zbierasz sobie jak śmietanę
I rzucasz (czy to nie prościej?)
Na ekran Nieskończoności.
Oczyszczony duch ulata
W harmonijne kręgi świata,
Dokoła człowiek spogląda,
Nic nie pragnie, nic nie żąda,
W ciągłej ekstazie na jawie
Żyje się – za bezcen prawie.
A czas! tu dopiero zyski:
Żaden ciała popęd niski
Roboczego dnia nie kurczy,
Nie zawadza w pracy twórczej;
Z pokoju, mocą tajemną,
Nie wygania cię w noc ciemną;
Gdzież tam! Z niebiańskim spokojem
Siedzisz przy biureczku swoim,
Huczy, dymi samowarek,
Ty równiutko jak zegarek,
Zawsze z jednaką ochotą,
Nizasza myśli nitkę złotą,
Uprawiasz swój interesik
Pogodnie jak drugi Esik.
Od czasu Ducha narodzin
Dzień podwoił liczbę godzin!

A cóż dopiero w podróży!
Żadna chwila się nie dłuży;
Łąd czy morze, ty bez przerwy
Zawsze masz spokojne nerwy;
Nie zachodzisz nigdy w głowę,
Jak blisko miasto portowe;
Nie stajesz calutki w pasie
Przy podejrzanym anonsie;
Bez żadnej myśli ubocznej,
Jak prosty świadek naoczny,
Badasz sobie obce kraje,
Zwyczaj i obyczaj;

Oglądasz domy, ulice,
Zwiedzasz śliczne okolice,
Bez kłopotów, bez przykrości,
Bez dwuznacznych znajomości:
Nie rozumie ta dzicz młoda,
Co to za wściekła wygoda.

Cóż to za przesąd, zaiste,
Ba, urągowisko czyste,
Ta niby-prawda utarta,
Że tylko młodość coś warta!
Przypomnij sobie, człowieku:
I czym ty byłeś w tym wieku?
Ot, pędziwiatr, dureń młody,
Ślepe narzędzie przyrody,
Wszędzie gotowe po trosze
Wściubić te swoje trzy grosze;
W szaleństwie gorszy od żwirząt:
Wprost już nie człowiek, lecz przyrząd!
I co taki wie o świecie,
O życiu czy o kobiecie?
Czy w tym pustym łbie się mieści,
Co znaczy powab niewieści?
Ta harmonia niesłychana
Po to od Boga jej dana,
By iść przez świat niby święta,
Uwielbiana i nietknięta,
Obca wszelkim ziemskim szalom,
Wieść ludzkość ku ideałom!
Czy taki młokos to czuje?
Czy zrozumie, uszanuje?
On, co żyje jedną chętką:
D u ż o, b y l e j a k i p r ę d k o!

Inna rzecz, gdy już w nas cudnie
Nieczystość wszelka wychłódnie.
Wówczas, ach, wówczas dopiero
Wraz z tą najpiękniejszą erą –
Wielu z panów mi to przyzna –
Życ rozpoczyna mężczyzna:
Gdy z płci swojej niewolnika
Zmienia się w pana, w zwierchnika;
Gdy wolny od grubszych robót
DUCH zażywa pełni swobód.
Czy zrozumie młoda głowa,
Co to na przykład rozmowa?
Gdy dwie płcie, zgoła odmienne,
Wymieniają myśli cenne;

Słowo z słowem igra, skrzy się,
Fruwa jak piłka w tenisie,
Czasem leciutko dotyka
Misternego dwuznacznika,
To paradoksem się mieni,
To liczko wstydem splomieni;
Któż mistrzem w takiej rozmowie?
Tylko dojrżeli panowie!
A młody? Głupie to, płoche,
Tylko pobrudzi pończochę,
Bąka coś, pożał się Boże,
To znów kwaśny, nie w humorze,
Jedna myśl go ściga wszędzie:
Będzie... z tego czy nie będzie.
Nigdy pojąć nie był w stanie,
Jak to może bawić Panie.

Słowem, nie przesadzę wcale:
W podróży czy w kryminale,
Przy pracy czy przy zabawie,
W każdej sytuacji prawie,
Czy przy politycznej misji,
Czy w teatralnej komisji,
Wiek dojrzały ma, bez blagi,
Tak oczywiste przewagi,
Że życzę wam, bracia mili,
Byście go rychło dożyli.

ZDARZENIE PRAWDZIWE

Siedząc żałośnie nad bakiem
Dumalem o życiu takim:
Żeby to tak było można,
By każda chęć płocha, zdrożna
Była ode mnie odległa,
By myśl moja zawsze biegła
Ku zacności, ku dobremu
I służyła tylko jemu.
I wciąż bym się doskonalił,
Tak żeby mnie każdy chwalił.
Ale, jak to zwykle bywa,
Że krótko trwa chęć poczciwa,
Jakoś mi to potem przeszło
I, co gorsza, się obeszło.

Pisane w r. 1911

W KARLSBADZIE

Marzyło mi się we śnie,
Że byłem ptaszkiem małym:
Wstawałem bardzo wcześnie,
Zarówno z dzionkiem białym;

W czyściutkim, jasnym zdroju
Pluskałem dzióbek potem
I w adamowym stroju
Grzałem się w słońku złotem.

Robaczków drobnych kilka,
To było me śniadanko,
A potem – szczęścia chwilka
Z samiczką, mą kochanką.

I żyłem rad ogromnie
Wśród lubych tych igraszek,
I każdy mówił o mnie:
Cóż to za miły ptaszek!

Tak mi się w nocy śniło,
Nim sen mi umknął z powiek,
I bardzo mi niemiło
Zbudzić się jako człowiek...

*

* *

Jeszcze na dworze szaro,
A już jak dobra wróżka
Dziewczę niemiecką gwarą
Za łeb mnie ciągnie z łóżka.

Herr Doktor! schon ist sechse –
Mówi ściągając koce;
Hol' Teuf'l dich, alte Hexe –
Z wdzięczności jej mamroczę.

O, biedne moje kości,
Zgiąć was się próżno siłę;
O, biedna ty, ludzkości,
I za cóż cierpisz tyle!

Gdzieżeś jest, gdzieś, niebogo,
Młodości ma kochana,
Gdym władał każdą nogą
Już od samego rana!

Gdym stapał lewą, prawą
I myślał w mym obłądzie,
Że to me święte prawo,
Że to tak zawsze będzie!...

*

* *

Słoneczko pierwsze cienie
Ledwie na ziemi kładzie,
A ja już me cierpienie
Wlokę po promenadzie.

Cóż tu za masa ludzi!
Cóż za zgiełk! Boże święty!
Jak tu się nikt nie nudzi,
Jak każdy jest zajęty!

Mężczyźni w sile wieku
Z minami tęgich zuchów:
Ach, pociesz się, człowieku,
Patrzając na tyłu druhów!

Ten, ów, na lasce wsparty,
Każdy przy swoim kubku,
I kroczą w cizbie zwartej
Półdupkę przy półdupku...

Jak wszystkim jedno w głowie,
Jedną myśl kaźden pieści:
I niechże mi kto powie,
Że życiu braknie treści!

Jak tutaj się ocenia,
Jak tu się staje jasne,
Ze celem wszechstworzenia
Jest chronić zdrowie własne!

I z łezką rzewną w oku
Pokornie staję w rzedzie,
Ślubując, iż co roku
Odtąd tak zawsze będzie...

*

* *

O, czysty, jasny zdroju,
Łagodnie alkaliczny,
O, źródło ty pokoju,
Nektarze ty mistyczny,

O, boski darze nieba,
Co wabisz nas rokrocznie,
Ileż nabłądzić trzeba,
Nim się przy tobie spocznie!

Kto w tobie usta zmacza,
Ten czuje w tym momencie,
Jak mu się przeinacza
Wszechziemskich spraw objęcie;

Wraz w piersi jego wzbiera
Zaświatów jakieś tchnienie
I życia rytm zamiera
Na jedno oka mgnienie...

Kształt bliski w dal ucieka,
Kolorów tęcze bledną,
Opuszcza duch człowieka
Ziemi skorupę biedną.

Na mgławiej płynąc fali
W obrazy senne patrzy,
Co gdzieś się topią w dali,
W cień jakiś coraz bladszy...

Tak u mühlbruńskich zdroi,
Wmieszany w cizbę gwarną,
Zgłębiam tajń duszy mojej
Wieczności tchem ciężarną;

I choć dziewczeczka młoda
Dłoń mi podsuwa z kubkiem,
Dziwno mi, że ta woda
Mocno smakuje trupkiem...

W Karlsbadzie, we wrześniu 1911 r.

POLAŁY SIĘ ŁZY ME CZYSTE, RZĘSISTE ...

Chce mi się pisać wiersze,
Jak psipsi dziecku chce się;
Słóweczko rzucam pierwsze,
Może mi coś przyniesie.

Może i inne, liczne
Popłyną za nim ciurkiem,
Floresy kreśląc śliczne
Pod skrzydłym moim piórkiem.

Może wytrysną ze mnie
W obrazków dziwnych rządek,
Po które bym daremnie
Wysyłał mój rozsądek...

Zawszeć to duszy zdrowiej –
I choć nań szemrzą różni,
Lżej iść jest pielgrzymowi,
Gdy w drodze się wypróżni...

Ach, tak, pielgrzymem jestem,
Co smętną podróż kończy
I utrudzonym gestem
Kuli się w swej opończy;

Wśród ulic pokręcenia
Błądę po mieście obcem,
Brnę poprzez mgły wspomnienia,
Gdym żył tu młodym chłopcem;

Patrzę w niknące szlaki,
Uśmiecham się do środka,
A każdy uśmiech taki
To jakby jedna zwrotka.

Patrzę z mych lat dojrzałych
W p r z e s z ł o ś ć s p o w i t ą m g ł a m i
I z oczu posmutniałych,
Ach, psipsi robię łzami...

W Paryżu w marcu 1912 r.

SPOWIEDŹ POETY

Kiedy za oknem śnieg prószy
Lub szemrzą jesienne deszcze,
Naówczas w głąb własnej duszy
Chmurni wpatrują się wieszczę.

Myśl ich szybuje skrzydlata
Hen, nad wszechbytu gdzieś progiem,
A duch wyniosły się brata
Z sobą jedynie i z Bogiem.

Rozwiej się jakaś otwiera
Nad niebios błękity szersza –
A skutek: u Gebethnera,
Po kop. pięćdziesiąt od wiersza.

I mnie, choć biorę mniej słono,
Zdarza się w nocy czy za dnia,
Że lica żarem mi spłoną,
Gdy duch sam siebie zapładnia;

Że lecę w nieziemskie kraje
Ze skrzydeł dwojgiem u ramion,
I krótko mówiąc, doznaję
Natchnienia klasycznych znamion.

Lecz, ach, gdy pruję powietrze,
W sferyczną wsłuchany ciszę,
I duch mój z wolna na wietrze
Nad jaźnią mą się kołysze;

Gdy spojrzę z kresów wieczności
Na moją nędzę przyziemną,
Gorzki żal w piersi mej gości
I w oczach od łez mi ciemno.

Im bliżej mi już do granic
Przelotnej ziemskiej pielgrzymki,
Tym bardziej w sercu mam za nic
Te moje mizerne rymki;

Młodości rozmach bezczelny
W chłodną rozwałkę się zmienia
I w duszy, przedtem tak dzielnej,
Lęgną się hydry zwątpienia;

Myśli w pytańnik się pletą
I w głowie zamęt mi czynią,
Czy jestem bożym poetą,
Czy tylko zwyczajną świnią?...

Czy jestem tańczącym faunem
Na gaju świętego zrębie,
Czy tylko cyrkowym klaunem,
Co sam się pierze po gębie?...

Czym owoc duszy mej rodził
W żywota pobożnych mękach,
Czym tylko figlarnie chodził
Po jasnym świecie na rękach?...

Czy, jak mi radził pan Galle,
Byłem jak Byron i Dante,
Czy tylko w pustoty szale
Składałem śpiwki galante?...

I duch mój sztywne ramiona
Pręży w mrok szary i mglisty,
I w piersiach łka coś i kona,
I chwytam za papier czysty.

Po głowie mi się coś roi,
W sercu coś kwili, coś gęga,
I śnię już w tęsknocie mojej,
Że się coś „serio” wylęga.

Ale na próżno się siłę,
Czas trawię na wzlotów próbę,
Na papier płyną co chwilę
Słowa niechlujne i grube.

Wdzięczą się do mnie tak świeże,
Jak piersi młodych dziewczątek,
I chęć obłądna mnie bierze

W mych natchnień wcielić je wątek.

Szeregiem mienią się długim
Niby błyszczące klejnoty
I chciałbym, jedno po drugim,
Na łańcuch nizać je złoty.

Kuszą mnie czarem niezdrowym:
Im które z nich jest plugawsze,
Tym bardziej w kształcie spiżowym
Chciałbym je zakuć na zawsze.

I patrzę na swoje płody,
I żądzą przewrotną płonę,
I ryczę jak Orang młody,
Gdy gwałci polską matronę.

Próżno się kajam i bronię,
Dręczony pokus torturą,
Próżno w dróg mlecznych ogonie
Oczyścić chciałbym me pióro.

Archanioł, co z mieczem stoi
Przy świętym poezji chramie,
Nie wpuszcza piosenki mojej
I mówi: „Pójdiesz, ty chamie!”

I tak się tułam po świecie,
I żal, i smutek mnie dławia,
Żem jest jak nieślubne dziecię,
Z którym się grzeczne nie bawia...

Trudno, choć dola ma twarda,
W bezsilnej miotać się złości:
Zostaje dumna pogarda
Lub apel do potomności;

A jeślim gwary ojczystej
Choć jeden przysporzył klawisz,
Ty mnie od hańby wieczystej,
O mowo polska, wybawisz!

W SZTAMBUCHU

Ieśli, nad insze dziewko urodziwa,
Lat mnogich szczęsną przecirpiawszy dołę,
Zasiędziesz wreszcie, matrono szedziwa,
W uciesznych wnucząt zaufanem kole,

Gdy będziesz gwarzyć wśród czeladki oney
O dawnych woynach, fortycach warownych,
O Wiśle rzyce, het od krwie czerwoney,
Y gwałtach niewiast cnotami szacownych,

Rzekniy, iż pośród rycerskiey gromady
Więcej niż groty, śrapnyłe siarczyste,
Niż baionetów nieprzychylne zwady,
Zła naczyniły tve oczki strzeliste;

Y że okrutniey nad gromkie kanony,
Nad wybuchiwe miniery tajemne
Brzmiał, wierę, temu twoy głoszek piezczony,
Komu tve czucia wieścił niewzajemne.

Coż bowiem ważą srogie ludów waśnie,
Coż rzeźby krwawe y światów zniszczenie
Naprzeciw sercu, co popadło właśnie
W najsłodszych ogniów lube zachwycenie?

Iakoż się nie ma zdać błaha y pusta
Ludzka obawa śmiertelney zaguby
Temu, co bacząc tve różane usta,
Daremnie z chęci obumiera lubey?

Przeminą iedni, drudzy zasię przydą,
Iako rokrocznie ruń świeża się pleni:
Wiecznie trwa ieno przemożny KUPIDO,
Co IEYMOŚĆ PANNY dziś służką się mieni...

Cracoviae, 22 Novembris 1914,
wrzkomo szturmowanej fortycy
krakowskiej dnia szóstego.

WYJAŚNIENIE TOWARZYSKIE

(Z korespondencji prywatnej)

Gdy się po łóżku tułam porą nocną,
W zwodnych majaków rzucony bezdroża,
Widzę twą postać dużą, gibką, mocną;
Przysiadasz czasem na krawędzi łoża
I patrzysz na mnie twym wzrokiem zwycięskim,
Nieustraszonym, dumnym, prawie męskim.

I pod tym wzrokiem zradliwszym niż wino
Myśl mi się płacze w widzeniu współnym...
I ja się czuję bezbronną dziewczyną,
A tyś kochankiem snów moich promiennym,
I w rozmodleniu cichym na twe łono
Skłaniam mą psyche nagle skobieconą...

I kędy dłoń twa na mnie się położy,
Wraz wykwitają mi niewieście wdzięki:
Ramionko linią nieśmiałą się trwoży,
Piersi tryskają w półdojrzałe pęki,
Oczu przejrzystych lśni się otchłań modra,
Pieściwą falą spływają me biodra...

I wszystkie lęki i wstydy dziewczęce,
Duszy i ciała nietknięte oazy,
Wszystko, ach, wszystko oddaję ci w ręce,
Spowijam w pieszczot bezładne wyrazy
I kształt zaplatam mój wiotki i żeński
O ciebie, cudny efebie helleński...

Spod ciężkich powiek, z łagodnym uśmiechem,
Opuszczasz ku mnie źrenice świetliste
I pierś ma staje się nabrzmiała grzechem,
I ciało moje, jak górski śnieg czyste,
Przecuciem CIEBIE dygota jak w febrze
I niemo swego dopełnienia zebrze...

Tchnienie twojego oddechu upalne,
Ust twoich pieczęć czuję rozgorzałą
I zanim owo „nie...” sakramentalne
Zdołam wyjęknąć – naraz – – już się stało!
O słodka przemoc! – wpółotwartą bramą
Runęłaś we mnie, Rozkosz, Szczęście samo...

I nagle, nagle... spazm... i łkanie krótkie...
I serce staje w strasznym Zachwyceniu – –

I szczęście, szczęście, straszliwe, cichutkie,
Drżenie mdlejące rozpacznie w twym drzeniu...
Twe usta... och, ty kochanku jedyny...
...za wiele... lituj się swojej dziewczyny...

...ach, co to było?... czy jeszcze wciąż marzę...
Skąd ja się budzę nagle w twym objęciu?...
Dlaczego mamy od łez mokre twarze,
Czemu ty, niby drżącemu dziecięciu,
Szepcesz kołysząc mnie słodko, powoli:
„Nie płacz, maleńki, nie, nie, już nie boli...”

I rankiem zrywam się z mych nocnych widzeń,
I chodzę cichy, senny przez dzień cały,
Pełen tajemnic lubych i zawstydzeń,
I wzrok twym oczom umykam nieśmiały –
A pani wówczas, pełna niepokoju,
Pyta: „Co panu, drogi panie Boyu?...”

BEZ TYTUŁU

Przemawiał dziad do obrazu,
A obraz do niego ani razu.
(Motto ze starej legendy)

O ty dziadku, mój druhu serdeczny,
Coś tak długo mówił do obrazu,
A zaś obraz (och, symbolu wieczny)
Nic do ciebie nie rzekł ani razu.

Pójdźmy społem, stary marzycielu,
Ot, przed siebie, wszak świat jest dość duży.
Z dłonią w dłoni i w serca weselu
Śpiewać sobie, biedni trubadurzy,

O tej naszej cichutkiej tęsknocie
Krwi się falą cisnącej do gardła,
O drobnutkiej, przymilnej pieśzczocie,
Co przedwcześnie w smutku obumarła,

O tym szczęściu, co od nas ucieka,
O tym, które mijamy w pośpiechu,
I o sercu niewinnym człowieka,
Tak dziecięco nieświadomym grzechu,

O tej tkance prześlicznej półzdarzeń,
Co tkwią w życiu zaledwie na tyle,
By się kanwą stać leciuchnych marzeń
Fruwających het, w słonecznym pyle,

I o tobie, pachnący mój kwiecie,
Przez naturę wypieszczony na to,
By storczykiem był dziwnym poecie,
Zanim komuś tam będzie sałatą.

Idźmy śpiewać! Niech w mroku przepadnie
Cała prawdy prawdziwość obrzydła:
Trzeba myśli wszyściutkie tak ładnie
W bibułkowe poubierać skrzydła,

Trzeba włożyć im pierrotów kryzy,
Mąką ślady zamazać męczeństwa
I w żelazne zacisnąć je ryzy,
By wciąż górne C brały błazeństwa,

By, za gors się wciskając natrętnie,

Wciąż cię śmiechem łechtały pod paszki,
Ciebie, śmiać się lubiącą tak chętnie,
Arcywzorze Kolombiny-laszki,

Żeby każda w swych pragnień wyrazie
Była tkliwa, przewrotna i rzadka –
Może wówczas, mój cudny obrazie,
Się odezwiesz do swojego dziadka...

PYTAJĄ MNIE SIĘ LUDZIE...

Pytają mnie się ludzie,
Czemu, lenistwem uwiedzion,
Ustałem w miłym trudzie
Łechtania polskich śledzion;

Czemum zaniedbał struny
Mej „ironicznej” lutni,
By zgłębiać dawne runy
Lub ziewać coraz to smutniej...

Źle czynię, bracia moi,
Lecz zważcie w zamian, proszę,
Że jeśli rzecz tak stoi,
Wasza w tym wina po trosze;

W iskier krzesaniu żywem
Materiał to rzecz główna;
Trudno najtęższym krzesiwem
Iskry wydobyć z substancji miękkiej i podatnej...

W tej generalnej klapie
Każdy niech s o b i e leży:
Ja, z książką, na kanapie,
Wy, z wdziękiem, w trawce świeżej;

A za pociechę może
Służyć jednemu z drugim,
Że nas tymczasem orze
HISTORIA swoim pługiem...

23 VIII 1916

Dwie są rzeczy mniej smutne niż inne
na tym świecie przepojonym łzami:
albo rymy dobierać niewinne,
lub usteczek dobierać ustami;

albo w gryzać się z radosnym znojem
w myśli tkanek i sok z niej wysysać,
albo serce drgające na swoim
słów kłamliwych pieszczotą kołysać.

(Fragment z nie wydanego rapsodu historyzoficznego pt. „Leszek Błaty”.)

Słońce jesienne (Tryptyk)

1. EXPIACJA

Jest czas rodzenia i czas umierania; czas sadzenia i czas wycinania tego, co sadzone; czas rozrzucania kamieni i czas zbierania kamieni; czas...

Eccl. III, 2–8

I przyłożyłem do tego serce moje, abym poznał mądrość i umiejętność, szaleństwo i głupstwo; alem doznał, iż to jest utrapieniem ducha.

Eccl. I, 17

O paniach, co mnie kochały,
serdecznie nieraz myślę;
mają swój kącik mały,
lecz ciepły w moim umyśle.

Zachodzę tam czasami,
gdy chwilę taką utrafię,
i patrzę prawie ze łzami
na zblakłe fotografie.

Patrzę z uczuciem winy
w wasze nienackne twarze,
o wy, upojeń godziny
na życia mego zegarze...

Ach, jest czas obłapienia,
powiada Eklezjasta (III, 5),
jest czas, gdy świat przesłania
potęgą swą niewiasta;

gdy ciało w słodkim uścisku
straszliwa rozkosz zesztwywnia
i byt, jak w Grala półmisku,
w niej się u-o-bie-kty-wnia;

gdy serca potężne bicie,
w pieszczot jedynej dobie,
zamyka i tworzy życie,
i celem samo jest w sobie...

I jest czas znowu inny,

gdy DUCH się z siebie rodzi
i chmurny a niewinny
od szczęścia precz odchodzi;

i niecierpliwie wstrząsa
przyziemnych pęt ostatek,
i szarpie się, i dąsa
wśród koronkowych gatek;

i podejrzliwie spogląda,
i gnuśny spokój płoszy,
i dziesięciny żąda
od każdej chwili rozkoszy;

i tylko tej ochocie
istnienia przyznaje prawo,
co Mu okupi się w złocie
i Jemu będzie strawą – –

...i w waszym lubym objęciu,
wpółbliski jeszcze ciałem,
co czwarty uścisk w przecięciu
haniebnie z NIM was zdradzałem;

przez dziurkę nad lewym bokiem
krew waszą piłem ciepłą,
by tym cudownym sokiem
treść mą ożywić zakrzeplą;

wyście mi były „prailem”,
z którego wstawał poeta –
i za to was płaciłem,
ach, jakże lichą monetą!

Jakże wam często kradłem
najświętsze dobro wasze,
by gardząc ziemskim stadłem,
wyfruwać hen, jak ptaszę!

Stulałem pokornie uszy
pod szyderstw waszych świstem,
by w katakumby mej duszy
zstępować z sercem czystem;

umiałem, wbrew pysze męskiej,
maskę niemocy przywdziewać,
by MOCY hymn zwycięski
cichutko w sobie śpiewać!...

.....
...w wasze nękające twarze
patrzę z uczuciem winy,
o wy, na życia zegarze
upojeń dźwięczne godziny;

wy, szarów wczorajszych dreszcze
rozwiane kędyś po świecie,
wy... czy pomnicie mnie jeszcze...
przebaczcie, jeśli możecie...

2. PIEŚŃ WIECZORNA

Janowi Kasprowiczowi

I znalazłem rzecz gorzciejszą nad śmierć, to
jest taką niewiastę, której serce jest jako sieci
i sidło, a ręce jej jako pęta. Kto się Bogu po-
doba, wolny będzie od niej; ale grzesznik bę-
dzie od niej pojmany.

Eccl. VII, 26

Wtulony w kącik sofy,
jak Hiob na swoim barłogu,
śpiewam me biedne strofy
sobie już tylko i Bogu.

Oczy w dal wpijam nieznana,
patrzę i milczę, albowiem,
co człeku wiedzieć jest dano,
wiem wszystko – ale nie powiem.

Pókim znał prawdy li cząstkę,
ach, wówczas szczebiotałem
jak dziecię, gdy ssie swą piąstkę
niewinnym zbrukana kalem;

nuciłem piosnki moje,
melodią świat mi był cały;
jak barwnych motylków roje,
tak Boyuś chwycił je mały.

Ach, byłoż mi dzieckiem zostać
na łonie Bytu-matki;
welon, co kryje jej postać,
paskudzić w deseń rzadki;

czemuż go zdarła niebaczna,
oblędna ręka artysty! –
Spirytus to rzecz smaczna,
lecz trudno pijać jest czysty...

Spojrzałem ci oko w oko,
żywotów odwieczna siło!
Patrzałem długo, głęboko,
aż mi się głupio zrobiło!

Patrzałem bez oddechu,

aż w piersi mojej coś pękło
i w srebrnym moim śmiechu
zerwaną struną coś jęknęło;

coś w otchłań się zapadło,
zamarło w pustkowiu głuchem
i farb bogactwo zbladło
Mai paćkanych paluchem...

...dziś patrzę okiem stępieniem
na Stwórcy figlarne dzieło
i wołam z królem Neronem:
Qualis artifex pereo...

.....
Wtulony w kącik sofy,
jak Hiob na swoim barłogu,
śpiewam me biedne strofy
sobie już tylko i Bogu.

I myślę, w jakiej postaci,
kiedy mnie już nie będzie,
wśród moich dobrych współbraci.
żyć będę w rzewnej legendzie;

a potem nic już nie myślę,
tylko w półmroku szarym
siedzę, ot, mówiąc ściśle,
na mym derierze starym...

3. SŁOŃCE JESIENNE

Przemyślałem w sercu swem, abym pozwolił
wina ciału memu (serce jednak swoje spra –
wując mądrością) i abym się trzymał głup –
stwa dotąd, ażbym obaczył, co by lepszego
było synom ludzkim czynić pod niebem przez
wszystkie dni żywota ich.

Eccl. II, 3

O słońce, słońce płodne,
co kędyś w szczęśliwszym kraju
domowe i łagodne
zstępujesz w flakon tokaju;

o dobre słońce jesienne,
wejrzyj na dni me leniwe,
zwróć ku mnie oko promienne:
ty mi bądź miłościwe!

Jakże rozkosznie mnie grzeje
promieni twych płynne złoto,
jak się mym ustom śmieje
życzliwą, mądrą pieśczołą;

jak w błękit rozprzestrzenia
pracowni mej mrocznej ściany,
jak mi świat cały przemienia
w karuzel rozśpiewany!

Drga we mnie każde ścięgno,
życie gra w każdym nerwie,
myśli radośnie się lęgną
jak małe robaczki w ścierwie,

jakaś mnie dławi pustota;
w szczęścia drapieżnym uśmiechu
wypruwam sobie z żywota,
och, bebecz po bebeczu,

ciągnę od samych cynader,
w esy zaplatam rozliczne,
cieszy mnie, że są nader
gibkie i elastyczne,

cieszy mnie ich nadobna
powierzchnia, że taka lśniąca,

że każdy flak z osobna
odbija troszeczkę słońca,

cieszy mnie wszystko na świecie,
wszystko mi znów jest prze-dziwne
i znowum jest jak dziecię
zdumione i naiwne,

i całej, całutkiej ziemi,
próżeń mąk, smutków i złości,
śle usta wzruszonemi
modlitwę wszechmiłości...

Pisane w r. 1915

Z mojego dzienniczka

JESTEM NIBY MACICA...

Jestem niby macica
(Nie damska, lecz perłowa):
Przedziwna tajemnica
W skorupce mej się chowa;

Kiedy mnie coś skaleczy
(O, śliczna metaforo!),
Naówczas „w samej rzeczy”
Perłkę lęgnę chorą...

Ach, niech się leże cała
Kolia dla mojej damy,
Iżby pamiątkę miała,
Że troszkę się kochamy;

Żeśmy się wraz zdybali
Na tym padole smutku,
Zanim ruszymy dalej
Westchnąwszy po cichutku...

Niech drobne słówka brzęczą,
Snując półśmiechami
Niteczkę tę pajęczą
Rzuconą między nami...

19 VI 916

WSZYSTKO JEST GŁUPIE...

Wszystko jest głupie, co rodzi się z myśli,
A nie z kapryśnych słów zgodnego dźwięku;
Wszystko jest kłamstwem, czego nie nakryśli
Pióro bezwolnie chwiejące się w rękę;

Wszystko jest nudą, co nie jest marzeniem,
Za światem baśni naiwną tęsknotą –
Wszystko jest zgrzytem, co nie jest westchnieniem
Z serca do serca wionącym pieszczotą...

13 IX 916

NIKT MI PONOŚ NIE ZAPRZECZY..

Nikt mi ponoś nie zaprzeczy
(Chyba głowy bałamutne),
Że, psiakość, istnieją rzeczy
Przykro, rozpaczliwie smutne,

W których skupił się bezdenny
Symbol całej nędzy świata:
Gnany wichrem liść jesienny,
Genitalia jubilata,

Ostatni kwadrans odczytu...
Jeszcze kilka takich może
Wyplwanych przez Chaos bytu
W oczywistym nie-humorze.

Oto rzeczy, których godło:
Lasciate ogni speranza;
Lub też, gwarą bardziej podłą,
Z polska: a bodaj cię franca...

Lecz głębiej smutne i więcej
Niż wszystko inne, niestety,
Jest w wierze swojej dziecięcej
Zranione serce poety...

18 XI 916

MAJOWĄ, CICHĄ NOCĄ...

Majową, cichą nocą
Po mieście błędę sennym,
Wśród drzew latarnie migocą
W listeczków drzeniu promiennym.

Błędę, jak jaki Heine,
Z duszą śmiertelnie chorą –
Die kleine, feine, die eine – –
Ach, wszystko diabli biorą...

Śpiewajcie, ptaszki mej duszy,
Istnienia czarowną głupiość;
Może wasz świegot zgłuszy
Myśli mych smutek i trupiość –

Zwińcie mi w kaprys zalotny,
W leciuchne zakręćcie tryle
Wiew życia bezpowrotny
I tęsknot próżnych tyle...

Znów w siebie tylko patrzę
Oczyma zamglonemi,
W mych rojeń śmieszny teatrze,
Jedynym dla mnie na ziemi;

W mar wiotkich błąkam się kole,
Obok mnie gwar i zamęt,
Za przyszłą, lepszą dolę
Krew płynie... i atrament...

Jakaś potężna harmonia
Brzmi coraz to wyraźniej:
To wielka RA-mol Symfonia,
Symfonia polskiej JAŻNI...

Cichajcie, moje wy ptaszki,
Stulcie gardziolka płóche:
Nie czas na wasze igraszki,
Wstyd mi, wstyd za was trochę;

Dość już machania ogonkiem
I mózdzku bezceństwa;
Czas by już zostać członkiem
Jakiegoś społeczeństwa;

Jednania święcą się gody:
Grajcie mej duszy fanfary!
Umiera błazen młody,
Rodzi się dureń stary...

...Po mieście krążę wpółśpiącym
I pytam przeciągłym śpiewem,
Czy ono snem mym dławiącym,
Czym ja jest jego wyziewem...

Po mieście błądzę sennym
Majową, cudną nocą,
W listeczków drzeniu promiennym
Latarnie tęskno migocą...

16 V 916

ZNOWUM WRÓCIŁ...

Znowum wrócił z wyprawy po życie
Do mej cichej, samotnej komórki;
Wytarzałem się w nim należycie,
Zachłysnąłem się po same dziurki.

Znowu ległem zwinięty w kłębuszek,
Niby chore, dygocące zwierzę,
Twarz rozgniatam o stertę poduszek
I mamrocę me dziwne pacierze...

Ty znasz jeden, o rytmie, me wnętrze,
Ty kłaść umiesz ręce na klawisze,
Z których tony płyną najgorętsze
W smutku mego lodowatą ciszę...

Głupi jestem jak nogi stołowe,
Głupi jestem ohydnie i płaski,
Aż nie raczy spłynąć na mą głowę
Promień twojej, o poezjo, łaski!

O Szaleństwo, przepal mnie swym żarem,
Niech zapory wszystkie we mnie pękną,
Aż straszliwym, niepojętym czarem
Nędza moja się przetworzy w piękno!

Wszystko w świecie dobre jest i śliczne:
I ten wieczór ciepły, i te drzewka,
I te kwiatów kadzidła mistyczne,
I ta skromna pod drzewem kurewka.

Wszystko szemrze dokoła i śpiewa
Ducha płodną, nieśmiertelną wiosnę,
Wszystko w jednym akordzie się zlewa
W Myśli świata rżenie miłosne!

O Szaleństwo, jakże twoim jestem,
Tyś mi światłem w błędnych mrokach nocy:
Tyś jest SŁOWEM, a ja tylko gestem,
Zniechęcenia gestem i niemocy...

25 V 916

A KIEDY PRZYJDZIE..

...A kiedy przyjdzie godzina rozstania,
Popatrzmy sobie w oczy długo, długo
I bez jednego słowa pożegnania
Idźmy – ja w jedną stronę, a ty w drugą.

Bo taka nam już pisana jest dola,
Że nigdy dla nas Jutro się nie ziści,
Wiecznie nam w poprzek stanie tajna WOLA,
Co tkliwość mieni w podmuch nienawiści.

Najmilsza moja! Leć, kędy cię niesie
Twych piórek zwiewność i krwi młodej tętno;
Leć, kędy życia pieśń wzdyma i gniew się
W rytmów tanecznych melodię namiętą;

Leć, kędy Rozkosz wyciąga ramiona
Po smutne serce człowieka tułace,
Co w jej śmiertelnym spazmie drży i kona,
I wyje z bólu, i ze szczęścia płacze...

Leć... ale pomnij: w pogody uśmiechu,
W marzeń haszyszu i w smutków żalobie,
I w cnót dystynkcji, i w plugastwie grzechu
To wiedz, najmilsza: ja jestem przy tobie.

Oczyrna na cię patrzę skupionemi,
Jak na misterium ważne, groźne prawie,
I co bądź czynisz, biedna Córo Ziemi,
Ja, brat twój starszy, ja ci błogosławię...

...Gdy będziesz cierpieć, ja ciebie pocieszę,
A gdy się zbrukasz, wówczas wiedz, ty droga:
Ja cię wysłucham i ja cię rozgrzeszę,
Bo taką władzę mam daną od Boga.

W twe dłonie wtulę twarz od tęsknot bladą,
O twe kolana głowę oprę biedną,
A ty mi bajaj, o Szecherezado,
Twych cudnych nocy, ach, tysiąc i jedną...

...A kiedy przyjdzie godzina spotkania,
Może w nas pamięć dawnych chwil poruszy
I bez jednego słowa powitania
Popatrzym sobie aż w samo dno duszy...

31 XII 916

Piosenki „Zielonego Balonika”

WIERSZ INAUGURACYJNY NA OTWARCIE PIĄTEGO SEZONU „ZIELONEGO BALONIKA”

Już się piąta zima znaczy,
Jak w tych starych murów cieniu
Walczym, z odwagą rozpaczy,
Przeciw mózgowi rozmiękczeniu...

Walczym mężnie, lecz bez wiary,
Przeciw tej krakowskiej hydrze,
Patrząc, rychłoli ofiary
I z naszego grona wydrze.

Przeżyliśmy tu, w tej sali,
Pięć lat naszych młodych rojeń;
Tutaj życieśmy czerpali
Z tak zwanej czary u p o j e ń.

Weszliśmy w te ciche bramy
W naszych lat młodzieńczych wiośnie,
Niewinni jak dziecię Mamy,
Gdy pierś jej tuli radośnie.

Weszliśmy pełni zapału,
Że zmienimy świata kolej,
Że stworzymy, choć pomału,
Polskę, co ma we łbie olej...

Nie broniąc się przed męczeństwem,
Nieśliśmy siły najlepsze;
W pogoni za człowieczeństwem
Bywaliśmy jako wieprze...

By zdobyć pogład niezłomny
Na cnotę i na występki,
W grzechów kałuży ogromnej
Nurzaliśmy się po pępek.

Dzisiaj, gdy pierwsza siwizna
Bieli naszą skroń znużoną,
Patrzymy, zali Ojczyzna

Przyjęła ofiarę ona?...

Czy który z nas, choć w mogile (*lezka*),
Tej pociechy kiedy zazna,
By nas naród wspomniał mile,
Niby król swojego błażna?...

Lecz dalej! Co bądź nas spotka,
Co bądź przypadnie nam w zysku:
Czy trudów nagroda słodka,
Czy tylko sińce na pysku,

Czyli pierzchną mroków cienie,
Czy się los zawistny uprze,
By następne pokolenie
Było w Polsce jeszcze głupsze,

Czyli czeka nas podzięka,
Czy też obrzucą nas błotem,
Niech płynie nowa piosenka,
Niech się pluska w winie złotem;

Niechaj śwista, niechaj warczy
Niby bąk podcięty batem:
Zanim przyjdzie uwiad starczy,
Jeszcze się pobawmy światem!

A kiedyś przyszłość odpowi,
Gdy nowych dni wejdą brzaski,
Kto lepiej służył krajowi:
L u t o- czy też S i e r o- sławski!

Pisane w r. 1909

NOWA PIEŚŃ O RYDZU,

CZYLI:
JAK JAN MICHALIK ZOSTAŁ MECENASEM SZTUKI,

CZYLI:
NIEZBADANE SĄ DROGI OPATRZNOŚCI

Nuta: *Zdarzyło się raz Jadwidze,
Poszła do lasu na rydze*

Miał se Michalik cukiernię,
Kupczył w niej trzeźwo i wiernie,
Kawusia, ciastka i pączki,
Zapłata z rączki do rączki.

Kredytu śmiertelny był on wróg,
Toteż mu za to poszczęścił Bóg,
Że serce dla golców miał z głazu,
Nie zrobił *benkele* ni razu.

Każdy stan swoje ma smutki:
Więc też w czas niezmiernie krótki
W ów lokal znany z trzeźwości
Dziwnych sprowadził czart gości.

W pobliżu świątynia stała sztuk,
Stamtąd się zakradł najpierwszy wróg,
M a l a r i a lokal obsiadła,
Iżby w nim piła i jadła.

Dziwi się wszystko w tej budzie:
Cóż tu się schodzą za ludzie!
Chłop w chłopu dziki, kosmaty,
A portki na nim – na raty.

„Hej, chłopak, wiśniówki dawać w cwał!”
Wygolił dwanaście tak jak stał
I mówi: „Ciasteczka i trunek
Zapisz pan na mój rachunek”.

Przez dwa tygodnie już co dzień
Jadł i pił obcy przychodzień;
Wreszcie Michalik nieśmiało
Należność podaje całą.

„Czterdzieści sześć koron! Eh, to nic,

Dodaj pan te cztery, bierz ten kicz;
Przylepisz go se do ściany,
Będiesz miał lokal ubrany”.

Cóż było począć z tym drabem?
Więc po wzdraganiu dość słabem
Zrozumiał biedny gospodarz,
Co to jest popyt i podaż!

I od tej chwili codziennie już
Lał się spirytus z ogromnych kruż;
Michalik patrzy i patrzy,
A mur ma coraz pstrokatszy.

Co potem jeszcze się działo,
Gadać by trzeba niemało,
Dość, że ta buda od dawna
Już w całej Polsce jest sławna.

Wszystko oglądać ją pędzi w skok
Do Michalika na fajfoklok:
Kołtun z prowincji czy z miasta
Z otwartą gębą żre ciasta.

Spróbuj zaglądnąć w zapusty
Do Michalika o szóstej:
Kogóż tam nie ma! sam powidz:
Nawet Rachela z Bronowic!

Oj pa-, oj pa-nie Michalik,
A gdzież tyż tu jest jaki katolik?
Karmcież mi dobrze go, proszę,
By się nie skurczył po trosze...

W końcu Michalik na serio
Zaczął brać swoją galerią,
Uderzyło mu do głowy,
Że taki sklep ma morowy.

„Hej, panie Mączyński, panie Frycz,
Bierzcie, co chcecie, nie szcędźcie nic,
Urządźcie pięknie mi salę,
Niech się przed światem pochwalę”.

Chwycili pędzle, ołówki,
Poszli po rozum do główki
I mówią: „Cztery tysiączki
Bulić tu z rączki do rączki”.

Oj Mi-, oj Mi-, oj Mi-chalik,
Powiedz mi, chłopie, czyś ty się wścik?
Strasznie zmieniły się czasy,
Płać złotem za te figlasy!

Nie mamy w Polsce monarchy,
Same w niej golce lub parchy:
Michalik został nam jeden,
By Sztuki stworzyć w niej Eden;

Oj ry-, oj ry-, oj ry-cerzu nasz,
Sztandarów świętych ty trzymaj straż,
Będziem cię doić jak brata,
Byłeś nam długie żył lata!

bis z chórem

Pisane w r. 1910

CO MÓWILI W KOŚCIELE U KAPUCYNÓW

PIEŚŃ DZIADKOWA

Posłuchajcie, ludkowie,
Co wam dziadek opowie:
Niech nastawi każdy ucha,
Bo to mądra jest psiajucha,
Z niejednej flaszki pijał.

Wiecie wy, chamskie gnaty,
Z kim ja jestem żonaty?
W kościele moja babina
Baczy, by każda hrabina
Miała do mszy stołeczek.

Przy tej duchownej pieczy
Słyszcy też różne rzeczy,
Co tam sobie parle-franse
Wyzwirzują za romanse:
Okrutne wszeteczeństwa.

W przedostatnią niedzielę
W kapoczeńskim kościele,
Mówiła mi moja starka,
Straśna była tam pogwarka
O jakimś b a l o n i k u.

Rzecz panie nieftóra:
„To Sodoma, Gomóra;
Niewidziane rzeczy w świecie,
Co oni w tym t a b u r e c i e –
Tfu! nikię zwykłe świnię.

Schodzą się do piwnice,
Zapalone trzy świce,
Drzwi nie wpródzi się otwiera,
Aż kto imię Lucypera
Po trzy razy zawoła.

Kompanija wesoła
Ozbiera się do goła,
Potem jakieś sztuczne tańce
Wyprawiają te pohańce,
Wstyd wymówić: jakieś m a c i c e.

Syćko se tak używa,
Choć niejedna już siwa;

Niejedna – boskie skaranie –
W odmienionym chodzi stanie,
A i tak se folguje.

Z harakiem stoi balia,
Pije cała kanalia,
Od rzeźbiarza do maliarza
Każdy pysk do balii wraża
I bez pamięci chłepce.

Beł tam młody chłopczyna,
Zwą go jakoś... Stasina,
Jak nie weźmie płakać, prosić,
Ze pić nie fce, ze ma dosyć –
Przemocą w gardło leją.

Jensza bestia – tak gruba –
Straśnie sprośna choroba –
Do syćkiego ten ci pirszy,
Wszeteczne im składa wirsze
Na to rajskie wesele.

W wielkiej on ci tam chwale
Gra na klawicymbale,
Syćkie głosem mu wtórują –
Po brzuchu go przyklepują –
Niby ze pirsza świnią.

Jenszy na łbie ma kłaki
Jak u jakiej pokraki –
Ponoś jaze jest ze Zmudzi:
Co ten gębą napaskudzi,
To ratuj, Chryste Panie!

Mówiom o nim dochtory,
Ze na rozum jest chory –
Bo do kobit tak się bierze:
Zamiast użyć, jak należy,
Ino gada plugastwa.

Jenszy znów to krotofil,
Wołajom go Teofil;
Żółte kudły se fryzuje,
Szpetne figle pokazuje,
Baby skrzeczom z radości.

Ze jest chłop jak się patrzy,
Niejedna się zapatrzy –

Potem dziwią się ludziska,
Choć nie krewny, zasie z pyska
Wykapany Teofil.

Jak się syto napiją,
Dość se gębów pobiją,
Potem liga syćko społem,
Fto na stole, fto pod stołem,
Gorzej niśli żwirzeta.

Taką mają zabawę
Te odmieńce plugawe,
Co się same – Panie święty –
Przezywają «dekadenty»,
Po polsku: takie syny!”

Tak gadali w niedziele
W kapocieńskim kościele:
Nie strzymałek ciekawości,
Przywleklek tu stare kości,
Niech się dziaduś napatrzy...

Pisane w r. 1906

POCHWAŁA OJCOSTWA

Pieśń napisana na uczczenie radosnego zdarzenia w rodzinie dyrektora „Zielonego Balonika”, a poprzedzona dwiema strofkami treści ogólnofilozoficznej.

Nuta: *Danse du ventre*

Życie ludzkie na pozór
to zwykły kawał,
Lecz on nie jest tak prosty,
jak by się zdawał;
Ledwie się wyznasz na niem,
Jużes jest starym draniem;
Kiedyś taki rozumny,
Włazuje do trumny...

Jednakowo dla wszystkich
świat ten się kręci,
W mózgu zasad przybywa,
a w żyłach rtęci...
Reumatyzmy już łupią,
Coraz bardziej jest głupio,
Czują już nasze kości
Przedsmak wieczności...

Z czymże staniesz przed Stwórcą,
miły „Stasinku”,
Gdy napelnisz niebiosą
zapachem kminku?
Tam już kończy się błaga,
Rozbiorą cię do naga,
Nikt się tam nie przestraszy
Białych kamaszy...

Na początek spróbujesz
łgać na potęgę;
Wówczas Pan Bóg otworzy
ogromną księgę:
„Stanisław Sierosławski –
ODKRYCIA, WYNALAZKI
I k o b i e c e ramoty
Każdej soboty...”

I Stwórca wyda wyrok
zwięźle i krótko:
„Mój Stasinku, w ł a ś c i w i e

to jest m a l u t k o;
Za to, żeś żył tak marnie,
Będiesz cierpiał męczarnie,
Robił numer niedzielny
W prasie piekielnej”.

Rozplącze się Stasinek
jak małe dziecko,
Zacznie bąkać coś z cicha
O k a b a r e c i e...
Na to przyskoczą diabły
I po twarzy wybladłej
Lizać go zaczną, przy tem
Głaszcząc kopytem...

Jeden ciągnie za nogę,
drugi za ucho;
Wówczas, widząc Stasinek,
że już z nim krucho,
Krzyknie głosem straszliwym:
„Byłem ojcem szczęśliwym!
Sił przelałem ostatek
W siedmioro dziątek!

Jedni czynią swe dzieła
farbą na płótnie,
Inni się nad marmurem
pocą okrutnie
Lub gdy żądza ich zbierze,
Smarują na papierze,
Aby krew swych męczarni
Sprzedać w księgarni!

Laury takie nie skuszą
duszy mej hardej,
Nie mam dla tych igraszek
nic prócz pogardy.
Ja, z przeproszeniem waszem,
Byłem nowym Fidiaszem,
Rzeźbiłem żywe ludzie
W niemałym trudzie!

Właśnie kwili w kolebce
siódma dziecina,
Poprzysiągłem nie spocząć
niżej tuzina,
Niestety, śmierć zdradziecka
Przerwała wyrób dziecka,

Wydarła mnie, zbyt skora,
Służbie Amora!”

Jeden okrzyk podziwu
w krąg się rozlegnie;
By oglądać herosa,
niebo się zbiegnie;
I w wielkiej chwale siędzie,
I dumne jego łądzwie
Sławić będą, hen z góry,
Anielskie chóry;

I w wielkiej chwale siędzie,
I płodne jego łądzwie
Sławić będą, hen z góry,
Anielskie chóry!!

Pisane w r. 1908

OPOWIEŚĆ DZIADKOWA O ZAGINIONEJ HRABINIE

Straśna okropność w Warsiawie się stała,
Jak opisuje nasza prasa cała,
Zjadły hrabinę jakieś ludożerce,
Srogie morderce.

Coś upatrzyły sobie te bandyty
Do nieszczęśliwy, bezbronny kobity,
Nic jej nie pomógł bilet pirszy klasy:
Okropne czasy!

Wlazła ci za nią jedna z drugą świnią:
Jak zacznie kurzyć paskudny Wirdżinia,
Za małą chwilę syćko w kupie spało:
Tak ci śmierdziało!

Dalejże, zbóje, do onyj niebogi,
Bidną hrabinę wywlekli za nogi,
Nos jej skrwawili, podbili jej oka:
Płynie posoka.

Wnet ułatwiwszy sprawę bez hałasu,
Tak po kamieniach wlekli ją do lasu,
Ledwie że czasem który okiem łypie,
Czy jeszcze zipie...

Potem te zbóje znalazły się brzyćko:
Ściągnęły ci z niej do koszuli syćko
I nie baczący na płacze i jęki,
Wzięni na męki...

Takie historie pisały gazety –
Myślałek sobie: szkoda ci kobiety;
Naraz się wielga oschodzi nowina,
Że jest hrabina!

Syćko się pyta, jak było w tym lesie?
Beło – nie beło, nikt dziś nie dowie się,
Bo swojej krzywdy ta kobita święta
Nic nie pamięta.

Diabeł nie dońdzie, jak ta sprawa ma się;
Może i prawda, co pisało w „Czasie”,
Że to pewnikiem beł socjalistyczny
Gwałt polityczny...

Pisane w r. 1907

PIEŚŃ O NASZYCH STOLICACH I JAK JE OPATRZNOŚĆ OBDZIELIŁA

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie” –
Powiedział niegdyś pewien wielki kpiarz;
A jednak dzisiaj to figlarne zdanie
Powtórzyć musi, kto kraj poznał nasz;
Bo choć poszarpał los polską ziemię,
Lecz wnet się do nas uśmiechnął przez łązy:
Wszak każda nacja jedną ma stolicę,
A my, szczęśliwcy, mamy ich aż trzy! } *bis*

Kraków, Warszawa i nasz Lwów prastary,
Ten beniaminek wszystkich polskich serc,
Naszego ducha wszak to trzy filary,
Naszej kultury tyleż dzielnych twierdz.
Lecz nie dość jeszcze – cóż powiecie na to?
Całemu światu kładąc nas za wzór,
Extra-stolicę dał nam Bóg na lato:
„Uroczą perłę zakopiańskich gór”.

Wnet sprawiedliwość boska dobrze znana
Hojne swe dary równo dzieli nam:
Nam dała F e l d-mana, Warszawie R a j c h-mana,
Hoesick na przemian mieszka tu i tam – –
Widząc zaś, że gdy skarby tak rozdziela,
Lwów pokrzywdzony smutnie z boku stał:
Autentycznego dał mu Rafaela
I... w radzie miejskiej znawców sztuki dał.

U nas Tarnowski w rektorskim ogonie
Do Akademii zwabia gapiów ćmy –
Warszawa chwali sobie Filharmonię,
Gdzie nasz Józefek wciąż pocziwie rzy:
Lecz i tym razem fortuna przekorna
Lwów wywyższyła kosztem innych miast:
Dała mu, dała... „Colosseum” Thorna,
Aby nam naszych nie zazdrościł gwiazd.

Słyną Warszawy „mistyczne wieczory”
I ich subtelny nastrojowy cień,
Lecz mistyczniesze Kraków ma wybory,
Gdzie głosy zmarłych słyhać w biały dzień.
I Lwów ma swoje igraszki natury –
Na czarnoksiężstwo zakrawa ten gest:
Bierze się kawał zwykłej, mocnej rury,
Eccola! Dmuchać i prezydent jest!

W Warszawie zbytek, szampańskie kolacje,
Płyną rubelki – skąd? gdzie? Ani wiesz;
Lwów ma na tydzień jedną defraudację,
Coś więc gotówki liźnie czasem też;
Za to krakowskie mury osławione!
Ilu mieszkańców, tyle w portkach dziur:
U nas się mówi: „Pożycz mi koronę”,
Tak jak gdzie indziej mówi się: *Bonjour!*

Dzięki tej stolic mnogości Ojczyzna
Ma aż trzy rynki na talentów zbyt,
Niejeden z państwa może w duchu przyzna,
Że to ułatwia nam walkę o byt;
Gdzie indziej, kto się na życia krawędzi
Raz jeden potknie – oho! Bywaj zdrów!
U nas, choć w jednej stolicy coś zwędzi...
Założyć dziennik może w drugiej znów.

Szeroko sięga sława naszych stolic
I cudzoziemców zwabia do nas kwiat,
Płyną podróżni z najdalszych okolic,
Pod polskim niebem każdy spocznie rad.
W niewieścim gronie, wśród miłej zabawy,
Jeśli zapytasz: „Skąd panienka jest?”
Z wszelką pewnością jedna jest z Opawy,
Druga z Czerniowiec lub *aus Budapest!*...

Pisane w r. 1907

ZUR HEBUNG DES FREMDENVERKEHRS

(Pieśń Poświęcona Krajowemu Tow. Turystycznemu)

Krzywosz⁷ raz w przejeździe, tęskniąc za niewiastą,
Wyszedł szukać przygód w Krakowie na miasto,
Gościu, gościu miły, gościu, gościu nasz,
Zdaje mi się, że ty coś źle w głowie masz.

Nakłada cylinder i cudne lakierki,
W grubym pulariesie szeleszczą papierki,
Staną przed zwierciadłem, by poprawić strój:
Drzyjcie, krakowianki, wychodzi na bój!

Elastycznym krokiem obchodzi plantacje,
Patrzy, komu by tu postawić kolację:
Wyszło wprawdzie z krzaków panienek ze sto,
Lecz zdawały mu się nie dość *comme il faut*.

Nieco już nerwowy przebiega ulice,
Coś, gdzieś, kiedyś słyszał o „cygarfabryce”;
Zatem w tamtą stronę szybko zwraca chód,
Patrzy: dobra nasza, jest towaru w bród.

Zajął pod latarnią dogodną pozycję;
Zwraca do dziewczęcia grzeczną propozycję,
Lecz nim jeszcze zdążył w rozmowę się wdać,
Tak ci go zwołała, że psia jego mać!...

Zwabił do cukierni wreszcie dwie kobietki:
Pannę Salczę z Ryfczą, polskie midinetki;
Zjadły czekoladę, po sześć ciastek tyż –
Cóż, kiedy *tapen jo, aber sztyken nysz!*

Ulice już puste, więc z resztką nadziei
Pospiesza co żywo na dworzec kolei;
Może tam przynajmniej będzie jakiś ruch:
„Cholera nie miasto” – powiada nasz zuch.

Podsuwa się chyłkiem do jakiejś kobity,
Wtem go łapie za kark dama świętej Zyty,
Rozjuszonym głosem krzyczy prosto w twarz:
„K a t o l i c k i c h dziewcząt tknąć się ani waż!”

„Dobryś, mówi sobie, diabli wzięli randkę;

⁷ Pragnąc, aby niniejsze wydanie mogło się stać definitywnym, krytycznym i naukowym, przywraca wydawca [autor] oryginalny tekst, dotąd w druku zastępowany słowami: „Pewien gość z Warszawy...”

Gdzież ja o tej porze znajdę protestantkę?
Lecz umykać trzeba, to niezbity fakt,
Pójdę do teatru na ostatni akt”.

Gość nasz, który zwiedzał cudzoziemskie kraje,
Widywał w teatrach lekkie obyczaje,
Zatem zakupiwszy cukrów cały stos
Śmiało za kulisy idzie wściubić nos.

Rozpoczyna z lekka wstępną galanterią;
Dama robi na to minę bardzo serio,
Płomień oburzenia bije jej do lic:
„U nas, proszę pana, małżeństwo lub nic”.

Wypadł biedny Krzywosz⁸ trzęsąc się jak w febrze,
Pędzi do hotelu, o rachunek żebrze;
Aż do Oderbergu łamała go złość:
Tak z Krakowa zniknął j e d e n d o b r y g o ś ć!!

Pisane w r. 1907

⁸ Wariant:
Wypadł gość z teatru etc.

DZIEŃ P. ESIKA W OSTENDZIE

(Na podstawie korespondencji do „Kuriera Warszawskiego” i na wszelką odpowiedzialność autora tychże korespondencji skreślony i pod muzykę podłożony.)

Motto: *Des Lebens ungemischte Freude*

War doch e i n e m Irdischen zuteil.

(Schiller)

Gdy skwar dopieka
Biednego człeka,
Pot po nim ścieka,
Topnieje już,
Gdzież Esik będzie,
Godniej zasiędzie,
Jak nie w Ostendzie,
Królowej mórz...

Uroczy pobyt,
Tłum pięknych kobit,
Wkoło dobrobyt,
Wszystko aż lśni;
Rozkosz przenika
Ciało Esika,
Nózkami fika,
Ze szczęścia rzy.

Pierwsze śniadanko:
Kawusia z pianką,
Przegryza grzanką
I pędzi w cwał
Prosto na plażę,
Gdzie w słońca żarze
Błyszczą mirażę
Kobięcych ciał.

Strojna dziewczyna
Kibić przegina,
LUXUS-kabina
Rozkoszą tchnie;
Ruchem pantery
Zrzuca jegiery
I gdzie hetery,
Tam Esik mknie.

Barwne półświatki,
Pulchne mężatki,

Obcisłe gatki
Śmieją się doń;
Esik się nurza,
Szczypie w odnóża,
To znów jak burza
Wciąga je w toń.

Lecz dość na dziś z tym,
Na piasku czystym
Jeszcze „mój system”
Przez minut sześć;
Potem swobodnie
Nakłada spodnie
I nim ochłodnie,
Pędzi coś zjeść.

Ostryga tłusta
Wpada mu w usta,
Potem langusta,
Potem chablis:
Otwiera paszczę,
Językiem mlaszcze,
W brzuszek się głaszcze
I dalej ji.

Znikł potraw szereg,
Mały szlumerek,
Potem spacerek
Przez pyszną sień;
Przybił do portu
W cieniach abortu;
Co tu komfortu:
Uroczy dzień!

Wychodzi letki
Z cichej klozetki,
Znów na kobietki
Popatrzeć rad;
Z tłumem się miesza,
Gdzie strojna rzesza
Gwarnie pośpiesza –
Pięknym jest świat!

Koncert w kurhauzie:
Esik zdrzymał się,
Budzi go w pauzie
Oklasków szum;
Potem nos wetka,

Kędy ruletka,
Stara kokietka,
Przywabia tłum.

Złoto się toczy,
Wszystko się tłoczy,
Wyłażą oczy,
W piersiach brak tchu –
Lecz Esik nie gra,
Bo niechże przegra,
Dałaby świekra
Ruletkę mu!

Tak niespożycie
To szczęścia dziecie
Studiuje życie
I jego brud,
Gdy wtem latarnie
Gasną i gwarnie
Wszystko się garnie
Do tinglu wrót.

Włazi i Esik
W ten interesik;
Figlarny biesik
Jakiś go prze,
Umoczyć usta
Tam, gdzie rozpusta
Najskrrrrytsze gusta
Zgadywać śmie.

Sala stłoczona,
Dyszące łona,
Nagie ramiona
Wśród fraków tła;
Tańczą skłębieni
W ciasnej przestrzeni,
Szampan się pieni,
Muzyka gra.

Dwa biusty śnieżne
Trą się, lubieżne,
To znów, rozbieżne,
Prężą się wstecz –
Płoną oblicza,
Idzie m a c z i c z a,
Zabawa bycza,
„Baeczna – prosz paa – rzecz!”

Trzęsie się buda,
Pęka obłuda:
Cóż to za uda!
Esik aż drży;
Pyta nieśmieie:
„*Ma toute belle...*”
Rajskie wesele...
Quel est votre prix?”

Spojrzy dziewczyna:
Zamożna mina,
Duża łysina
I nóżki w „ix”;
„Bez długich krzyków
Dla starych pryków
Dziesięć ludwików
C'est mon prix fixe”.

Nieglupi Esik,
Swój pularesik
Zapina gdziesik,
Ochłonał w mig;
Płaci co żywo
Za małe piwo,
Z miną złośliwą
Za drzwiami znikł.

Wśród nocy chłodnej
Po plaży modnej
Idzie pogodny,
Wolny od burz;
Jeszcze dwie gruszki
Zjadł do poduszki,
Wyciągnął nóżki
I chrapie już!...

Pisane w r. 1907

GŁOS DZIADKOWY O ROBOTACH ZIEMNYCH PANA PREZYDENTA

Chodzi sobie, chodzi biedny dziadek,
Taki jego los;
Wpadł do dołu, potłukł se pośladek,
Okrwawił se nos.
To robota pana prezydenta,
Wszędzie doły kopie, matko święta,
Bidny dziaduś bęc –
Dobrze jemu w aksamitnym palcie
Paradować sobie po asfalcie
Niby jaki prenc!

Kopią cały miesiąc jednym ciągiem,
Aż skończyli raz;
Ale ledwie kuniec z wodociągiem,
Trza naprawiać gaz –
Pan prezydent długo robił głową,
W końcu mówi: „Kopać trza na nowo,
Ordnung musi być;
Patrzcie, żeby prędko skończyć z gazem,
A betuny da się innym razem;
Nie pali się nic”.

Takie sobie robią z nami štuki:
Prezydent ma czas!
Przedtem beły bodaj kiepskie bruki,
Ostał ino śpas;
Za to teraz, skoro zeńdzie nocka,
W jednym dołku jakaś parka hocka,
W drugim inksza znów –
Potem dalejże do prezydenta:
Płać, prezydent, teraz alimenta,
Po coś zrobił rów!

Pisane w r. 1909

OPOWIEŚĆ DZIADKOWA O CUDACH JASNOGÓRSKICH

Niekże to syćkie pierony zatrzasnom:
Wybrał się dziadek aż pod Góre Jasnom,
Myślał, że grosik uzbira, tymczasem
Wrócił ciupasem.

Tego widoku dożył dziadek stary,
W całym klasztorze nic, jeno dziandary,
Sytkie osoby duchowne a święte
Pod klucz zamkniente.

Dziwne tu rzeczy bajom sobie ludy,
Że się tam działy strasne jakieś cudy:
Niby że ojce porobiły święństwa
Gwoli męczeństwa.

Żył jeden z drugim piknie, bez turbacji,
Świątek czy piątek przy godny kolacji
Błuźnił Imieniu Tego, co go stworzył,
I cudzołożył.

Jeden najgorszy – patrzcie wymyślnika! –
Chował pod sobą w sofie nieboszczyka,
Że jak bez tego na ty sofie grzeszy,
To go nie cieszy.

Przeor też, mówiom, jucha jest morowa,
Ponoć co tydzień zizdżał do Krakowa,
Jako że tu miał śtyry konkubiny,
Same hrabiny.

Co jaki grosik na tackę się wśliźnie,
To go dzieliły ojce po starszyźnie,
A zaś do skarbca każdy za swe grzychy
Miał dwa wytrychy.

Jak przyszło Xiędzu dla dobra klasztoru
Zatłamsić kogo, to mu bez jankoru,
Póki ta zipie, własną dłonią leje
Świente oleje...

Codziennie rano nabożnym zwyczajem
Spowiadały się ojcaszki nawzajem,
By chtóry trafił, jak przyńdzie potrzeba,
Prosto do nieba.

Różnie dopuszcza Bóg w mądrości swojej,
Ale to jakoś bardzo nie przystoi,
Iżby siedziały w takim świętem gronie
Same Pochronie...

Mnie złość już bierze, choćek dziadek świecki,
Cóż ta dopiwo w grobie Xiądz Kordecki:
Musi go skręca od strasznej tertury
Zadkiem do góry.

Kogo Bóg kocha, tego i doświadcza,
Więc choć zgrzeszyła ręka świętokradcza,
Módlmy się, bracia, by nasz zakon miły
Znów porósł w siły.

Iżby zapomniał Bóg o swy boleści,
Trza mszów zakupić dziennie choć z czterdzieści;
Niech więc na tackę, co ta chtóry może,
Rzuci w klasztorze...

Pisane w r. 1910

PIOSENKA SENTYMENTALNA, KTÓREJ JEDNAK NIE TRZEBA BRAĆ ZANADTO SERIO

Melodia: Delmet, *Envoi de fleurs*

Czy pamiętasz jeszcze te wiosniane dni
Pierwszego twych zmysłów dziewczęcych rozkwitu?
Może o nich czasem serce twoje śni,
Kto wie, może we śnie omdlewa z zachwytu?
A gdy cię owładnie wspomnień tęsknych szal,
Może czasem marzysz o cichej sielance,
Gdym z ust wpółdziecięcych pierwszy uścisk brał
W jakiejś ogrodowej ustronnej altance...

Może czasem wspomnisz słodkie chwile, gdym
Uczył pierwszych pieszczot twe nieśmiałe rączki,
Kiedym się upijał pierwszym dreszczem twym,
Młodziutkiego ciała gdym rozwijał pączki...
Dziś ty w pełnej krasie, jak dojrzały kłos,
Innym dajesz szczęście na twej piersi białej –
(Kłos nie ma piersi? To nic nie szkodzi, proszę nie
przeszkadzać!)

Mnie w inne ramiona rzucił dobry los,
Dziś u moich kolan igra synek mały...

Gdy to dziecko dojdzie już chłopięcych lat,
Kiedy na nie przyjdzie czas wiosennych rojeń,
Wówczas twej piękności na wpół zwiędły kwiat
Dyszeć będzie czarem ostatnich upojeń;
Ocal biedne dziecię od miłosnych mąk,
Niech je twoja dobroć do siebie przygarnie,
Niechaj pierwszą słodycz weźmie z twoich rąk,
Niech nie zna, co pragnień młodzieńczych męczarnie!

Niechaj na nie spłynie dawna tkliwość twa,
Ono da ci w zamian pieszczot swych pierwiosnki;
Chciej być tym dla niego, czym dla ciebie ja –
Niech się ozwie echo dawnej, cudnej piosnki...

ROZKOSZE ŻYCIA

Pieśń ku pokrzepieniu serc

Wszystko dziś biada: „Lepiej wcale nie żyć”,
I pesymizmu słycać zewsząd jęk,
A jednak, państwo, zechciejcie mi wierzyć,
Życie jest piękne, życie ma swój wdzięk;
Umieć je cenić to pierwsza zaleta,
Nie żądać więcej, niż nam może dać:
Wówczas, braciszku, jak mówi poeta,
Garściami rozkosz zewsząd będziesz brać!

Choć wszystko wezmą ci losy przeciwne,
Pociechę pewną zesłał dobry Bóg:
To – że tak powiem – szczęście n e g a t y w n e,
Tego nie wydrze ci najsroższy wróg;
Gdyś tego szczęścia przeniknął sekreta,
Pogodny idziesz wśród gromów i burz:
Gdzie nogą stąpisz – jak mówi poeta –
Wszędzie ci życie kwitnie wieńcem z róż!

Wszędzie radości znajdziesz nowe źródło
I do rozpuku śmiejesz się raz w raz;
Patrzysz, jak grzebią jakieś stare pudło,
Pomyślisz sobie: „Na mnie jeszcze czas!”
Przystaniesz sobie za trumienką z boku,
Posłuchasz śpiewu i żałobnych mów,
Dziewczątka małe uszczypniesz gdzieś w tłoku,
Już się od dawna tak nie czuleś... zdrów.

Wyjdiesz na miasto dla użycia ruchu,
Z daleka widzisz jakieś twarze dwie:
To Rydel komuś wierci dziurę w brzuchu –
Pomyślisz sobie: „Dobrze, że nie mnie!”
Niedługo szukasz za nową podniętą;
Na „Warszawskiego” do kawiarni idź:
Przeczytasz sobie Hoesicka felieton –
No i sam powiedz: czy nie warto żyć?

W zimowy wieczór spieszysz do teatru,
W fotelik miękki rozkosznie się wtul:
Ciepło, zacisznie, ni śniegu, ni wiatru,
Tragedii sobie wysłuchasz jak król!
Z piątego aktu prosto na kolację,
W gazetce znowu jest nowinek dość:
Tu masz bankructwo, tam znów licytację,

Z trzeciego piętra zleciał jakiś gość!

Tak sobie chodzisz wesoły jak ptaszek,
Radosną wszędzie życia widzisz twarz;
Wreszcie, znużony i syt już igraszek,
Wracasz do domu: własny kluczyk masz;
Słysząc szmer jakiś, zaglądasz przez szparkę:
I jak tu człowiek się nie cieszyć ma?
Tam ktoś... ten tego... właśnie twą kucharkę,
Pomyślisz sobie: „Dobrze, że nie ja!”

Śmiejesz się błogo przed zamknięciem powiek
I dziękczynienia czynisz korny gest:
Byle chciał tylko, znajdzie szczęście człowiek,
Nie ma co mówić – dobrze jest, jak jest!
Więc choć świat biada: „Lepiej wcale nie żyć”,
I pesymizmu słysząc zewsząd jęk,
Najmilsi bracia, zechciejcie mi wierzyć,
Życie jest piękne, życie ma swój wdzięk!!

Pisane w r. 1909

GŁOS ROZJEMCZY W SPRAWIE PANA
WILHELMA FELDMANA CONTRA ROSNER,
ŻUŁAWSKI, TETMAJER ETC., ETC.

.....
Pełna wrzasku ziemia polska,
Oj oj oj
Pełna wrzasku ziemia polska,
Od Czikago do Tobolska.
Oj oj oj

Za cóż nas tak karzesz, Panie,
Oj oj oj
Za cóż nas tak karzesz, Panie,
Przez rok słyszym o Feldmanie.
Oj oj oj

Rosner pierwszy śmignął batem,
Oj oj oj
Rosner pierwszy śmignął batem,
Chociaż tylko jest hofratem.
Oj oj oj

Wykazał – herezja czysta!
Oj oj oj
Wykazał – herezja czysta!
Że Feldman – żaden monista.
Oj oj oj

Mówił, że u niego we łbie,
Oj oj oj
Mówił, że u niego we łbie
Nie „Olbrzymy”, ale kielbie.
Oj oj oj

„Jak pan szmi? Gwałt! Rabacja!
Oj oj oj
Jak pan szmi? Gwałt! Rabacja!
To jest prosta denuncjacja!
Oj oj oj

My z Wyspiańskim, to dwa bracie,
Oj oj oj
My z Wyspiańskim, to dwa bracie,
Z r o z u m i a n o! Ti... hofraczie!”
Oj oj oj

Krzyknął Jerzy w wielkiej furii,
Oj oj oj
Krzyknął Jerzy w wielkiej furii,
Niby poseł z piątej kurii.
Oj oj oj

„– Ja ci, p...u, skórę zedre,
Oj oj oj
– Ja ci, p...u, skórę zedre,
Z Wyspiańskiego robisz Fredrę.
Oj oj oj

Uczysz naród, że Słowacki
Oj oj oj
Uczysz naród, że Słowacki,
Bez podpisu jest – pod placki”.
Oj oj oj

„Pilnuj pan swoje papiery,
Oj oj oj
Pilnuj pan swoje papiery,
Pan piszesz – s a m e p r e m i e r y!”
Oj oj oj

Zabrał głos pan Kaźmierz Przerwa,
Oj oj oj
Zabrał głos pan Kaźmierz Przerwa
I przemówił jak Minerwa.
Oj oj oj

„Bardzo przykry to wypadek,
Oj oj oj
Bardzo przykry to wypadek
Trącać kogoś nogą w plecy.
Oj oj oj

Jeszcze przykrzej, oczywiście,
Oj oj oj
Jeszcze przykrzej, oczywiście,
Czynić to w o t w a r t y m l i ś c i e.
Oj oj oj

Lecz gdy mi tak popadł w ręce,
Oj oj oj
Lecz gdy mi tak popadł w ręce,
To już chyba się poświęcę.
Oj oj oj

Powiedz, ojczyzno, *quousque*,
Oj oj oj
Powiedz, ojczyzno, *quousque*
Będziemy cierpieć tę pl....ę?...”
Oj oj oj

Wnet znaleźli się obrońce,
Oj oj oj
Wnet znaleźli się obrońce,
Trudno – Feldman ma dwa końce.
Oj oj oj

Mówią przeto: wszystko racja,
Oj oj oj
Mówią przeto: wszystko racja,
Ale gdzież asymilacja –?
Oj oj oj

Wszak to dla nas (sam pan powidz),
Oj oj oj
Wszak to dla nas (sam pan powidz)
Drugi B e r e k J o s e l o w i c!
Oj oj oj

Ach! potnijcież go na ćwierci,
Oj oj oj
Ach! potnijcież go na ćwierci,
Życzę mu walecznej śmierci.
Oj oj oj

W bohaterstwa świetnej glorii,
Oj oj oj
W bohaterstwa świetnej glorii
Niech już przejdzie do historii.
Oj oj oj

Może kiedyś w tej stolicy,
Oj oj oj
Może kiedyś w tej stolicy
Też doczeka się u l i c y⁹.
Oj oj oj

Będziem jeździć do hetery,
Oj oj oj
Będziem jeździć do hetery (Pst! Fiakier!) –
F e l d m a n a, c z t e r d z i e ś c i c z t e r y.

⁹ Ulica Berka Joselewicza posiadała w Krakowie swoje osobliwe przeznaczenie.(Przyp. wyd.)

Oj oj oj

Pisane w r. 1909

KILKA SŁÓW W OBRONIE ŚWIĘTOŚCI MAŁŻEŃSTWA

Dziwny jakiś w pojęciach
szerzy się zamęt,
Czy małżeństwo to kpiny,
czy też sakrament?
Jakaś zaraza padła
Na wszystkie nasze stadła;
Zamiast siedzieć spokojnie,
Wszystko dziś w wojnie.

Dawniej, kto się raz złączył
w bożym przybytku,
Wiedział, że ma do śmierci
trwać w swym korytku;
Rozumiał, że ten związek
To twardy obowiązek,
Dwie dusze w jednym ciele,
Flaki w niedzielę.

Co Bóg komu przeznaczył,
brano w pokorze,
Nikt nie robił grymasów,
że tak nie może;
Cel przyświecał im wzniosły,
Dziatki ku górze rosły,
No i tak się tam żyło,
Jakoś to było.

Jakież dziś społeczeństwa
przyszłość ma szansę,
Skoro ludzie z małżeństwa
czynią romanse.
Dziś, czy prosty, czy krzywy,
Każdy chce być – szczęśliwy!
A to czysta wariacja
Ta demokracja!

Wszędzie dziś do narzekań
widać tendencję,
Wszędzie skargi na mężów
imp... ertynencję;
Trudno, mój miły Boże!
Każdy robi, co może:
Wszakże nie jest nikt z panów
Pułkiem ułanów...

Ówdzie znów mąż stroskany
 krzyczy; o rety!
Jak to, ja mam żyć z gęsią
 zamiast kobiety?
Są i takie wypadki,
Fakt znów nie jest tak rzadki:
Spójrzysz pan po tej rzeszy,
To cię pocieszy.

Tam znów młode dziewczątko
 wprost od ołtarzy
Staje w progu sypialni
 z powagą w twarzy;
Zapowiada ci ostro,
Że chce być tylko – siostrą...
(Moja miła pieścotko,
Bądźże choć – ciotką!)

Wszystko dziś rozwodami
 sobie urąga,
Separacją od stołu,
 no i... szezlonga:
Łączą się parki lube
Z sobą niby na próbę,
Nim nie znajdzie się czego
Przyzwoitszego...

Gdy więc takie dziś macie
 kapryśne gusty,
Nie mieszajcież kościoła
 do tej rozpusty.
Kto ma interes pilny,
Niech bierze ślub cywilny,
Skojarzy młodą parę
Prezydent Sare¹⁰.

Pisane w r. 1909

¹⁰ Wariant:
Trzeba znaleźć w tym celu
Pokój w hotelu...

PIOSENKA PRZEKONYWUJĄCA

Melodia: Delmet, *Petit chagrin*

Gdy twej miłości kwiat już zwiędł,
Nim w kraj daleki pójdę stąd,
O mój ANIELE,
W rozstaniu smutnej chwili tej
Wysłuchać mojej prośby chciej:
To tak niewiele!

Sentymentalnych zaklęć słów
Nie lękaj się usłyszeć znów
Ani rozpaczy,
Nie będę budził dawnych mar:
Wszak musiał prysnąć szczęścia czar
Tak lub inaczej...

Na wieki pomnieć będę ten
O twej miłości cudny sen,
Upojeń tyle;
Lecz nim me serce strącisz w grrrrrrrób –
Ach, pozwól zostać u twych stóp
Jeszcze choć chwilę!

Nim pójdę cicho i bez skarg,
Scałować pozwól z twoich warg
Ten wdzięk dziewczęcy –
Niech twoich ust niestarty ślad
Na ustach mych uniosę w świat,
Nie pragnę więcej...

W twych sukniach pozwól twarz mi skryć
I choć przez chwilę jeszcze żyć
Szczęścia wspomnieniem...
Gdy pieścizot mych palący szał
Twych zmysłów szukał, aż się stał – –
Wspólnym westchnieniem...

Twą głowę pochyl na mą skroń
I włosów twych drażniąca woń
Niech mnie upoi.
Po raz ostatni jeszcze niech
Usłyszę spazmatyczny śmiech
Rozkoszy twojej...

Wysłuchaj zatem prośby mej,

Wszak trudno chyba żądać mniej,
Bardziej nieśmiało.
Niech dawnych wzruszeń słodka moc
Odżyje choć na jedną noc,
Wszak to tak mało...

Pisane w r. 1907

«ZIELONY BALONIK» –
MUZEUM NARODOWEMU

Hołd jubileuszowy połączony z ukonstytuowaniem sal Jana Michalika jako XXII filii tegoż Muzeum.

Nuta: *La Mattchie*.

Dość było w Polsce gratów
Od antenatów;
Lecz się walały w kątku
Tak bez porządku;
Ażeśmy zbrzydli Bogu
Bez katalogu,
Więc zesłał nową erę.
Dał nam – Koperę.

Dyrektor nie dla formy
Wszczyna reformy;
Sprężysty, chociaż słodki,
Zmienia gablotki,
Heblują się deszczulki
Na nowe półki,
W wielki dzwon bije ON,
Sztuce polskiej wznosi tron.

Najwięcej pożarł cyfer
Sam kaloryfer;
Pozycja też niecienka
Schludna łazienka;
Jest wszystko od *A* do *Zet*:
Angielski klozet;
Są także, z ludzkiej łaski,
Jakieś obrazki.

Są skarby w tej kolekcji
Na wszystkie gusta:
Jest urna aż z elekcji
Króla Augusta;
Choć inni znawcy sądzą
(Może i błędzą),
Że ją miał Leszek Biały,
Kiedy był mały...

Są różne fotografie
I etnografie;
Kamienie, co przetrwały
Z lat dawnej chwały;

z demonstracjami i projekcjami świetlnymi

Są bijące zegary,
Cenne puchary.
Co kto ma, niechaj da,
Niech skarbnica rośnie ta.

Śpiewajmy więc *Te Deum*:
Mamy Muzeum,
Co już ć w i e r ć w i e k u całe
Porasta w chwałę;
Dziś doszło do zenitu
Swojego bytu:
Dalej więc, wznieśmy krzyk,
Na zdrowie mu – A...a psik!

Słowiański świat
Dziś krzyczy mu: wiwat!
Niech nam sto lat
Do grata zbiera grat!

Więc schodzą bratnie nacje
Się na kolację:
Jedzą pieczeń cielecą,
Dzień wielki święcą;
Muzyka rżnie od ucha
Z Wesolej wdówki,
Radcy pchają do brzucha
I kropią mówki.

Potem wydaje festyn
Czyniciel Celestyn
Na wiekopomnym dachu
Swojego gmachu;
A w końcu Jan Michalik
Wyprawia balik:
Swoich sal wręcza klucz,
Łzy mu słodkie ciekną z ocz.

Ten pokój pan opustoszą:
Tu będzie kustosz;
Tam w sieni będzie stało
Dwóch woźnych z pałą;
Trochę się to zagraci,
Słowian się sprosi,
Potem Szukiewicz Maciej
Odczyt wygłosi.

Więc wznieśmy krzyk:
Niech żyje Michalik!

Handelek znikł,
A „filia” wstaje w mig...

Po filii filia rośnie
 Jak długi Kraków:
Witają je radośnie
 Serca Polaków,
Aż ta stolica cała
 Wreszcie się stała,
Z rozkwitem nowej ery,
 Filią Kopery...

Przechodniów już nie straszy
 Policjant groźny,
Stolicy strzeże naszej
 Uprzejmy woźny;
Prezydent abdykuje,
 Rządy sprawuje
Przebrany Pagaczeski
 W mundur niebieski.

I – Boże daj,
Przemieni cały kraj
W antyków raj,
Jemu w to tylko graj!

Więc pierś okrzykiem wzbiera
 „Wiwat Kopera!”
Niech długo nam gromadzi,
 Spisuje, łądzi,
Skupuje, segreguje,
 Kataloguje,
A gdy kto, za lat sto,
 Znów odwiedzi cudo to:

Dyrektor z twarzą słodką
 Prowadzi gości,
Gdzie wiszą za gablotką
 Malarzy kości;
Ostatnie to zabytki
 Tej rasy brzydkiej:
Z głodu zdechł – trudno, ech!
 Taki, widać, miał już pech!

**z demonstrowaniem
i projekcjami świetl-
nymi!! sensacyjnie!!**

Śpiewajmy więc *Te Deum*:
 Mamy Muzeum!
Niech znów przez wieki całe
 Porasta w chwałę;

Obrazów zakupami
Niech się nie splami,
A dojdzie do zenitu
Swego rozkwitu!

I cały świat
Wykrzyknie mu: wiwat!
Niech setki lat
Do grata zbiera grat!

Pisane w r. 1909

JESZCZE JEDNA «FILIA» MUZEUM NARODOWEGO

(Napisał Boy & Taper)

Nuta: *Chińczyk warkocz ma... (Gejsza)*

Felix Mangha w swych podróżach zwiedził cały świat
I niejeden przywiózł z sobą osobliwy grat;
I przysięgą kłął się wielką na Kopyry grób,
Że z Krakowem jego graty wieczny wzięły ślub!

Mangha zbiory ma,
Lecz ich nie chce dać:
Jeśli chcesz zbiory mieć,
To, Krakowie, płąć!
Mangha zbiory ma,
Lecz ich nie chce dać:
Gdy chcesz
zbiory mieć –
pensję płąć!

Wnet powstaje wielka „filia” muzealnych sal,
Na początek wydał Mangha w filii wielki bal;
W filii sypia, w filii jada, w filii w karty gra,
Kustosz filii buty czyści, po serdelki gna.

Mangha filię ma,
Lecz jej nie chce dać:
Serce miej, pojąć chciej,
Że gdzieś musi spać;
Mangha filię ma,
Lecz jej nie chce dać;
Człeku,
pojąć chciej,
gdzież ma spać?

Mangha chciał, prócz spania w filii, opierunek, wikt,
Lecz na taki podarunek nie zgodził się nikt;
Dziś do Manghi już prywatny, nie filialny wchód!
Kustosz został pucybutem, takim jak był wprzód!

Mangha głowę ma,
Bóg mu rozum dał;
Sypia dalej tam prywatnie,
Gdzie publicznie spał;
Mangha głowę ma,
Bóg mu rozum dał,

W rezuł –
tacie śpi
tam, gdzie spał.

Pisane w r. 1907

MISTRZOWI STYCE

autorowi projektu napelnienia krakowskiego Rondla swoją panoramą

Nuta: *Siedziała na lipie,
Wolała „Filipie...”*

Zobaczył pan Styka,
Jak raz mały kondel
Podniósł zadnią łapkę
I spaskudził Rondel,
Oj dana!

I przyszła Mistrzowi
Do głowy myśl słodka:
A gdyby to samo
Zrobić ode środka...
Oj dana –?

Że ludzie ofiarni
Są w tych czasach rzadcy,
Więc mu deputację
Ślą dziękczynną radcy,
Oj dana!

Jeśli zatem fama
Publiczna nie kłamie,
Będziem mieli w Rondlu
Grunwald w panoramie,
Oj dana!

Tak to z małych przyczyn
Skutki są ogromne:
Z niepozornej psiny
Dzieło wiekopomne,
Oj dana!

Lecz w czym niezbadane
Losów tajemnice:
Nie wie nikt o piesku,
A każdy o Styce,
Oj dana!

Pisane w r. 1909

POBUDKA

śpiewana przez banderę krakowską w czasie pochodu jubileuszowego w Wiedniu (1908).

Nuta: *Bartoszu, Bartoszu!*

Wojciechu, Wojciechu,
Nie traćta animuszu,
Nie traćta animuszu,
Strasznie wam do twarzy
W Sobieskich kontuszu!

Uziębło, Uziębło,
Lecz znowu się przygrzeje,
Lecz znowu się przygrzeje,
Narodzie kochany,
Jeszcze miej nadzieję.

Turcyja z Austryją
Znowu się za łby wodzą,
Znowu się za łby wodzą,
Jeszcze polskie szable
Na coś się przygodzą.

Pod Wiedeń, pod Wiedeń,
Droga przez Bronowice,
Droga przez Bronowice,
Włodek już maluje
Kosy i szablice.

Pan Rydel, pan Rydel
Na odsiecz jedzie z Toni,
Na odsiecz jedzie z Toni,
Sam ma w swojej gębie
Siłę trzystu koni.

Na Turka, na Turka
Rukuje pułk trzynasty,
Rukuje pułk trzynasty,
Siadaj na koń, Wojtek,
Poprowadzisz nas ty!

Pod Wiedniem batalia
Powtórzy się ta sama,
Powtórzy się ta sama,
Czy ten, czy ten wygra,
Będzie panorama!

Pisane w r. 1908

POTPOURRI Z MALARSKIEGO ŚWIATKA

Nuta: *Umarł Maciek, umarł*

Oj, w malarskim światku bigos był nie lada,
U każdego w rękę pistolet lub szpada,
Ten z armatą, ten z rapierem,
Ale się skończyło... „Zerem”
Oj Zero, zero, zero, zero, zero, ro!

Strasznie honorowa była ta afera,
Zbrakło już tuzurków czarnych u Gajera,
Gdzie rozejrzeć się naokół,
Wszędzie pisze się protokół
Oj prototototokół protototokół.

Nawet się przelała w końcu krew człowiecza,
Wyczół z strasznym rykiem porwał się do miecza
I pociął na drobne szmatki...
Sekundantom swym – pośladki;
Oj Wyczół, Wyczół itd.

W „Salonie” znów inne dzieją się igraszki,
Bowiem Blaszkę z Raszka wzięli się do Laszczki;
Ładna będzie z tego kaszka:
Laszczka-Raszczka, Raszka-Blaszka.
Oj la la la la la la la-szczka, la la
la la-szczka.

Przeżyły się, widać, dawne sztuki hasła,
Zatem nowa grupa klei się jak z masła,
A dewiza jej nadobna (*z uczuciem*)
„S p r z e d a ć r a z e m – l u b z o s o b n a!”
Oj Zero, zero, zero, zero, zero, ro!

Został tego dziwu pan Wojciech prezesem,
Wystąpił z hiszpańskim swoim interesem:
Nazbyt śmiała to impreza,
Zrobić z Wojtka Welaskeza:
Oj, Wojtek, Wojtek itd.

Chociaż mnie do śmiechu bierze chęćka szczera,
Jest przysłowie: Śmiać się jak głupi do – „Zera”;
Wolę więc z twarzą ponurą
Płakać nad tą awanturą:
Oj Zero, zero, zero, zero, zero, ro!

Pisane w r. 1908

PIOSENKA WZRUSZAJĄCA

Nuta: Delmet, *Fleurs et pensées*

Choć twej młodości jasny płomień
Iskami bucha oszołomień,
O Piękna ma,
Nie kusi mnie twych wdzięków wiosna
Kiedy promienna i radosna
Ku życiu drga...



Spoglądam z dala obojętny,
Jak z żądy szczęścia zbyt namiętnej
Zatracasz gust –
I patrzę z leniwym uśmiechem,
Jak poisz się wciąż nowym grzechem,
Wciąż z innych ust...

Lecz kiedy ujrzę w twojej twarzy
Cierpienie, co się w oczach żarzy
Posępną skrå –
Gdy w smutku widzę cię żalobie,
Ach, wówczas muszę być przy tobie,
Czuć mękę twą...

Ty mnie nie kochasz ni ja ciebie,
A jednak tulę cię do siebie,
Nie mówiąc nic –
I piję smutek twój, dziewczyno,
I piję twoje łzy, co płyną
Z poblądłych lic...

Czy to jest przyjaźń idealna,
Czy też perwersja seksualna? –
Obłądu mgły – ?
Ach, nie wiem, co się ze mną stało,
Lecz chciałbym pić przez WIECZNOŚĆ całą
Twe drogie łzy,
Twe drogie łzy...



PIEŚŃ O DOMU MALARSKIM

przedstawiona na uroczyste przedstawienie na rzecz budowy domu uczniów Akademii Sztuk Pięknych i lekko myślnie odrzucona przez komitet tejże uroczystości

Nie masz nic w świecie ponad
życie domowe,
Uczciwe a szczęśliwe,
tanie a zdrowe;
Któż nie wzdycha za sielskim
Domkiem swym rodzicielskim,
Choć zeń zwykle miał w zysku
Sińce na pysku...

Każdy stroi swój domek
w glorię prześliczną,
Miłością go otacza
choć platoniczną;
Nawet przy szklance wódki
Społeczeństwa wyrzutki
Śnią o własnym domeczku
W ciepłym szyneczku.

Wszystkim młodość się święci
jasna i czysta,
Czemuż tułać się musi
biedny artysta?
Gdy nasz Kraków niepomny
Swojej rzeszy bezdomnej,
Tulą sztuki plastyczne
D o m y – – publiczne...

Teraz wszystko, jak słyhać,
już się odmieni;
Stanie klasztor malarski
w przyszłej jesieni;
Każdy będzie miał celkę,
Sztalugi i modelkę,
Ciepły kocyk na łóżku,
Wodę w dzbanuszk...

Kwitnie życie rodzinne
już od poranka,
Wszystko dają na krydę,
istna sielanka;
Wszystko w domu ma malarz:
Ratafię, starcę, alasz,

Więc piątek czy niedziela
Spity jak bela.

Ani sposób na studia

wygnać go w pole:
„W domku ciepło i sucho,
już ja tam wolę!”
Nabrał w domu ochoty
Do uczciwej roboty,
Przepisuje na czysto,
Został diurnistą.

I tak życie domowe

płynie bez chmurki,
Cieszą się także wasze
żony i córki;
Zamiast gonić w tym celu
Z artystą do hotelu,
Chronią się, pełne sromu,
W malarskim domu...

Spieszcie więc, krakowianie,

z ofiarną dłonią,

Niech i biedni malarze

głowę gdzieś skłoniają:

Wszakże i tak z tej braci
Czynszu żaden nie płaci,
Zbędziecie się tej kliki,
Kamieniczniki!

Pisane w r. 1908

PROROCTWO KRÓLOWEJ JADWIGI

(Ze śpiewów historycznych)

(1 melodia)

Zaledwie czas świtania,
Po zamku już ugania
 Jagięło,
 Skirgiełło
(skąd im się to wzięło?) –
Krzyżackiej dość intrygi!
Król woła do Jadwigi;
 „Jadwisia,
 Daj pysia,
Wielka wojna dzisiaj!”

(2 melodia)

Rzecz w te słowa
Słodka królowa:
„Mój miły Władku,
Masz w bród dostatku,
Po cóż ci diabli
Nadstawiać szabli,
Jeszcze, broń Boże,
Kto w łeb dać może!”

(1 melodia)

Ofuknie ją Jagięło:
„Ja wiekopomne dzieło
 Sposobię
 I zrobię,
Wyperswaduj sobie!
Zrozumże, moja śliczna,
Że misja historyczna
 To karta
 Niestarta,
Paru guzów warta!”

(Trio)

Chytrze królowa
 Śmieje się w głos:
„Różne siurpryzy chowa
 Kapryśny los...”

Ja już od urodzenia
Mam dar jasnowidzenia
I do społecznych kwestii mam bajeczny nos...

Dwie silne pięści

Pan Bóg ci dał,

Niech ci się, Władku, szczęści

N a p o l a c h c h w a ł...

Dziś górą ciężka łapa,

Lecz kiedyś, straszna kłapa,

Ach, kiedyś lada chłystek będzie z was się śmiał.

(2 *melodia*)

Już światło bucha,
Nowego ducha
Świta zaranie,
Nic nie zostanie
Z militarizmu
Oprócz komizmu,
A z tej wielkości
Spróchniałe kości...

Inne ja wolę
Działania pole.
Inna potęga
Wieczności sięga
I nie wygasa:
A nią jest PRASA!
Bez jej ochrony
Chwieją się trony..."

(1 *melodia*)

Nie słucha – dosiadł konia,
W grunwaldzkie pędzi błonia
Na znoje
I boje,
Tępić wrogi swoje...
Ona, nie bita w ciemię,
Zakłada Akademię,
Stypendia,
Kompedia,
Różne inne endia.

(2 *melodia*)

Powstają bursy,

Przeróżne kursy,
Literaturę
Dźwiga się w górę;
Goły poeta
Dostał kotleta,
Piszą chłopczyki
Panegiryki...
Skryby zgłodniałe
Pieją jej chwałę,
Przy kuflu piwa
Krzyczą: *Evviva!*
„Cóż to za dama!” –
Huczy reklama,
Na święty zyd
Sadza ją Rydel...

(I melodia, uroczyście)

O, wielka ty królowo,
Prorocze Twoje słowo
Z niemałą
Twą chwałą
Faktem dziś się stało;
Bo nikt w dzisiejszym czasie
Bez stosunczków w prasie –
To, panie,
Gadanie –
Świętym nie zostanie...

Pisane w r. 1907

POŻEGNANIE

Skąd tu temat wziąć do nowej piosenki?
Skłopotany wzrok wodzę tu i tam;
Wtem zapachną mi bzów rozwite pęki
Gdzieś z ogródka hen, i już temat mam;
Niech dziś refren mój wiosna sama nuci,
Niech rozprószy smęt mych jesiennych lat,
Niech młodości mej tętno mi przywróci,
Niech mi od niej w krąg się rozciepli świat.

Dość już piosnce mej jałowych konceptów,
Wspólnych naszych głupstw zbrzydł mi pusty gwar,

Niech dziś nuta jej drży od cichych szeptów,
W rytmach jej niech gra pocałunków żar.
Cóż mi wreszcie są wasze wielkie sprawy?
Obmierzył mi na szczęt własnych słówek spryt;
Dałem może wam parę chwil zabawy,
Wy nawzajem mnie, więc jesteśmy *quitte*.
Tych niewiele dni, które mi zostały,
Zanim zacznie świat czcić mój siwy włos,
Wolę klecić już wdzięczne madrygały,
W służbie pięknych dam stroić lutni głos;
A gdy z czasem, ach, zwykła rzeczy kolej,
Przyjdzie na mnie to, co się musi stać,
Choć z kretesem już będę *vieux ramolli*,
W nowej piosnce tej mniej to będzie znać...

Pisane w r. 1812

DOBRA MAMA

Kiedy nadchodzi wieczór już,
Mówi mama kochana:
„Śpij, ma dziecino, oczki zmruż,
Śpij smaczno aż do rana.
Sukieneczki złóż
Na krzeselku tuż
I wdziej koszulkę nocną;
Już na ciebie czas,
Więc ostatni raz
Uściskaj mamę mocno.

Dobranoc, kotku, bywaj zdrów,
Nie płacz mi, że jest ciemno;
Paciorek jeszcze ładnie zmów,
Powtarzaj razem ze mną:
«Aniele stróżu mój,
Ty ciągle przy mnie stój,
Jak we dnie, tak i w nocy;
I w przygodzie złej
Ty koło mnie chciej
Być zawsze ku pomocy»”.

Zaledwie mama przeszła próg,
Już jej dziewczynce grzecznej
Z radosnym śmiechem legł u nóg
Braciszek jej... cioteczny;
Ręce chłopcu drżą,
Tuli siostrę swą
I gryzie w same uszko;
To zuchwały smyk:
Tak jak zawsze zwykł,
Schowany był pod łóżko!

Za chwilę już dzieciaki dwa
W pieszczotach słodkich toną,
Niewinny uścisk długo trwa,
Oczęta żarem płoną;
Coś skrzypnęło... ach!
Cóż za straszny strach,
Serduszko bije mocno;
Już się robi świt –
„Adasiu... mnie wstyd...
Oddaj koszulkę nocną...”

Różane ciało drży jak liść –

„...Adasiu, tak nie można...
Ja muszę przecie za mąż iść,
Ja muszę być... ostrożna!
Przecie dobrze wiesz,
Żebym chciała też,
Oddałabym ci wszystko...
Ale potem... cóż?...
Chyba umrzeć już –
Albo... zostać... artystką...”

Niedługo słyhać ranny gwar,
Dzieweczka śpi już sama;
Kneipowskiej kawki niosąc war,
W drzwi wchodzi dobra mama.
Wlepia tkliwy wzrok:
Dziś szesnasty rok
Zaczyna drogie dziecię!
„Co by tu?... Ach, wiem!
Waniliowy krem:
Nic tak nie lubi w świecie...”

Pisane w r. 1911

PIEŚŃ O «RAFAELU»
NOWO UTWORZONEGO
LWOWSKIEGO MUZEUM

zastyszana na Łyczakowie

Nuta pieśni narodowej: *Jedna baba drugiej babie,*
Ho, ho, ho!

Do batiarki w Łyczakowi
Ho, ho, ho,
Przyszedł batiar i tak powi
Ho, ho, ho:
„Pódźże, panna, dziś niedziela,
Ho, ho, ho,
Pokażę ci Rafaela
Ho, ho, ho!”

Krótko trwała ta pogwarka
Ho, ho, ho,
Nie w ciemę bita batiarka,
Ho, ho, ho:
„Nie będzie ze mną nic z tego,
Ho, ho, ho!
Schowaj go dla Ciuchcińskiego
Ho, ho, ho!”

Ale batiar nic nie pyta,
Ho, ho, ho,
Ino krzepko pannę chwyta
Ho, ho, ho,
I nim minęła niedziela,
Ho, ho, ho,
Zobaczyła Rafaela
Ho, ho, ho!

Pisane w r. 1907

HISTORIA «PRAWICY NARODOWEJ»

od Bolesława Chrobrego do
Władysława Leopolda Jaworskiego (1907).

Król Bolesław to rycerz był mężny,
W kołach przyjaciół Chrobrym zwan,
W swojej łapie dzierżył miecz potężny
I puszczał wrogów w krwawy tan;
Co wieczora w zamkowej świetlicy
Leżąc w łóżku zwykł grubo się śmiać: „Ho, ho, ho,
Póki jeszcze trzymam miecz w prawicy,
Możecie, dzieci, zdrowo spać!”

Jadwisieńka kochała Wilhelma,
Ale w narodzie powstał krzyk:
Co? Królem naszym Niemiec szelma?
Wszak lepszy już litewski dzik!
Choć łyzy gorzkie zraszają jej lice,
Lecz odważnie podaje swą dłoń:
Przyjm, ojczyzno, tę czystą prawicę,
Idź, mój wianku, polskiej ziemi broń!

I nasz naród, przy pomocy nieba,
W potędze kilka wieków trwał;
Gdzie go tylko n i e b y ł o potrzeba,
Wszędzie się polski husarz pchał;
Z czasem osłabł już zapal szlachcica,
Coraz rzadszy bywał szabli błysk:
Narodowa wciąż biła prawica,
Ale tylko biła chłopą w pysk!...

W końcu nawet już niebu to zbrzydło,
Już nas Opatrzność miała dość;
I rzekł Pan Bóg: „Wytracę to bydło,
Bo już patrzeć na nich bierze złość”;
Przyszedł Prusak... Moskał... Targowica...
Na ojczyznę przyszły czasy złe...
Była wprawdzie n a r o d o w a p r a w i c a,
Lecz się znalazła bardzo pfe...

Za tę wielką, bardzo wielką winę
Okrutnie nas pokarał Bóg,
Bo wnet wiarę, WŁASNOŚĆ i rodzinę
Wewnętrzny zaczął szarpać wróg;
Lecz wstał rycerz w papierowej zbroicy
I odwalać ją z grobowca gładz:
Wstań, narodzie, użyj swej prawicy,

Trzecie dzwonięcie... ostatni czas!!

Więc wróciły dawnej mocy chwile
I husarz polski odżył już:
Miast miecza dzierży wyborczą sztampilę,
W rękę kataster m a r t w y c h d u s z;
I świadomy swojej szczytnej misji
Tak pokrzepia swą słabnącą brać:
Póki jeszcze ja... zasiadam w komisji,
Możecie, dzieci, zdrowo spać!

Dalej sypać podatek narodowy,
Zewsząd pieniądze płyną w bród:
Póki w kasie mamy grosz gotowy,
Póty – z szlachtą polską polski lud!
Niech się święci „Narodowa Prawica”,
Odrodzenia niech nam snuje nić:
Niechaj nie wie, c o d a j e l e w i c a,
A będzie długo w chwale żyć!

Pisane w r. 1907

GŁOS DZIADKOWY O RESTAURACJI KOŚCIOŁA PARAFIALNEGO W SZCZUCINIE

*Karolowi Fryczowi
z serdeczną przyjaźnią*

Niekże se spocznie na kwilę dziadzina,
Toli wędruje jaze ze Scucina,
A razem z dziadkiem beło mnogo luda
 Uźreć te cuda!

Chodziły wieści po najdalsze strony,
Że w onem mieńscu strasne farmazony
Ozgościły się w diabelskiej kompanii,
 W księżej plebanii.

Mówiom, że jakiś, Boże odpuść, malarz,
Co na piechotę tam po prośbie zalazł,
Teraz se żyje niby brat ze bratem
 Z księdzem prałatem!

Cała plebania wysługuje mu się,
Na poświęcanym jada se obrusie,
Miódmałmazyje znoszą temu lichu
 W świętym kielichu.

Zakradło się to na probostwo chyłkiem,
Na mróz świeciło na pół gołym tyłkiem;
Teraz se każe najcieńsze atłasy
 Szyć na portasy.

Sypia se co noc w jegomości łóżku,
Księżą kucharkę głaska se po brzuszku,
Sam mu co rano, święci wiekuiści,
 Ksiądz buty czyści!

Ale największe to zgorszenie czyni,
Że nie przepuści i pańskiej świątyni
I kościół, co się cudami rozstawił,
 Straśnie splugawił.

Kędy janioly wprzód zdożyły ścianę,
Teraz kapłony wiszą podskubane,
A tam, gdzie beły święte męczenniczki,
 Tłuste jendyczki.

W ołtarzu widny Boga Ojca profil:

Brodę ma ryżą niby nasz Teofil;
Za złego łotra wisi w Męce Boskiej
Kunrad Rakowski.

Potem z Krakowa zjeżdża konwisyja,
Napycha brzuchy, aż im się odbija,
I prawią księdzu różne dziwne baśnie,
Pokił nie zaśnie.

W bidnego księdza konwisyja wpiera,
Że to najnowszy styl ojca Drobnera,
Co w Rzymie zdoził (taka jucha chytra)
Świętego Pitra!

Lecz już się skończy ta obraza boża,
Bo dziadek póndzie aż do konsystorza
I gwałt podniesie taki, że biskupa
Ozboli głowa...

Pisane w r. 1908

**Z nie wydanej
«Szopki krakowskiej»**

Na rok 1907 i 1908

1. Z AKTU I: PREZES – BIOGRAF.

Biograf

Moje uszanowanie państwu! Właśnie powracam z Ostendy;
Wpadłem na chwilę, przechodząc tędy,
Żeby sobie przegryźć jakie ciastko.
Poznałem się tam, prosz paa, z baeczną niewiastką;
Cukierek! Choć cudzoziemka, ale szyk prawdziwie warszawski!
Udało mi się, prosz paa, zgrabnie wkraść w jej łaski,
Phi! Co za temperamencik!
Ja tu, prosz paa, tylko na momencik;
Obecnie bardzo ważna zajmuje mnie sprawa:
Piszę właśnie życiorys hrabiego Stanisława,
Więc już od rana we fraku
Siedzę na „Szlaku”.

Wchodzi Prezes.

A, witam ekscelencję, kochany prezesie,
Opatrzność tu pana niesie!

Nuta: *La ci darem la mano (Don Juan)*

Biograf

Daj mi twą fotografię,
Gdy miałeś lata dwa,
Bo twoją biografię
Napisać pragnę ja.

Prezes

Ja na to nie przystaję,
Ze strachu cały drzę,
Bo mi się coś wydaje,
Że to wypadnie źle¹¹.

¹¹ Tę strofę pozwolił sobie autor w całości zapożyczyć z ustek nadobnej Zerliny w tekście libretta.

Biograf

Nie lękaj się, prezesie!
Tu nie ma czego drżyć:
Czytelnik dużo zniesie,
Można zeń śmiało kpić.

Prezes

Cierpliwość polska znana,
Lecz to zrozumieć chciej,
Że pan już, proszę pana,
Mocno nadużył jej.

Biograf

Opiszę cię ściśle,
To dla mnie mały trud;
Bo wprawdzie rzadko myślę,
Lecz za to piszę w bród.

Prezes

Myśleć – to zgubny nałóg,
Głoszę to wiele lat;
Nie słucha moich nauk
Dzisiejszy krnąbrny świat...

2. O HIENKACH MICHALIKOWYCH W POWIECIE MIELECKIM

(wiernie z prawdziwych wydarzeń spisane)

Nuta: *Nasz pan cysarz we Wiedniu stoi*

Pan Bobrzyński pod Mielcem stoi,
Do batalii on się już stroi:
Hej, starosty, dalej wraz,
Bierzcie gwery, patrontasz,
Bo wyborów z woli ludu już nadchodzi czas.

Pan starosta nosem coś kręci:
„Ekscelencjo, źle się tu święci;
Łeb se urwij, rozum trać,
Nie poradzi gwer, psiamać,
Bo narodu straszną kupę trza by wystrzylać”.

Pan Bobrzyński zębami zgrzyta,
Desperacja wielga go chyta:
„Który z was mi powiada,
Jaka na to jest rada,
Ten w hofraty tejże chwili niech mi zasiada!”

„Idź, Esencja, do Michalika,
Weź frajerów se z «Balonika»;
Wszystko zrobiom, jako chcom,
Straśnie zmyśne juchy som,
Choć to psiekrwie w nocy piją, a cały dzień śpiom”.

„Niech mi staje tutaj pryncypał,
Dawać chłopców najlepszych na schwał!”
Pan Zakrzeski, gęba fest,
I Leoncjusz dobry jest,
A Kadenek, choć malutki, to największy pies!

Pan Zakrzeski kończył nauki;
Hadwokackie we łbie ma štuki:
Za D o b r z y ń s k i m gardłuje,
Tym, co mlikiem handluje,
A szampile z ekscelencją fest anklebuje.

Leoncyjusz to pańskie dziecko,
Nijak mu iść sztuką zdradziecką;
Agituje otwarcie:
Póty wali po mordzie,
Aż Żyd, bestia, co mu każą, wpisze na karcie.

Tak pracują kuźdym sposobem,
Bo o wielgą idzie osobę;
A Kadenek, mały gad,
Nic nie pyta, brat czy swat,
Ino, gdzie dołapił kartki, już jom rychtyk skrad.

Na każdego po dwie maszyny;
Nie żałują juchy benzyny!
Do starosty raz po raz:
„Dawaj nam siampana kosz,
Teraz my tu, psiakrew, pany, a ty sługa nasz”.

Narodowi polskiemu chwała,
Ekscelencja posłem została;
Zwyciężony na łeb wróg,
Pijatyka, fabelcug,
A hienki do Krakowa wiozą grosza huk!

Z tej wiktorii świetnej wynika
Wielgi honor dla – Michalika;
Tylko jeszcze pytanie,
Czy hofratem zostanie,
Może tylko... austriackie zwykłe gadanie!

Pisane w r. 1907

3. KUPLET POSŁA BATTAGLII

Nuta: *Nie masz nad żołnierza
Szczęśliwszego człeka,*

Tempo polki.

(Po każdej strofce powtarza się melodię świstaniem.)

Nie masz nad Battaglię
Szczęśliwszego człeka,
W przyszłym gabinecie
Nie minie go teka;
Zpracował na nią,
To rzecz oczywista,
Ochrypł od gadania,
Teraz ino śwista!

Żadnych politycznych
Nie zna on przesądów,
Każda partia dobra,
Byle dojść do rządów!
Z jednymi tachluje,
Od drugich skorzysta,
Dalej maszeruje,
Ino sobie śwista!

Na każdego sposób
Jest u tego ćwika:
Na proboszcza miodek,
Szampan na stańczyka;
A dla wszechpolaków
Baczewskiego czysta:
Tak on agituje,
Ino sobie śwista!

Machnie w parlamencie
Trzy interpelacje,
Potem w Mulę Rużu
Smacznie ji kolację!
Tam biedny minister
Wije się jak glista:
On tańczy maczicę,
Ino sobie śwista!

Dziś krajową w Brodach
Wystawę otwiera;
Nazajutrz już w Wiedniu

Gnębi Koliszera;
Poznań – Lwów – Petersburg,
To jazda siarczysta:
Tak se wojażuje,
Ino para śwista!

Choćby się ministra
Rangi nie dosłużył,
Co wypił, to wypił,
Co użył, to użył!!
Więc się nie turbuje,
Co tam, diabłów trzysta!
Dalej se posłuje,
Ino sobie śwista!!!

Pisane w r. 1907

4. STUDENT i STUDENTKA ZE STOWARZYSZENIA «ETHOS»

Traviata: Więc pijmy, więc pijmy za zdrowie miłości

Razem

Pracujmy, pracujmy dla szczęścia ludzkości,
By w Ducha regiony ją wnieść;
Śpiewajmy, śpiewajmy na chwałę czystości,
W niej życia nowego jest treść!

Niech zniknie przesąd czczy,
Co chłopiec, co dziewczyna,
Gdy skryje peleryna
Różnice naszych płci...

Student

Precz wszelkie nieczyste, przelotne miłostki!
I myśli ustrzeżmy się złej;
Kto w zmysłów kałuży się zmacza po kostki,
Ten cały utonie już w niej!

A choć nam czasem brak
Tego, co jest w kobiecie,
Radzimy sobie przecie,
Niech nikt nie pyta jak...

Studentka

A gdy się połączym małżeńskim ogniwem
I przyjdzie w łóżnicy nam lec,
Spłodzimy dzieciątko w skupieniu cnotliwym.
Rozpusty potrafim się strzec!

Niech brudnych wzruszeń szął
Nie skazi pra-czystości
Bytu, co się z nicości
Człowiekiem właśnie stał!

Razem

Więc piejmy, więc piejmy: precz z wszelkim ekscesem!
I śmiało pospieszmy na bój;

Niech krążą, niech krążą puchary z ceselem¹²,
W nich życia nowego jest źródło!

¹² Znakomity napój bezalkoholowy.

5. GOSPODARZ Z BRONOWIC ŚPIEWA W TYM SAMYM PRZEDMIOCIE

Nuta: *Umarł Maciek, umarł*

Umarł Maciek, umarł i już się nie rucha,
Choćby go najtęgsza wabiła dziewczucha,
On nie wyda z siebie głosu,
Bo chłop przystał do Hetosu!
Oj, ta dana dana dana, oj, ta dana da.

Dawniej, kiedy dziwka była grzechu warta,
Choćbyś jej ta zrobił jakiegoś bękarta,
Poszła se z nim ka przed siebie
I nie było dziury w niebie!
Oj, ta dana... itd.

A choć żałośliwe bywały momenty,
Zwyczajnie, dziewczynskie sprzykrzone lamenty,
Toś jej pedział: „Nie płacz, płaksa,
To od swego, nie od Saksa!”
Oj, ta dana... itd.

Dzisiaj w tym Hetosie paskudne kaliki,
Dziwki jak wymokłe, chłopcy jak patyki,
Wciąż rajcują hokus-pokus,
Jak się wyzbyć ziemskich pokus!
Oj, ta dana... itd.

Cóż też na was, dziwki, za cholera padła?
Idźże jedna z drugą, zaźryj do zwierciadła.
Nie wiem, czy złakomi kto się,
Cheba tylko w tym Hetosie...
Oj, ta dana... itd.

Z «Szopki krakowskiej»

Na rok 1911 i 1912 (Boy & Taper)

1. KUPLET FOOTBALISTY

Nuta: *Przybieżeli do Betlejem pasterze*

Przyjechali do Krakowa piłkarze,
By nogami strzelać sobie we twarze:
„Keczkeket” z Debreczyna,
„Atletikai” drużyna
Z „Cracovią” zaczyna.

A. B. C. D. E. F. G. H. junior K.,
M. N. O. P. R. S. T. U. jeden, dwa:
„Keczkeket” z Debreczyna,
„Atletikai” drużyna
Mecz się już poczyna.

Wielkie tłumy cisną się na boisku,
Wziął przy kasie jeden z drugim po pysku:
„Keczkeket” z Debreczyna,
„Atletikai” drużyna,
Ten i ów przeklina...

Już w powietrzu leci piłka wysoko,
Prawy łąc z n i k już podbite ma oko;
„Keczkeket” z Debreczyna,
„Atletikai” drużyna,
Ładnie się zaczyna.

Już z n a p a d u dwóch zaryło nos w błocie,
Już zrobiono cztery dziury we płocie:
„Keczkeket” z Debreczyna,
„Atletikai” drużyna,
Celu już dopina.

Już Vykoukal nakazuje k a r n y r z u t
Za sportowe pokopanie pary ud:
„Keczkeket” z Debreczyna,
„Atletikai” drużyna,
Ważna to przyczyna!

T y l n y n a p a d strzelił w zęby bramkarza,
Piłka w zębach bramkę sobie wyważa:
„Keczkemet” z Debreczyna,
„Atletikai” drużyna,
To im nie nowina!

Leci piłka między gości, robi a u t,
Jezus Maria! *Herrgot!* Psiakrew! *Dieu! Gewalt!*
„Keczkemet” z Debreczyna,
„Atletikai” drużyna,
Matka drży o syna.

A. B. C. D. E. F. G. H. junior K.,
Zwyciężyli dziś w stosunku sto do dwa:
„Keczkemet” z Debreczyna,
„Atletikai” drużyna,
Piękna to godzina.

Tak narody dwa okryły się chwałą,
A przynajmniej w rannym „Czasie” tak stało:
„Keczkemet” z Debreczyna,
„Atletikai” drużyna,
To gra *fair*, to mina.

Więc na Błonia spiesz, o polska młodzieży,
Ucz się kopać pilnie, tam gdzie należy:
„Keczkemet” z Debreczyna,
„Atletikai” drużyna,
Ojciec rzekł do syna.

Dziś Sobieski, miast na Turkach tępić miecz,
Pojechałby do Stambułu kopać mecz:
„Keczkemet” z Debreczyna,
„Atletikai” drużyna,
Rewanż się zaczyna...

2. KUPLET JACKA SYMBOLEWSKIEGO

Strój: zakiet modnego kroju, pancierz zamiast kamizelki, koźle nóżki i ogonek.

Nuta z szopki: Czy to w dzień, czy to w noc

Ni to pies, ni to bies,
Raz po raz zmieniam stan,
To w pirogu, to znów bez,
To profesor, to znów pan.
Na Zwierzyńcu czy też w Tyńcu,
Husarz, dziwka, krowa, chłop,
Wszędzie gołę me symbole,
A ty zgaduj alboś czop!

Czy to sierć, czy to frak,
Zawsze poznać zacny stan,
Czy strój jest, czy stroju brak,
Zawsze jestem grecki Pan.
To w sweterze przy panterze,
To z ogonem, to znów bez;
To ze skrzypką, to znów z rybką,
Zgadnij, bracie, kto to jest?

3. „SOWIZDRZAŁ” DAWNIEJ A DZIŚ

Nuta: *Canzona* Nowaczyńskiego

Kasztelan we Warszawie

Żyje jak Esik prawie,

Pływa se w białej kawie;

A Sowizdrzał w Krakowku

Żył we wiecznym przednówku,

Nie myślał o przychówku.

Kasztelan zna prezesy,

Pija z pany, z noblesy,

Złotem połyska z kiesy;

Sowizdrzał ze „Stasinkiem”

Nie pogardził i szynkiem,

Wódę zagryzł piklinkiem.

Kasztelan se na wety

Woła cuda kobiety,

Tyjatry i balety;

A Sowizdrzał, jak prawią,

Szedł se cichcem na Pawią,

Gdzie za ryński się bawią.

Kasztelan we łbie waży

Samych króli, cysarzy,

O nich sztuczki se smaży;

Sowizdrzała pisanie –

Same chwalby na dranie,

A panom srogie lanie.

Kasztelan jest sensatem,

Nie zadziera ze światem,

Z mitrą ani z chałatem;

Sowizdrzał na przelewki

Życie brał, a był krewki,

Klepał biedę i dziewczki.

Kasztelan głośny wszędy,

Skrybifaksów gawędy

Pieją jemu kolędy;

Sowizdrzał, że za flaki

Targał możne pismaki,

Nie świecili mu baki.

Tak to bywa z człowiekiem,

Że gdy zmądrzeje z wiekiem,
To opływa w miód z mlekiem;
A przez boskie skaranie,
Jeśli głupim zostanie,
Na portki mu nie stanie...
Amen.

4. KUPLET ZAKOPIAŃSKIEGO GÓRALA

Zwyczajna nuta góralska

Pogłondajom chłopcy jaze spod Orawy,
Ej, cy tez ku nim jadom panienki z Warsiawy?

Pogniły jawory i limbowe lasy,
Ej, ino jesce krzepkie góralskie juhasy.

Bucyna, bucyna, na bucynie wróble,
Ej, kochałek was, pani, jaze za tsy ruble.

Dała mi tsy ruble, nie żądała reśty,
Ej, moja frairecko, kaneśty, kaneśty?

Pamiętas te trawke na Grulowej Hali,
Ej, gdzieśwa to Tetmaira ze sobom cytali?

Kosi hale kosiarz, ksywduje se z tego,
Ej, ze tu latoś trawa cosi do nicego.

Wróćze, panno, wróćze jesce tych wakacji,
Ej, strażnie mi się cnie jus do ty hedukacji!

5. KUPLET PADEREWSKIEGO

Nuta: *Preludium* Szopena *A-dur*

Obu świata kul
Jam dziś tonów król,
Spod mych boskich rąk
Płyną czary w krąg.

Znany w Polsce jest
Mój monarszy gest,
Mój złocisty włos,
Harmonijny głos.

Czy w mej willi w Morż,
Czy w hotelu Żorż,
Muszę, rad nierad,
Olśnić wdziękiem świat.

Jam dziś w Polsce król:
Ludu, gębę stul,
Chciałbym do cię znów
Rzec choć kilka słów...

6. KUPLET JANA W DWÓCH OSOBACH STYKI

niedoszłego twórcy panoramy grunwaldzkiej w krakowskim Barbakanie.

Nuta: *Pomoc dajcie mi, rodacy*

Pomoc dajcie mi, rodacy,
Bo olbrzymia myśl mnie nęka,
Kilometrów zbożnej pracy
Pragnie ma mocarna ręka.
Wielkie duchy ojców wskrzeszę
Witołdowym święte czynem,
Bohatyrów zbudzę rzesze –
Razem z Tadzkiem, moim synem.

Kto mi w sprawie dopomoże,
Ten mi brat i Polak szczery,
Za to gębę jego włożę
Między zbrojne bohaterzy.
Miedniak będzie więc Jagiełłą,
Kosobudzki Piotr – Melsztynem:
Velasqueza godne dzieło
Stworzę z Tadzkiem, moim synem.

Choć ród ducha gasicieli
Żółcią piwa i jadem syczy,
Serc nam w piersiach nie spopieli,
Nie przygasł polskich Zniczy.
Dalej, druhy! Ramię w ramię!
Tężmy się sokolim czynem,
Ja przy świętym czuwam chramie
Razem z Tadzkiem, moim synem.

Lecz jeśli nasz czyn ofiarne
Z waszych duchów w moc nie wstanie,
Pluniem na ten naród marny
I wrócimy na wygnanie;
I w salonie, hen, paryskim
Ozdobimy skroń wawrzynem,
Może nawet z większym zyskiem –
Razem z Tadzkiem, moim synem.

7. KUPLET MŁODEJ POLSKI

Nuta: *Starość* Moniuszki

Dzień za dzionkiem wprawdzie schodzi,
Czas na czole zmarszczki pisze,
Lecz my ciągle jeszcze „młodzi”,
Nie starzejem, towarzysze;
Skoro literacka gleba
Tak opornie młodych rodzi,
M ł o d e j P o l s k i Polsce trzeba,
My musimy wciąż być młodzi.

Już nam dawno wyszły z głowy
Nad-młodzieńczych szalów głupstwa,
Dawno minął czas godowy
Złotej R u i i P o r u b s t w a;
Lecz atrament dały nieba,
Piórem szaleć – cóż to szkodzi?
M ł o d e j P o l s k i Polsce trzeba,
My musimy być wciąż młodzi.

Choć z nałogu nas krytyka
Atakuje z wielkim hukiem,
Ten, co młodość nam wytyka,
Mógłby już być naszym wnukiem;
Więc choć nam już wieczność blisko
I o kuli każdy chodzi,
W weteranów przytulisku
Jeszcze zostaniemy młodzi...

8. KUPLET POSŁA Z «RAJCHSRATU» WIEDŃSKIEGO

Nuta: *Przez czyścicowe upalenia*

Kiedy posła lud obiera,
Życie przed nim się otwiera,
Więc do Widnia się wybiera
I najsamprzód gdzie zaziera?
...Do Puchera.

Pucher – polska to kwatera:
Kwiat narodu tam się zbiera,
Dusze zwierza, myśli ściera,
Za kraj żyje i umiera
u Puchera.

Przyjacielska atmosfera:
Endek tam stańczyka wspiera,
Horyzonty mu otwiera,
Uczy, co to jest kariera –
u Puchera.

Solidarność wszystkich zwierza
(Bridż, a czasem coś z pokera),
„Ekscelencjo, inwit w kiera...”
Serce w piersiach Polską wzbiera
u Puchera...

Praca posła ciężka, szczerza:
Z rana – poseł się ubiera,
Fagas listy mu otwiera,
On tymczasem się wybiera
do Puchera.

Do Rajchsratu też zaziera,
Z dała kiwa na portiera,
Informacje skrzętnie zbiera –
Czy już ktoś się nie zabiera
do... Puchera.

Separatka u Sachera,
Mizzi, flaszka roederera...
Posła już nostalgia zbiera,
Sennie woła na szofera:
„Do... Puchera!”

Różnych rządów mija era:

Gautscha, Choca, Schoenerera;
Poseł gęby nie otwiera,
Choć mu swada służy szczerza
u Puchera.

W kraju za to laury zbiera,
Łże jak heros u Homera;
Rządy zwala, trony wspiera:
Niech spytają się – kelnera
od Puchera.

W końcu spada gniew premiera
I parlament się zawiera;
Poseł łzawo nos uciera
I tak kończy się kariera
u Puchera...

9. TRYUMFY „POLSKIEGO KABARETU”

Błysła Polsce najmłodszej
Gwiazda dziś nowa;
Wszędzie twórczość zakwita
„K a b a r e t o w a”.
Gdzie się ruszysz, o rety!,
Wszystko śpiewa kuplety,
Ciągnie dowcip za uszy
Z żalösnej duszy.

Był sobie na Stradomiu
Szynczek narożny;
Chadzał tam na wódeczkę
Ludek pobożny,
Dzisiaj już nowa era,
Trza im *conférenciera*;
Chwyta w lot stróż Walenty
Wszystkie puenty.

Lał się w klubie przy bridżu
Pilznerek świeży,
Świadczył każdy każdemu,
Co mu należy,
Dziś zabawa szeroka,
Tańczy adiunkt kekłoka
I po brzuchu, jak brata,
Klepie hofrata.

Każdy chce dziś do jadła
Jakowejś śpiwki,
Więc gospodarz sprowadził
Trzy stare dziwki;
Otruł gościa kotлетem,
Nazwał to „kabaretem” –
Za wstęp cztery korony,
Niech was pierony!

Opiewa dziś rytmicznie
Kabaret w Jaśle,
Że sznycle u poborców
Nie są na maśle;
Kabaret w Sędziszowie
Z estrady ci opowie,
Co z młodszym sędzią czyni
Pani radczyni.

Przyjechały do tinglu
Gwiazdy z Berlina,
Co która ma i nie ma,
Skrzętnie wypina;
Zrozum, jeśli potrafisz,
Czemu wieści nam afisz,
Że to cuda są nowe,
K a b a r e t o w e?!

Tętni humor rodzimy
Od twórczej weny,
Dla dzieci i wojskowych
Daje pół ceny;
Sypie attyckiej soli
Do swoich kuneroli,
A pocziwa publika
Łyka i łyka.

10. SPRAWOZDANIE PROF. DR HR. M. Y. CIELSKIEGO
Z ROZDANIA NAGRÓD BARCZEWSKIEGO
W AKADEMII KRAKOWSKIEJ

Mówi:

...Teraz byłem w Akademii
Na dorocznym jury artystycznej premii.
Co rok, zwyczajem od dawna uznanym,
Sadzamy całą Polskę na cenzurowanym
I oceniamy wszystkie sztuk wszelakich płody,
Aby za obraz przyznać sto koron nagrody.
Zwertowaliśmy wedle wymogów nauki
Całą historię wszechświatowej sztuki;
Sięgnęliśmy aż do Leonarda da Vinciego,
Choć mamy własnego Leonarda, i to l e p s z e g o.
Lecz cóż? Wszędzie przeszkoda jakaś szyki miesza,
Aże w końcu odkryliśmy Kręcinę Mesza:
Stworzył cykl religijny, z dwóch cyklów złożony,
I ten, że tak powiem, bicykl został nagrodzony.

Wracam, proszę państwa, właśnie z posiedzenia,
Gdzieśmy mieli strasznie dużo do czynienia,
Dać nagrodę taką, wszakże to nie żart!
Zgadnijże tu, znawco, co tam kto jest wart?!

Więc komisja światła, zwykłym rzeczy biegiem,
Dzieła co najteższe przejrzała szeregiem,
By zaś gust publiczny ku wyżynom wieść,
W sprawozdaniu naszym damy rozpraw treść.

Prosta sprawiedliwość najprzód tego żąda,
By nagrodę pierwszą dostała *Gioconda*,
Lecz, niestety, zaszedł taki rzeczy skład,
Że ją przed uchwałą ktoś zawistny skradł.

Drudzy znów żądali (i też się nie mylą),
Aby do nagrody poprzeć *Wenus z Milo*;
Lecz poważne głosy podniosły się w krąg:
Praca bardzo cenna, ale nie ma rąk.

W dziale budownictwa wymieniło jury
Katedrę kolońską poprawnej struktury;
I Notre-Dame paryską wspominano też,
Mimo nieskończenia obu przednich wież.

Mamy dzieł i w Polsce zasób znamienity:

Tycjan, w Pacanowie przeze mnie odkryty,
Rembrandta w Mościskach portret: kanclerz Pac
(Jedna z najmniej znanych Rembrandtowych prac).

Portret z mego zbioru (wkrótce go wystawię):
Hetmanowa polna – poznać po buławie;
Chciano już nagrodzić arcydzieło to,
Cóż, gdy je malował nie wiadomo kto.

Zwracano się nawet do Galerii lwowskiej,
Żądał tego w pismach prezydent Rutowski,
Lecz lwowski Rafael nie miał dobrych not,
Chociaż go malował słynny Van der Knoot.

Zresztą owe dzieła obowiązek święty
Wymienić nam każe jeno dla zachęty,
Zapis bowiem tylko te nagradza z prac,
Które przeszły wprzód przez Szczepański Plac.

Więc Komisja światła, po nowym namyśle,
S w o j s k i e wielkie dzieła rozważyła ściśle
I dziś Polsce całej głosi wzdłuż i wszerz,
Że nagrodę dostał: pan Kręcina Mész.

11. NOWINKI KRAKOWSKIE

Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A – B?

Mojej szwagrowej brat,
Moja pani, moja pani,
Mojej szwagrowej brat
Szedł tamtędy akurat.

Aż tu na niego gna,
Moja pani, moja pani,
Aż tu na niego gna
Ten, co to go pani zna.

Co mówią, że to z tą,
Moja pani, moja pani,
Co mówią, że to z tą,
Co to od akcyzy są.

Co to ich złapał ktoś,
Moja pani, moja pani,
Co to ich złapał ktoś
Pod Grażyną, czy tam coś.

Więc, com to chciała rzec,
Moja pani, moja pani,
Więc, com to chciała rzec,
Babsko grube jak ten piec.

Z nim ten, co pani wie,
Moja pani, moja pani,
Z nim ten, co pani wie,
Co to niby strasznie dmie.

Strasznie mi hrabski dom,
Moja pani, moja pani,
Strasznie mi hrabski dom:
Ojciec miał na Wiśle prom.

Więc właśnie sługę mam,
Moja pani, moja pani,
Więc właśnie sługę mam,
Co służyła przedtem tam.

To, jak jej dali prać,
Moja pani, moja pani,
To, jak jej dali prać,
Wszysciuteńko było znać.

Ten czarny pędzi w przód,
Moja pani, moja pani,
Ten czarny pędzi w przód
Tędy, co to tylny wchód.

Tamten chciał zrobić krzyk,
Moja pani, moja pani,
Tamten chciał zrobić krzyk,
Ale ten tymczasem znikł.

Mojej szwagrowej brat,
Moja pani, moja pani,
Mojej szwagrowej brat
Widział wszystko akurat.

I poprzysięgał mi,
Moja pani, moja pani,
I poprzysięgał mi,
Że się temu ani śni.

Ale ja dobrze wiem,
Moja pani, moja pani,
Ale ja dobrze wiem,
Że już coś tam było z tem.

Co on tak broni ją,
Moja pani, moja pani,
Co on tak broni ją,
Chyba że sam miał coś z nią?

Okropny dzisiaj świat,
Moja pani, moja pani,
Okropny dzisiaj świat,
I o taki stary grat!

12. KUPLET „ZORGANIZOWANEGO MALARZA”

(z doby strajku w Akademii Sztuk Pięknych)

Nuta: *Czerwony Sztandar*

Do szkolnej zaprzężonych taczki
Proletariuszów płynie znój;
Modelki stare, złe spluwaczki,
Grafiki nie ma, w salach gnój! (bis)
Dalej więc, dalej więc, wznieśmy śpiew:
Peleryna płynie ponad trony,
A z jej dziur skargi chór bije w mur:
Do pieców dajcie rur,
Na nos mój patrzcie, jak czerwony –
W tej budzie z mrozu krzepnie krew! (bis)

Ośmiogodzinny dzień pejzaży
Od dawna nam należy się,
Hej! Gliny, wódki dla rzeźbiarzy,
Lub z Akademią będzie źle! (bis)
Dalej więc, dalej więc, wznieśmy śpiew:
Peleryna płynie ponad trony,
A z jej dziur bije w mur skargi chór,
Z nim sztuki polskiej wtór:
Wiśniówki kolor jest czerwony,
Bo w niej artyści szczera krew! (bis)

Precz z dyrektorem, precz z despota,
Niech r e k t o r a t u błysnie dzień:
Nam rektor stworzy erę złotą,
Chociażby... zresztą był jak pień... (bis)
Dalej więc, dalej więc, wznieśmy śpiew:
Peleryna płynie ponad trony,
A z jej dziur bije w mur żądań chór:
Gronostajowych skór;
Niech nam obramia płaszcz czerwony
Lub się poleje tutaj krew! (bis)

13. „POMNIKOMANIA” KRAKOWSKA

Nuta: *Blaszany był... (Nitouche)*

Jak smutną dola jest geniuszy
W dzień ludowego zgromadzenia!
Brązowe nawet wędną uszy
Od ryku, pisków i gładzenia.
Wyłazi trybun jeden z drugim,
Sztandary wietrzy na biedaku
I w przemówieniu setnie długim
Przeciąga go do swego znaku.

Wieszcz rad by umknąć, lecz, mój Boże,
Do domu zabrać się nie może,

Bo go lud polski w ziemię wrył.

Ach, czemuż to?

Spizowy był, spizowy był, bo spizowy geniusz był.

Zaszczyt go spotka niepośledni,
Że postać jego uwielbiona
Dla wszystkich aktualnych bredni
Kolejno służy za patrona;
Dziś, gdy przyjadą goście z Pragi,
Pan Krk go robi panslawistą,
Jutro „towarzysz” kropi blagi,
Że miał być pierwszym – socjalistą.

Wieszcz chciałby krzyknąć: „Nie pleć dłużej,
Bo breszysz, acan, aż się kurzy!”

Lecz głos geniusza nie ma sił...

Ach, czemuż to?

Spizowy był, spizowy był, bo spizowy geniusz był.

Przez lat pięćdziesiąt Komitety
Nad ustawieniem jego radzą
I w czci płomiennej dla poety
Z placu na placyk go prowadzą.
Aż wreszcie, gdy go już ustawią
Na lat choć tysiąc albo na sto,
Wówczas mu wszyscy w uszy prawią:
„Zasłaniasz widok, szpecisz miasto”.

Wieszcz myśli w duchu na te gniewy:
„A cóż ja winien, moiściewy!”

Darmo się chce choć w ziemię skryć:

Ach, jak to źle

Spizowym być, spizowym być, spizowym geniuszem być...

14. KUPLET POSŁA WŁ. L. J. AWORSKIEGO

Zły to polityk, co się wścieka,
Bo rozum leży w tym człowieka,
Że jak się nie da, to zaczeka
 Na inny raz;
Niech się tam kłębią ciężkie chmury,
Lecz kto zna dobrze bieg natury,
Ten śledzi zawsze wiatru z góry –
 My mamy CZAS...

Wszak od pół wieku śmierć nam głoszą.
Na Rakowice nas wynoszą
I na nasz pogrzeb pięknie proszą,
 By uczcić nas;
A my na te figielki dziątek
Patrzymy z górą kopę latek,
My wiemy, jak się kręci światek –
 My mamy CZAS...

Wszak rozum leży w cierpliwości,
Zły to polityk, co się złości;
Co nam przekazał głos przeszłości,
 Nie poszło w las:
Kto umie czekać, ten bezsprzecznie
Doczekać musi się koniecznie,
Więc, choćby przyszło czekać wiecznie –
 My mamy CZAS...

15. „KURDESZ MINISTERIALNY” POSŁA ZIEMI KRAKOWSKIEJ, BRONIMIERZA HETMAJERA

Mówi:

...Ach, przebajońskie! Pamiętam przecie:
Rozdawaliśmy teki w nowym gabinecie.
Bajeczna chwila! Niemiec w intrygach się szasta,
A my wpadamy hurmem, krzycząc: „Chcemy Piasta!
Do szeregu! Niech żywi nie tracą nadziei!
Piaś musi być ministrem skarbu lub kolei!”
Zlazło biedne Stürchezsko z betów na przypiecku
I sumitować nam się zaczął – po niemiecku!
A ja mu palę na tę stękaninę:
„*Nix; deutsch! Eques polonus sum, loquor latine!*
Facias, psiawiario, statim Piasta brata
Ministrum fisci, vel via ferrata”.
Oblało się też potem przy vöslauskim winku
Ten ostatni zajazd na Francensrinku.

Nuta: *Staropolski kurdesz*

Każ podać t e k i, gospodarzu miły,
Bodaj się Piastów rządy nam święciły,
Niech błysnie kontusz ponad pludrakami –
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Wspomnijmy przodków szlaki wiekopomne,
Precz Niemce, Włochy, plemiona ułomne!
Nie tym pokurczom przewodzić nad nami! –
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Mężów tu siła, co godni splendoru:
Niech się rozszerzą ściany tego dworu!
Rad siada Polak między ministrami –
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Od ciebie, godny burmistrzu, zaczynam:
Zoczym, czy weźmiesz *partem leoninam*,
Parać wszak zwykleś się z deficytami,
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Postąpże bliżej, mospanie Jaworski!
Pomnij, że nic tu rozum profesorski,
Tu na egzamin weźmiesz ciebie sami –
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Był Krzywousty, był Władysław Herman,
Czemuż by nie miał być Ludomił German?
Różnymi dzieje idą kolejami –
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Pokażże Wasze, mospanie Stapiński,
Jak tekę łowi się na kolczyk świński:
Czas już sukmanę upstrzyć orderami –
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

A ty, nieboże, Wróbelku, nie bolej!
Przyjdzie powoli na nas wszystkich kolej;
Tylko w garść plunąć, ostro z Niemiaszkami!
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

16. KOKOTKA KRAKOWSKA Z LINII A – B

Mówi:

Ach, cudne miasto, człek chodzi i chodzi:
To całkiem co innego niż u nas w Łodzi.
To światło księżyca, co z góry
Oblewa srebrem te sędziwe mury,
Te dzwony bijące wśród głuszy,
Ach, jakże mi to wszystko przemawia do duszy.
Co za cudowne zakątki!
Gdzie spojrzeć, jakieś pamiątki:
Inaczej się po takim bruku depce,
Gdzie z każdego kamienia głos przeszłości szepce,
Ach, to moje nieszczęście, że mam głowę tak zapalną,
Że za nic mam zawsze stronę materialną,
Która jest tutaj po prostu fatalną.
...Nieraz człek przymiera głodem,
A jednak nie mam serca rozstać się z tym grodem.
Tłumaczyłam właśnie rudej Mańce,
Że tu rodzimej kultury są szańce.
O, moje ty miasto kochane,
W tobie jestem i zostanę!

Nuta: *Walc z Graf von Luxemburg*

Gdy noc zstępuje z chmur
I Kraków tonie w mgłach,
Orszak wesołych miłości cór
Mknie tam, gdzie wzywa fach!
Asfalt w księżycu lśni,
Głucho w krąg...
Hejnał z wieżycy drży,
Policjant stoi jak drag...

Grodzie nasz,
Grodzie mar,
Jakiż masz
W sobie czar!
Piękności twojej nigdy dość,
Choć nieszczególny z ciebie gość...

Dziesiąta razy cztery
Wybiła z czterech wież,
To wielka chwila s z p e r y:
Przechodniu, spiesz się, spiesz!
Wnet pośród głuchej pustki

Zawodzą duchy tam –
Bo duch nie płaci szóstki...
Bodaj to ducha stan!

Pustka, cisza i mrok,
Szmer jakiś – i cisza znów.
Żaden natrętny miłością krok
Nie mąci moich snów;
Asfalt w księżycu lśni,
Głucho w krag...
Hejnał z wieżycy drży,
Policjant stoi jak drag...

Coś wionie dawnym czasem
W tym mieście naszych miast;
Nad wieżyc ciemnym lasem
Migocą ognie gwiazd;
Korono z gwiazd miliona,
O, jakże cudną tyś –
Jedyna to korona,
Jaką widziałem dziś...
Grodzie nasz,
Grodzie mar,
Jakież masz
W sobie czar!
Piękności twojej nigdy dość,
Choć nieszczególny z ciebie gość...

17. OPOWIEŚĆ DZIADKOWA O CUDACH RAPPERSWYLSKICH

Posłuchajcie, ludkowie,
Co wam dziadek opowie,
Niech odpocznie sobie kwila;
Wędruje jaz z Raperswila,
Straśne cuda tam widział.

Siedzi tam, moiściewy,
Jenszy dziaduś poczciwy,
Na ślusarce się rozumi,
Różne śpasy kleić umi:
Zrobili go Koperą.

Jeżdżą ludzie z niebliska
Do onego zamczyska;
Same godne cudzoziemce:
Jangliki, Turki i Niemce.
Syćko gęby otwira.

Jest tam kijek Kościuszki,
Króla Piasta garnuszki
I fajeczka Kopernika,
Z której se pan kustosz pyka,
Jak jest w dobrym humorze.

Suwarowa nahajka
I Kolumba dwa jajka,
Kierezyja wenecjańska
I dziewica orlijańska –
Syćko wisi se społem.

Jest też lanszaft galanty:
Tycyjany, Rembranty;
Sam pan kustosz je malował,
Fatygi se nie żałował –
Syćko la tej ojczyzny.

Zazdrościł jeden, drugi
Takiej wielgiej zasługi;
Zrobiły się strasne chryje:
Dawajcież tu konwisyje,
Niech, jak beło, uświadczy.

Więc w zamczysko obronne
Jadą... g ł o w y koronne,

Lament robią żałośliwy,
Że w tej Polsce nieszczęśliwej
 Jaje mędrze od kury.

Co tu długo pyskować?
Starszych trzeba szanować;
Więc orzekły pany sędzię,
Że jak beło, tak i będzie
 La dobrego przykładu...

Dziwna przygoda rodziny Połanieckich

Noc karnawałowa w zacnym polskim domu. Z przyległego salonu dochodzą dźwięki walca, głos wodzireja ryczący egzotyczne nazwy figur kotylionowych, szelest sukien falujących w tańcu itd. Siedziałem, wpół drzemiąc, w wygodnym fotelu; wtem coś mignęło, zaszumiało tuż koło mnie i jakaś zapóźniona para przemknęła jak wichur, wywracając w pędzie, o zgrozo, butelkę doskonałego starego koniaku, którą zachowałem do swego prywatnego użytku. Szanowny napój począł spływać powoli, oblewając strumieniem wspaniałą *Prachtausgabe*, leżącą, jak przystało, majestatycznie na stole polskiego domu. Spojrzałem: była to *Rodzina Połanieckich*. Patrzałem z melancholią na grube welinowe karty, ociekające złotawym płynem, gdy nagle zdało mi się, iż słyszę najwyraźniej jakieś szmery, jak gdyby głosów wychodzących z kartek książki:

-
- Panie Stachu!
 - Co, panno Maryniu?
 - Coś panu chciałam powiedzieć... W jednej chwili tak mi się strasznie w głowie zakręciło...
 - Dziwna rzecz, bo mnie także... To pewno z gorąca.
 - Panie Stachu...
 - Co, panno Maryniu...
 - Kiedy się wstydzę...
 - Nie wierzę, żeby panna Marynia mogła coś takiego pomyśleć, czego by się musiała wstydzić...
 - Pan Stach taki dobry, że tak o mnie myśli...ale ja jestem taka... Tak gdzieś głęboko, głęboko, to ja jestem bardzo zepsuta...
 - Moja dziecina droga...
 - Panie Stachu... ja chciałabym za mąż iść...
 - Pójdzie pani, panno Maryniu...
 - Ale ja chcę zaraz...
 - Moja złota panno Maryniu, i ja także chciałbym, tak chciałbym, żeby pani znów wróciła ze mną do swego ukochanego Krzemienia...
 - E, głupstwo Krzemień... nudna dziura... to nie dlatego... Aj, strach, jak mi się w głowie kręci... Panie Stachu...
 - Co, panno Maryniu?
 -
 -?
 - A bo czemu mnie pan Stach nigdy nie przytuli, nie popieści...
 - Moja droga panno Maryniu... moja, bardzo moja... moja głowa najdroższa...
 - Ale nie tak, panie Stachu, tak mocno, mocno, nie tak jak porządną kobietę, tak inaczej jakoś... ja sama nie wiem, jak...
 - Nie można, panno Maryniu... służba boża...
 - A, prawda... służba boża...
-
-
- Och, och, och... (*szlochanie*)
 - Maryniu, dziecko, co ci jest, dzie-dziecinko mo-moja? (Jakoś mi się, staremu, język płacze. I w głowie mi się czegoś nagle kręci. Pewnie będzie burza.)
 - Och, och, och, panie profesorze, panie Waskowski, ja jestem taka nieszczęśliwa... (*szlochanie*)

– Cóż to pannie Maryni jest? Niechże się przytuli do swego starego profesora. O tak, jeszcze bliżej...
– Och, och, och, panie profesorze, pan Stach mnie nie kocha...
– Co też Marynia za głupstwa plecie? Stach Maryni nie kocha? On, najmłodszy z Ariów?!
– A nie kocha...
– Co w tej głowinie dzisiaj... Kto by nie kochał mojej dzieciny złotej?
– A pan Stach nie kocha (och, och, och). Zresztą za co by mnie kochał...
– Iii! grzech takie rzeczy mówić! Za co? Oj ty, ty, ty. Za co? A za te oczka śliczne, a za to pysio różowe, a za ten karczek... a za te piersiątko... za te bioderka... za te nóżki małe... a za te łydeczki... ti, ti, ti... ty Aryjko mała, ty szelmutko jedna... a jak się to stroi, jakie to koronki, jakie hafciki... jakie majteczki... Ty, ty, ty, kokotko mała...

– Panie profesorze, co pan robi... zobaczy kto... tak mi się strasznie w głowie kręci...
– Będzie burza...

.....
.....
– Panie Stachu!

– Co, Lituś?

– Tak mi jakoś dziwnie w główce...

– Chodź, kociaku, na kolana...

– A będzie pan Stach pieścił kociaka?...

– Będę, Lituś.

– Tak dobrze u pana Stacha! Tak przyjemnie! To podwiązka. Panie Stachu, co pan robi... Nie można... nie można... panie Stachu... Panie Stachu! A jak ja powiem cioci Maryni, to co będzie?... Ha, ha, ha!... jaką pan Stach ma teraz niemądrą minę! A nieprawda, bo nic nie powiem, bo pana Stacha kocham i panu Stachowi wszystko wolno... I mnie też wszystko wolno, bo ja młodo umrę. Tak mi się w głowie kręci, jak wtedy na imieninach, jak piłam szampan... Panie Stachu, tak dziwnie... tak przyjemnie... pan taki strasznie kochany... co pan robi... Panie Stachuuuuu...

.....
.....
– Bukacki! Słuchaj no, co to jest?... co się tu dzieje? Czy mnie się kręci w głowie, czy co, ale tu tak jakoś dziwnie...

– Nie przeszkadzaj im, Pławisiu, chodź na miasto... Pojedziemy... wiesz, staruszk... tam...

– Nie, nogi mi się czegoś płaczą...

– No, to zagrajmy w pikietę.

– Ale z rubikonem.

– Z rubikonem, staruszk, z rubikonem.

.....
.....
Szepty i szmery ucichły. Widocznie *Rodzina Połanieckich*, podeschnąwszy trochę, odzyskała równowagę duchową, zachwianą na chwilę zetknięciem się z kilkoma kroplami starego koniaku. Podniosłem się z fotela i uczułem, że mnie samemu nogi się cokolwiek płaczą...

Pisane w r. 1908

Bodenhain

fragment dramatu, znaleziony na Małym Rynku przez pana Ferdynanda Esika, autora dzieła nagrodzonego przez Krakowską Akademię Umiejętności pt. *Kobiety w życiu Lucjana Rydla*.

[Znakomity badacz literatury polskiej, p. Ferdynand Esik, zakupując na Małym Rynku większy zapas śliwek (nie ma jak śliweczki!), zauważył, iż towar zawinięty był w jakiś manuskrypt, którego charakter pisma wydał mu się znajomy. Nie zdradzając swojego spostrzeżenia pospieszył czym prędzej do domu i tu, z zapartym od wzruszenia oddechem, stwierdził, iż ma przed sobą autentyczny fragment pierwotnego rękopisu sztuki Lucjana Rydla pt. *Bodenhain*. Cenny fragment został poddany wyczerpującym badaniom, dzięki którym udało się określić z pewną ścisłością epokę, w której mógł powstać: mianowicie p. F. H. w interesującym studium wykazał, iż czas jego powstania przypada na miesiąc listopad r. 1905, a to na podstawie szczegółowych badań nad rodzajem atramentu, którym tenże fragment był pisany. Mianowicie atrament ten okazał się zupełnie identycznym z atramentem krajowej fabryki spółki zarejestrowanej pod firmą ***, która założona w październiku 1905, w miesiącu grudniu tego roku zlikwidowała się, a zatem, jak słusznie wywodzi p. F. H. według rachunku prawdopodobieństwa (ulubionej swojej metody), manuskrypt pisany tym atramentem musiał powstać w miesiącu listopadzie r. 1905. Informacja zaczerpnięta później u samego autora w kawiarni Sauera potwierdziła w zupełności to bystre przypuszczenie niestrudzonego badacza naszej literatury.]

DRAMATIS PERSONAE

H r a b i a N a p o l e o n Z b ą s z y ń s k i p. Solski

Siostrzeniec jego, S z a m b e l a n, były właściciel Długolasów sprzedanych kolonizacji.
..... p. Sobiesław

Lekkomyślny wnuk Z i e m o w i t Z b ą s z y ń s k i, właściciel Bodzantowa, *secundo voto* Bodenhainu,
silnie obdłużonego i już zagrożonego przez Prusaków P. Kosiński

P a n T h i e d e, hakatysta P. Węgrzyn

A g e n t k o l o n i z a c j i p. Bończa

Scena przedstawia wspaniałe salony bakaratowe w Monte Carlo.

H r. N a p o l e o n
(lat 99, głos drżący)

Źle, serce, źle poczynasz sobie,
Ja prawdę ci powiedzieć mogę,
Bo jedną nogą stoję w grobie:
Na bardzo zgubną wszedłeś drogę.
Powiem ci, dziecko (znam dość życie,
Znają mnie tutaj wszystkie stoły!),
Kto tak jak ty gra, Ziemowicie,
Ten zawsze w końcu wyjdzie goły!

Z i e m o w i t
opryskliwie

Dobrze dziadkowi rady dawać,
Gdy zgarnął znów ze sześć tysięcy!
Spróbuj, dziad, z moim pechem stawiać!

H r. N a p o l e o n
z gniewem

Masz pecha, to nie stawiaj więcej!
Ja nie forsuję, czekam passy
I ciułam talar do talara!
Przysiągłem, że te Długolasy,
Gdzie dzisiaj Prusak się, psiawiara,
Panoszy, i to Bodzantowo,
Gdzie ojców twych próchnieją kości,
Odegram Polsce je na nowo,
Przywrócę przodków święte włości!
Co wnuk w zbrodnicznym strwonił szale,
Odegra dziadka drżące ramię:
Wydrze im kawał po kawale!
Potem – weź sługę swego, Panie...

po chwili, silnie wzruszony

Kiedy szlagiery, małe, duże,
G u s t u j ę mą sędziwą dłonią,
Wówczas łez pełne oczy mrużę,
Widzę, jak się t a m brzozy kłonią,
Jak słońca zachód t a m ozłaca
Świeżo zorane pola czarne,
I szepczę: „Boże, daj, by praca
Moja nie poszła dziś na marne!”

Z rosnącym wzruszeniem

A kiedy patrzą moje oczy,
Jak s z ó s t k ę z c z w ó r k ą zły los składa,
Wówczas się krwią me serce broczy,
Że kawał Polski znów przepada!

Płacze

.....

Że włosy świecę tu siwemi,
Warn to zawdzięczam, wam, wyrodni!
Lecz by ocalić choć piędź ziemi,
Zdolnym wszystkiego, nawet zbrodni!!

S z a m b e l a n

Excusez moi, że się ośmielę
Wywody przerwać stryjaskowi,
Lecz każdy gracz bezstronny powie,
Que c'était trop, że to za wiele!
Że pierwszą dobrej gry kondycją
Jest spokój: tutaj passę dają,
Moi je combine, czy mam bić ją,
Czy puścić, a tu krewni łają
Się, krzyczą, jakieś siwe włosy,
Brzozy, zagony, jakieś groby –
Je n'en peux plus! Jeszcze choroby
Tu się nabawię – et vous aussi.
Więc pytam stryja: w karty gramy
Czy też piszemy melodramy?

Słychać szemranie graczy, niezadowolonych, że im się przeszkadza: Mais qu'est ce donc! Aber was ist denn doch mit dem alten Trottel etc; etc.

G ł o s k r u p i e r a

Messieurs, faites vos jeux! Et vous, espèce de vieux bonhomme, circulez!

H r. N a p o l e o n

Każdy z starego drwi tu dziada,

Gracze szturchają, krupier beszta;
Mniejsza! Ambicja tam nie gada,
Gdy z i e m i zagrożona reszta!

S z a m b e l a n

Toujours cette ziemja!

Z i e m o w i t
przypada dziadkowi wzruszony do nóg

Twoje słowa
Ranią me serce jak żelazem!
Dziadziu mój, broń ty Bodzantowa!

H r. N a p o l e o n
Z dobrocią

Dobrze, przebaczę ci tym razem;
Zeń się z Helenką, weź jej wiano,
Zacznij grać z wolna i roztropnie:
Kto umie cofnąć w czas wygraną,
Ten zawsze w końcu celu dopnie.

Z nagłą furią, bijąc laską o ziemię

Nie pal się wciąż do własnych butów!!

z namaszczeniem

Z Bogiem graj w ustach, z sercem czystem!

S z a m b e l a n

Mais, mon oncle, dość już tych wyrzutów,
Laissez chacun, niech gra swój system.

H r. N a p o l e o n
do wnuka

Jeden ci też warunek kładę:
Będiesz grał przy mnie, pod mym okiem,
Bym mógł w potrzebie dać ci radę

I każdym twym kierować krokiem.
Co dzień wygraną twoją zgarnę,
W woreczek ten na piersiach włożę,
Nie dam, by poszła znów na marne:
Tak mi dopomóż, Panie Boże!

S z a m b e l a n

Ce vieux oszalał...

Z i e m o w i t
z rozdrażnieniem

Więc to znaczy,
Że mam się oddać w kuratele,
Że dziad mnie dzieckiem zrobić raczy,
Że już sam grać się nie ośmielę?
Więc tak już zostać mam wyklętym?
Własnego gustu, weny własnej,
Tego, co gracza prawem świętym,
Dziad mnie pozbawiasz?!

H r. N a p o l e o n
prosząc

Upór ciasny
Zgubi cię! Z i e m i ę miej na względzie.

Z i e m o w i t
gwałtownie

Jeszcze z rozumu nie obranym!
Z takich układów nic nie będzie,
Ja chcę być mojej karty panem!

H r. N a p o l e o n
z goryczą i smutkiem

P a n e m? Z n a s k a ż d y k a r t y s ł u g ą!
Ona władczyni, ona pani,
Ona kieruje złota strugą,
A myśmy wszyscy jej poddani;
W tym, dziecko, mądrość tkwi najwyższa,

By umieć s ł u c h a ć jej rozkazu,
A wówczas ze swojego spichrza
Da ci garść złota raz po raz.

S z a m b e l a n

Ma foi, lubię te gadania!
I na stryjaska przyjdzie kolej.

do siebie półgłosem

Nic nie pomogą mu kazania,
Gdy wpadnie w pecha, vieux ramolli.

Z i e m o w i t

Ja chcę grać sam, mieć swoją wolę;
Ja się nie zmienię w piernik stary,
Nie umiem pół dnia gnić przy stole,
By w końcu wygnieść trzy talary.

S z a m b e l a n

znudzony

Ah, mon Dieu, te rodzinne kwasy –
Gry przecież różne są systema:
Ten gra na passy, ten kontrpassy,
Ten woli atak, ten obronę,
Powodów tu do kłótni nie ma,
„Tout comprendre, c'est tout pardonner.”
Mój system jest...

H r. N a p o l e o n

do wnuka

Tylko tak dalej

Trwoń wszystko, nie miej nic na względzie!
Własne pieniądze bij wciąż, szalej,
A w Bodzantowie Prusak siędzie!
O, gniew nas boski ciężko mierzy
Tobą i podobnymi tobie:
Wy, fryce, dzióbki, wy! fuszerzy!!
Grzebiecie żywą Polskę w grobie!

Daje znak ręką i wynoszą go na krześle.

Z i e m o w i t

sam; biegnie za nim

Dziadku!... Nie słyszy... tylko echa
Tej sali słowa me oddźwiękły...
Zda się, jakby te mury jęły:
„O, biada temu, co ma pecha!”

Zegar wydzwania godzinę dwunastą. Światła elektryczne ściemniają się.

Strasznie tu... dziwnie... Z wichru szumem
Wielkie drzwi z trzaskiem się rozwarły...
Przebóg! Do sali wchodzi tłumem
Postacie rzeszy dawno zmarłej...
W złocistych pasach, karabelach,
Szyszakach, deliach purpurowych,
A każdy trzyma w swych piszczelach
Dwie talie kart – – zupełnie nowych...
O! przodków korowodzie święty!

.....
Obsiedli z wolna wszystkie stoły...
Tasują karty... Bank zaczęły –

patrzy przez chwilę z zapartym oddechem

A wnuk wasz patrzy na to – – goły!!
– – Poznaję ciebie, wojewodo,
I was poznaję, kasztelany:
Każdy z was swoją siwą brodą
Te same tu wycierał ściany...
Ilu was tylko było, ilu...
I ty, Bodzanto, ty, biskupie,
Nieraześ zjeżdżał tu w cywilu,
Nie rób min świętych, stary trupie!
Pamięta ciebie ten gmach stary
I twoje sławne, długie passy;
Za wywiezione stąd talary
Wszakżeś zakupił Długolasy!
W snach moich nieraz cię widziałem:
Ubrany w alby, komże, stuły,
Jak złoto zgarniasz pastorałem,
Jak je ładujesz do infuły!
Wejrz dziś na wnuka swego dołę,
Odwróć ode mnie rękę czarta,
W zaklętym niech nie błędzę kole,

Niech się odmieni wreszcie karta!

Przykłęka, biskup błogosławi go pastorałem, wskutek czego Ziemo w i t wybiega czym prędzej szukać pieniędzy. Tymczasem, Pan Thiede, zaniepokojony szalonym szczęściem, jakie stale towarzyszy sędziwemu Hrabiemu Napoleonowi, poczyną się obawiać, iż w ten sposób cała ziemia może powrócić w polskie ręce. Postanawia zatem imieniem komisji kolonizacyjnej wykupić całe Monte Carlo, aby się pozbyć starego, a równocześnie osiągnąć szlachtę polską w jej ostatniej ostoi.

P a n T h i e d e

Wchodzi

Verflucht, znów wygrał alter szlachcitz;
Odegrałby, wenn's weiter geht,
Ganzes Posnanckie – na, doch macht nichts;
Czas skończyć to, sonst wird's zu spät.
Also, ostatnie słowo: płacę
Hundert Millionen, letztes Wort.
Mein werden wszystkie te pałace,
Potem szlachcitzen za drzwi, fort!
Kann Dramen schreiben polska szelma,
Nicht grosser z tego będzie zysk!
Wy macie Ridla – my Wilhelma:

z bezprzykładną arogancją

Na – welcher hat ein lepszy pysk?!
Was hat erobert Friedrich Wielki,
Nie odda Niemiec ani cal –
A z wasze polnische jaselki
To ja sze bardzo grubo szmiał!

Wchodzi Agent kolonizacji.

T h i e d e

Nun, was ist's?

A g e n t

Heute, u rejenta

Akt podpisany.

T h i e d e

Endlich, gut!
Służba! Hinaus jetzt ta przekłeta
Polakenbande! (*do A g e n t a*) Sie, mein Hut!

*Kładzie na głowę kapelusz.
Wpada Z i e m o w i t z plikiem banknotów w ręce;*

Z i e m o w i t

Pieniądze zesłał szczęśliwy traf!
Wspieraj, biskupie! Jetzt frisch ans Werk!
Drżyj, Monte Carlo!

T h i e d e

zastępując mu drogę, z urąganiem

Wie? Panje Graf?
Nix Monte Carlo, hier ist K a r l s b e r g!

Na znak T h i e d e g o służba wyrzuca Z i e m o w i t a za drzwi – zasłona spada.

Pisane w r. 1906

Z tryumfalnych dni śp. „polskiego kabaretu”

Niedawne to czasy, kiedy podniosła idea „kabaretu polskiego” przeciągała w tryumfalnym pochodzie przez miasta, miasteczka, niemal przez ciche wioski. Nieliczne zamknięte wieczory krakowskiej „Jamy Michalikowej” stały się mimo woli początkowym ogniskiem istnej epidemii. Od „kabaretów” arystokratycznych w najwykwintniejszych salonach aż do „kabaretu artystycznego” w stowarzyszeniu robotniczym „Spójnia” w Podgórzu kabaretowało wszystko. Rozpleniły się po naszej ziemi, jak grzyby po deszczu, przeróżne, mniej lub więcej wesołe Jamy, Budy, Jaskinie, Ule, Pasieki, Obory etc. Niektóre z tych przybytków, rozrzuconych po rozmaitych naszych stolicach, miałem sposobność poznać. Muszę się pochwalić, że przyjmowano mnie wszędzie bardzo życzliwie i godnie, przy dźwiękach tuszów i „potrójnych kabaretowych”, z kwiatami i przemówieniami, w których nadawano mi godność niemal ojca ojczyzny, co (przyznaję się do tej słabości) sprawiało mi wielką przyjemność. Przez wdzięczność pilnie wchłaniałem w siebie to, co widziałem i słyszałem, i za powrotem do domu utrwaliałem na piśmie doznane wrażenia. Ponieważ z natury słabo jestem obdarzony pamięcią, nieraz w notatkach moich zdarzało mi się luki w rekonstrukcji tekstu wypełniać moim własnym, przy czym starałem się jednak o ściśle zachowanie charakteru utworów. Pozwolę sobie tutaj, w bardzo zwięzłych ramach, podzielić się mymi spostrzeżeniami. Jak wiadomo, głównym filarem takiego przybytku poświęconego chronicznej wesołości o stałej godzinie jest tzw. *conférencier* lub, jak chcą inni, *conferencieur*. Nazwa ta nie ma swego odpowiednika w języku polskim – chybaby ją zastąpić (bardzo niedoskonale) rodzimym słowem: pyskacz. Zadania *conférenciera* są bardzo wielostronne. Jemu przypada obowiązek oznajmiania w lekkich a dowcipnych słowach zjawiających się na estradzie wykonawców i utworów; przypominania co jakiś czas p.t. publiczności, że jest bydłem, zaledwie zasługującym na dopuszczenie do tego przybytku, którego misterium nie jest w stanie ogarnąć swoim tępym umysłem etc., etc. Zwykle *conférencier* pełni równocześnie obowiązki sekretarza instytucji. Tak np. znałem jedną z tych „wesołych jam”, w której młody i utalentowany poeta, a zarazem sprężysty administrator, ze znakomitą sprawnością łączył obie te funkcje. Skoro upewnił się, że stoliki stałych i wpływowych gości umieszczone są w dobrym miejscu, bez przeciągów, skoro roztelefonował do „wzmiankarzy” potężnych miejscowych „Kurierków”, że zatrzymano dla nich najlepsze miejsca i że czeka się z rozpoczęciem spektaklu na przybycie tych potentatów opinii, skoro rozdzielił parę energicznych napomnień służbie co do szybkiej i gorliwej usługi, wówczas przywdziewał symbol „bohemy”, aksamitną kurtkę, układał włosy w nieład, wsuwał przed lustrem ręce w kieszenie i pojawiał się na estradzie, otwierając widowisko w tych mniej więcej lub tym podobnych słowach:

Przyszliście tutaj po co? Czy wy wiecie?
Ha, nie, zaiste. A więc ja wam powiem:
Przyszliście po to, aby przy kotlecie
Urągać nam tu swym zwierzęcym zdrowiem,
Pełną kieszenią i wypchanym brzuchem,
Co łśni plugawo pod złotym łańcuchem.

Przyszliście do nas tutaj w odwiedziny,
Wy, którym betów waszych już za mało,
Tak jak się idzie do płatnej dziewczyny,
Co wam wydaje na łup swoje ciało

I zbliża do ust, niby winne grono,
Pierś, niegdyś świeżą, dziś, ach, tak zmęczoną...

Przyszliście, wiecznie niesyci burzuje,
Chłęptać wraz z piwem ciepłą krew artysty,
Rzygnąć w głąb serca, co cierpi i czuje,
Za grosz sprzedając wam swój miąższ soczysty
Marzeń swych tkanę targając na strzępy
Po to, ażeby śmiech wasz zbudzić tępy.

Witaj, motłochu! Siądźmy więc pospołu;
Niech ducha ziści się krwawa gehenna;
Lecz wiedz, że każdy okrucuch tego stołu
To jako perła przezczysta, bezcenna,
Którą my, w męki ofiarnej godzinie,
Wbrew słowom Pisma rzucamy przed świnię.

Trzeba przyznać, że wrażenie tej lub tym podobnej apostrofy bywało zwykle jak najlepsze. *Conférencier*, nagrodzony hucznym oklaskiem, rzuciwszy jeszcze raz okiem, czy obsługa „motłochu” idzie należytem tempem, opuszczał estradę, aby za chwilę na nią powrócić i zapowiedzieć pierwszy numer programu. Owym pierwszym numerem jest z zasady śpiewana inwokacja do wesołości i szału. Zarazem jednak logika wymaga, aby wszystkie „atrakcje” i clou pojawiały się dopiero w dalszej części spektaklu; pierwsze numery, rzucając na stracenie w napelniającą się stopniowo salę, powierza się zazwyczaj siłom początkującym i najsłabiej ukwalifikowanym. Dlatego też na początek pojawia się nieodmiennie młodzieniaszek o niepewnym spojrzeniu, wybladły z tremy, wybiera starannie miejsce w pobliżu budki suflera, w które wrasta nieruchomo, i drżącym a wątlym barytonowym głosikiem rozpoczyna swoją inwokację, w tym wypadku z tekstem oryginalnie napisanym pod ulubioną melodię *Ach, ta trojka...* Przez cały czas tej hulaszczkiej pieśni największą jego troskę stanowi kwestia, co począć z własnymi rękami, których ilość wydaje mu się w tej chwili stanowczo za obfita. Tekst pieśni może brzmieć mniej więcej tak:

Niech wesoło pieśń brzmi wkoło,
Niechaj dźwięczy śmiech i gwar,
Tyle życia, co użycia,
Niech rozkoszy kipi żar.

Niech rozgłośnie a radośnie
Smutki płoszy jurny żart,
Przy tym znaku stań, Polaku,
Dobry humor tynfa wart.

Niech się w pieśni ucieleśni
Namiętności wrząca chuć,
Dziewko hoża, wola Boża,
Więc tu do nas, do nas pódź.

Więc wesoło, rozchmurz czoło,
Ciesz się, ludu, śmiej i baw,

Upojenie, zapomnienie
Niesiem marnych ziemskich spraw.

Po tym numerze publiczność, mimo iż najzyczliwiej usposobiona przez energiczną wstępną apostrofę, zachowała grobowe milczenie. Parę zdawkowych oklasków – to i wszystko; szału i upojenia ani śladu. Żaloszny debiutant, złożony studencki ukłon, znikł za kulisami, natomiast w jego miejsce zjawia się *conférencier* z objawami widocznego zdenerwowania na twarzy i odzywa się grzmiącym głosem: „Widzę, że nasza skromna zabawa artystów nie przypadła jaśnie państwu do smaku! Komu się nie podoba, może się zabierać. Do tinglów! Do bajzli! Do zamtuzów! Tam wasze miejsce! Z Panem Bogiem!” Zawstydzeni słuchacze zwiesili z pokorą głowy; nikt nie ruszył się z miejsca prócz jakiegoś staruszka, który wysunął się po cichu. Tyran potoczył groźnym wzrokiem po sali i rzekł: „A teraz, dla kolegi Weselskiego jako wykonawcy, jak również dla autora piosenki «potrójny kabaretowy»”. Sala zagrzmiała „potrójnym kabaretowym”. *Conférencier* złagodził nieco surowe oblicze i rzekł udobruchany: „A teraz kolega Weselski odśpiewa wam jeszcze dwie piosenki: *Walc szału* i *Hulaj dusza*”. I tak się też stało.

Po numerze kolegi Weselskiego posypały się dalsze. Były tam i bajeczki, i „morały”, i żydowskie anegdoty, i nieodzowny „dziadek”, i kilka „jedynaczek” z obiecującymi pseudonimami, jak „milucha”, „przylipeczka”, i różne różności. Pod koniec pierwszej części programu pojawiły się i „gwiazdy”. Jedną z nich był liryczny tenor o miłym, dźwięcznym głosie, wymownej łysinie i dużej dozie sentymentu i smaku; był to ulubieniec publiczności. Tego wieczora, po raz setny od trzech miesięcy, zniewolony okrzykami i żądaniami publiczności, odśpiewał swoją najpopularniejszą piosenkę napisaną do znanej melodii Paul Delmeta *Petit chagrin* (str. 154). Piosenka miała tytuł *Biały kuperek*, a słowa tytułu powtarzały się po każdej stroficy utworu. Były tam dzieje jakiejś miłości studenckiej, dzieje, jak autor zapewniał, nigdy nie zapomniane, a streszczające się w ostatnich wierszach:

Choć odtąd więcej niżli sto
Przemknęło przez m a n s a r d ę mą
Hrabin i ścierek –
Cóż, gdy wśród tylu drogich głów
W pamięci mojej żyje ów
Biały kuperek...

Po „gwieździe” przyszło *clou*. Jak oznajmił *conférencier*: „Nasza znakomita koleżanka, Eleonora Duse polskiego kabaretu, wykona berżerety starofrancuskie w stylowym kostiumie”. Tekst tej berżerety, który przytaczam poniżej, widocznie napisany był pierwotnie do znanej melodii *Malgorzatko, kocham cię na rzadko*; jednakże utalentowany muzyk, pełniący funkcję akompaniatora w tym przybytku, zharmonizował akompaniament à la Weckerlin tak zręcznie, że istotnie niełatwo się było połapać. Dla zupełnego stylu doczepiła „Duse polskiego kabaretu” po każdej stroficy omdlewający refren „tandaradai”, zaczerpnięty bodaj czy nie z kolegi Waltera von der Vogelweide.

Oto tekst tej berżerety pt. *Wietrzyk*:

Nuta: *Margarete, Mädchen ohne gleichen*

Kasieńka gdy usnęła, przyszedł swawolny wietrzyk,
Z koszulką igrał jej ten psotnik śmiało zbyt:
Odsłonił ponad lewym udem figlarny pieprzyk:
Kasieńko, zbudź się, zbudź, bo potem będzie wstyd.

Oj, wietrzyku, mały ty psotniku,
Oj, hultaju, chciałbyś ty do raju,
Mam ja tam, ach, mam ja słodką rzecz,
Lecz nie dla ciebie chowam ją, więc idź, wietrzyku, precz;
tandaradai, tandaradai.

Przechodził Filon łąką, pasąc owieczki białe,
Wtem patrzy: oczom jego błysnął słodki cud;
Skrada się coraz bliżej, spojrzenia topiąc śmiałe,
Lecz, ach, koszulka broni wstępu wyżej ud.

Ach, wietrzyku, maty ty psotniku,
Ach, hultaju, prowadź mnie do raju,
Wiem ja tam, ach, wiem ja słodką rzecz,
Odsłoń drogę mi, wietrzyku, a potem idź już precz;
tandaradai, tandaradai.

Na tym stylowym *clou* zakończyła się część pierwsza programu. Oklaski, naddatki, „potrójne kabaretowe”, wreszcie półgodzinna pauza. Miło było rozejrzeć się po sali. Stoliki gęsto zajęte przez premierową elitę, piękne panie wygorsowane, wybrylantowane, z podnieceniem w oczach, wchłaniające z rozkoszą atmosferę tego przybytku, mającego w sobie coś z zakazanego owocu; panowie we frakach lub smokingach, wytworni, lecz z owym nieuchwytnym odcieniem poufalej nonszalancji, dostrojonej z najlepszym smakiem do ram wesołego lokalu¹³; flaszki szampańskiego wdzięcznie kąpiące w kubelkach swe ponętne kształty, słowem: żyć nie umierać! Naraz światła przygasły, w sali zapanowała niemal zupełna ciemność. Ze strony, w której znajdowała się scenka, rozległy się posępne dźwięki pogrzebowego dzwonu, do którego przyłączyła się niebawem przenikliwa sygnaturka za topielców. Wyznaję, że dreszcz mię przeszedł. „Teraz najciekawsze: część *macabre*”, wyjaśniła mnie uprzejmie sąsiadka. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, iż w każdym szanującym się „polskim kabarecie” musi znajdować się w programie pewna ilość numerów „odsłaniających rany społeczne”. Wreszcie dzwony ucichły, kurtyna rozsunała się wśród ciszy przepojonej elektrycznością oczekiwania i na scenie oświetlonej promykiem zimnego seledynowego światła ukazał się *conférencier*. Był poważny i skupiony; wytrzymawszy długą artystyczną pauzę tak przemówił:

Wy, śliczne panie, których pełne biusty
Lśnią od brylantów i drogich kamieni,
Których usteczka śmiech rozchyła pusty,
A oko blaskiem lubieżnym się mieni,
Czyli wy wiecie, że pod wami w dole
Są ludzkie troski, cierpienia i bole?

Wiecież wy o tym, że macie tam braci,
Którym głód skręca wychudłe jelita?
Co drżą od zimna, wprost nie mając – gaci?

Tu mówca zawiesił głos, pewny swego efektu. Jakoż w istocie lekki szmerek przebiegł po sali niby dreszcz po ciele. „To silne”, rzekła półgłosem moja sąsiadka. Poeta, mięcej modulując głos, ciągnął dalej:

¹³ Styl życia nocnego w Wiedniu.

Że siostra wasza, tak jak wy kobieta,
Aby wyżywić swoje drobne dziatki,
Parać się musi rzemiosłem – gamratki?!

Ten świat my chcemy wam przywieść na oczy,
Ten „padół płaczu”, jako wieszcz powiedział.
A jeśli łza wam z źrenic się potoczy,
Płynąc, jak rynną, w piersi krągłych przedział,
Niech nie wstrzymuje jej wasza powieka:
Ta łza wam godność nadaje człowieka!

Zagrzmiała burza oklasków, ale na krótko, bowiem *conférencier* huknął gromkim głosem: „Milczeć!” a równocześnie ozwał się znów dźwięk dzwonu pogrzebowego i sygnaturka za topielców. W końcu uciszyło się, kurtyna się rozsunęła i rozpoczął się pierwszy numer odsłaniający ranę społeczną. Było to jedno z licznych naśladownictw piosenki Schillera (Leona) *Wiatr za szybami śmieje się*. Tym razem śpiewała ją zgrzybiała babcia, która za młodu była kurtyzana, a obecnie, przesuważąc nieco zakres pracy w kierunku odpowiedniejszym swemu wiekowi, pełni obowiązki dozorczyń publicznych miejsc ustępowych. Pomysłowa reżyseria wyposażyła ten numer we wspaniałą oprawę. Skulona babcia siedziała w rogu sceny koło swego instytutu, opodal świeciła uliczna latarnia, z góry sypał gęstymi płatkami śnieg. Za kulisami świstał przeciągle wiatr, wybuchając po każdej zwrotce złowróżbnym refrenem. Śnieg prószył coraz gęściej, babcia śpiewała coraz ciszej, w końcu cisza grobu utuliła ją na wieki. Na scenie zjawił się fizyk miejski, który obojętnie skonstatował zgon, a za nim dwóch grabarzy wyniosło martwe zwłoki.

Oto urywek tekstu:

Tak jak mnie dzisiaj tu widzicie,
Babunią starą i zgrzybiałą,
I we mnie kiedyś drgało życie,
I świat ubóstwiał moje ciało.

Tłumnie klęczeli u mych stóp
Hrabiowie, księża i bankierzy,
Czy który, patrząc na mój grób,
Pozna, co tam pod spodem leży?

Wiatr za szybami śmieje się:
Psiakrew, to życie takie złe!
Stanie się, co się musi stać,
Ot, lepiej, ludzie, idźcie – spać.

Bywało nieraz, przy niedzieli,
Przychodził do mnie chłopiec zwawy,
Najpierw użyliśmy kąpieli,
A potem innej znów zabawy;

Ach, jak on brał w ramiona mnie –
Dziś już tak kochać nie umięją! –

Na to wspomnienie jeszcze drzę,
Jeszcze się stare oczy śmieją!

Wiatr za szybami etc.

Pamiętam, jak go potem brali –
Biedactwo, skradł zegarek złoty –
Jak mi nieludzko go szarpali
Wydarłszy z objęć mej pieśczozy;

Pod topór oddał głowę swą,
Ach, ludzie, ludzie czy szakale!
Czyż wiecznie będzie w świecie zło – ?
Nie widzę polepszenia wcale!

Wiatr za szybami etc.

Spojrzałem po sali: wiele osób płakało.

Następną raną społeczną był nieodzowny „apasz”. W kaszkiecie nasuniętym na oczy, w kurtce zapiętej pod szyję, z długim kuchennym nożem w ręce, wił się po scenie, czaił, przysiadł, opowiadając na nutę udratyzowanego gassenhauera (Tralala) dzieje swojej pierwszej zbrodni:

Mignął mi burżuja tłusty kark zza węgła,
Ma dłoń go sięgia:
Runął jak gład.
Próżno trwożnym głosem o ratunek żebrze,
Ja, drząc jak w febrze,
Zadaję raz,
Absyntu szklanka,
Śmierć, ma kochanka,
etc., etc.

W ogóle konsumpcja absyntu przez polską muzykę kabaretową była znaczna.

Na usilne żądanie publiczności tenże sam apasz odśpiewał ulubioną piosenkę Henryka Zbierzchowskiego pt. *Walc nocy*, dziś już spopularyzowaną po całej kuli ziemskiej pod nazwą *Valse brune*:

Gdy noc zapada,
Nim światła latarń pogasną,
Wieszcz po melodię się skrada,
By wydrukować jak własną.
Oto już siódme wydanie,
Zanim się zbrodnia odkryje,
Kupujcież, kupujcież, dranie,
Raz tylko jeden się żyje!...

Dalszy ciąg notatek niestety zaginął.

Pisane w r. 1912

Uzupełnienia

[Z „IGRASZEK KABARETOWYCH”]
PRZEDMOWA

Poleca się Szanownej Publiczności przeczytanie tegoż Boya *Piosenek i fraszek „Zielonego Balonika”*, przy czym czytelnik zyskuje głębsze wniknięcie w INDYWIDUALNOŚĆ autora, zaś autor zyskuje KORON TRZY. Co obu stronom może wyjść tylko na korzyść.

Boy

DWA KOTKI

(z Jachowicza)

Były dwa kotki:

Jeden ładny, lecz z szafy wyjadał łakotki,

Drugi brzydki, bury,

Ale łowił szczury.

Którego wolicie, powiedzcież mi, dzieci?

„Burego, burego!”

„Ładnego, ładnego!”

Nie mogły zgodzić się dzieci.

No, a ty, Celinko?

Rozsądna Cesia z poważną minką

Tak rzecze, pomyślawszy przez chwilę maleńką:

„Oba są potrzebne, nieprawdaż, mateńko?”

Tak odpowie Cesia mała,

A mama ją uściskała

Mówiąc: „Spokojnam, Cesi, o twoje zameście,

Sama będziesz szczęśliwa i drugim dasz szczęście”.

DESZCZYK

(z Jachowicza)

„Mamo, rzekł Jaś, deszczyk rosi,
Popłami kapelusz Zosi,
Jakże niepotrzebnie pada!”
Tu matka dziecku wyklada:
„Za to po deszczu, me dziecię,
Drzewko bujniej puszcza kwiecie,
Co gdy przyjdzie czas jesieni,
W soczysty owoc się zmieni.
Owoc zaś, kiedy dojrzeje,
Mama arazkiem zaleje,
Doda cytrynki i wina,
Parę kropel maraskina,
Troszkę wody (nie za wiele) –
I sprawi dzieciom wesele.
Każde ze słomką zasiędzie,
Dopieroż to radość będzie!
Tak to deszczyk wszystko krzepi:
Kwiatek, drzewko rośnie lepiej,
Bo Bóg wszystkim mądrze włada”.
„O, kiedy tak, to niech pada!”

DOLEK

Pytała Femcia Dolka, na co rozum zda się,
Dolek milczał; gdy coraz bardziej naprzykrza się,
Tak powie: „Na to chyba tylko, moje dziecko,
Aby nie być zmuszonym szukać go w kobiecie”.

ODSIECZ WIEDNIA

CZYLI

TOALETKA KRÓLOWEJ MARYSIEŃKI

(scenariusz popularnej sztuki z historii Polski w jednym akcie)

Henrykowi Sienkiewiczowi

Scena przedstawia jedną z komnat królowej Marii Kazimiery. Jest to duża sala, cała zavalona tureckimi makatami, złotogłowiami, kindzałami, buńczukami etc., których król Jan cale fury znosi do domu z każdej wyprawy w przekonaniu, iż uszczęśliwia tym swoją najukochańszą Marysienkę. W rezultacie pokój wygląda trochę na namiot wielkiego wezyra, trochę na wystawę sklepu Ignacego Rajala; w niczym zaś nie przypomina buduaru ładnej kobiety. Jest duszny, ciemny i ponury. Królowa Marysienka cierpi nad tym, ale Jaś robi to z tak poczciwego serca, taki jest dumny i kontent z siebie po każdym świeżym transporcie, że byłoby okrucieństwem rozwiewać jego iluzje. Dziś pokój ten jest jeszcze mniej wesoły niż kiedykolwiek. Przez okna na wpół przysłonięte ciężkimi oponami widać kawałek nieba szary i smutny; po szybach bębni monotonnie deszcz jesienny. I królowa Marysienka jest dziś smutna – smutna, znudzona i coś jeszcze. Jest to ten stan duszy, który dzisiejsza subtelna psychologia określa nazwą z d e n e r w o w a n i a. Co rok, kiedy nadchodzą te szare dni jesiennej słoty, ogarnia Marysienkę ciężkie zniechęcenie na myśl, że całe jej życie ma upłynąć w tym strasznym kraju, tak obcym i dzikim. Jakkolwiek jej mała główka nie jest wolna od ambicji, to jednak chwilami królowa ma uczucie, że lepiej byłoby jej żyć w ukochanym Paryżu, choćby jako najbiedniejszej dziewczynie, zmuszonej własnymi dziesięcioma palcami – jeżeli się można tak wyrazić – zarabiać na chleb dla siebie i swego kochanka, niż tutaj być królową Polski, żoną bohatera, i mieć szansę przejścia do historii ludów słowiańskich. W dodatku zdarzyło się królowej Marysienke wczoraj fatalne nieszczęście. Pewien sprzęt toaletowy, drogi sercu każdej prawdziwej kobiety (choćby nawet kobieta zasiadała na starożytnym tronie królowej Rzepichy), sprzęt ten uległ przez nieostrożność pokojówki stłuczeniu. O tym, żeby podobnie egzotyczny mebel można było w końcu siedemnastego stulecia nabyć w granicach Rzeczypospolitej – ani mowy. Trzeba będzie sprowadzać go przez poselstwo francuskie, co przy tych jesiennych roztopach potrwa Bóg wie jak długo. Gdybyż to było we Francji! W jednej chwili znalazłoby się dziesięciu kawalerów-rycerzy, którzy nie zsiadając z konia, dzień i noc by pędzili na wyścigi, aby usłużyć swojej królowej! Ale tu! w tym dzikim kraju! Jak tu nawet wspomnieć o podobnej „materii” tym podgolonym wąsaczom? Zaraz by się to zaczęło puszyć i parskać na sejmach o zniewagę klejnotu szlacheckiego! To drobne na pozór zdarzenie przepełniło miarę goryczy w sercu królowej Marysienki. Nigdy nie poczuła się w Polsce tak obcą, tak osamotnioną jak dzisiaj. W tym niepozornym meblu toaletowym – który, jak mówi poeta, ile trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto go stracił – w tym mebelku zogniskowała się w tej chwili i usymbolizowała (mówiąc znowu stylem znacznie późniejszym) cała tęsknota za słoneczną Francją, za jej dworem świetnym i wykwintnym, za rycerstwem tak pełnym męskości, a przy tym tak rozumiejącym i odczuwającym kobietę aż do najbardziej codziennych i na pozór pospolitych drobiazgów.

Pozostała jeszcze jedna słaba nadzieja. Sprawczyni tego nieszczęścia, pokojówka królowej, Anusia, ładna i niegłupia dziewczyna, z własnego pomysłu postanowiła oblecieć co najznakomitsze panie krakowskie i próbować, czy nie udałoby się gdzie pożyczyć owego skromnego sprzętu, który obecnie zajmuje wszystkie myśli królowej Polski. Marysienka oczekuje z niecierpliwością jej powrotu, aby zaś skrócić włokące się godziny, dzwoni i wzywa swej lektorki.

Biblioteka królowej Marysienki nie jest zbyt bogatą ani zbyt urozmaiconą. Królowa nie jest modernistką; przeciwnie, ma wielką nieufność do współczesnej literatury. Za nic w świecie nie wzięłaby

do rąk chorobliwych elukubracji takiego Corneille'a, a nie mówiąc już o rozczochranej poezji modnego Racine'a. Całą lekturę królowej stanowi kilkanaście tomów starej galanterii francuskiej, przede wszystkim zaś ukochany Brantôme, którego *Vie des dames galantes* jest dla Marysieńki ewangelią wszelkiej ludzkiej mądrości.

Królowa Marysieńka, leniwa jak kotka, nie czytuje zwykle sama, ale każe głośno czytać swoim dworcom, z których jedna właśnie z pełnym czci ukłonem wchodzi do pokoju. Jest to najmłodsza córka słynnego zbarańczyka, panna Jadwiga Skrzetuska, śliczna na polski sposób dziewczyna o niewinnym i niezbyt rozbudzonym wyrazie niebieskich oczu i pysznych blond włosach, spadających ciężkim warkoczem na krzyże. Ma niezwykle piękny, słodki dźwięk głosu i jest ulubioną lektorką królowej.

Te godziny czytania stanowią ciężką troskę i niepokój miniaturowej duszyczki panny Jadwigi Skrzetuskiej. Przychodzi czytać jej rzeczy, od których, choć je tylko na pół rozumie, włosy powstają jej na głowie; w tych zaś, których nie rozumie zupełnie, dusza jej i ciało przeczują jeszcze bardziej niepokojące tajemnice. Chwilami nie może doczytać zdania, bo głos załamuje się jej nagle ze wstydu czy wzruszenia: czasem – mówiąc po Sienkiewiczowsku – krew napływa dziewczynie do twarzy tak prędką falą, iż czuje w skroniach uderzenia własnego pulsu. Pomimo to za nic nie odważyłaby się prosić królowej o zwolnienie od czytania; zbyt kocha ją i uwielbia, aby miała jej zrobić taką przykrość. Przy tym – rzecz trudna do wytłumaczenia i która chyba tylko interwencją złego ducha dałaby się objaśnić – ilekroć upłyną dwa lub trzy dni, a królowa nie wezwie swojej Jagusi do czytania, pannie Skrzetuskiej godziny wydają się dziwnie długie i doznaje uczucia jakby jakiejś nieokreślonej tęsknoty i żalu. Aby uspokoić swoje strapione sumienie, obmyśliła sobie panna Jadwiga taki sposób: oto stara się czytać samym tylko głosem, zaś w myśli nieustannie odmawia w kółko *Zdrowaś Maria, Dziesięcioro przykazań i Wierzę*. Niekiedy – nie zawsze niestety – dzięki temu sposobowi udaje się jej zupełnie nie rozumieć i prawie nie słyszeć słów czytanych. Za to wieczorem, kiedy już odmówi pacierz i spocznie pierwszym półsnem zmorzona, wówczas biedna panna Jagusia w swoim panińskim łóżeczku zupełnie jest bezbronna wobec oblegających ją dziwnych rozmarzeń, nie wiadomo skąd spływających drobniotkach, a delikatnych pieszczot, słodkich i drażniących szeptów, brzmiających jej bezustannie w uszach, a będących echem czytanych mechanicznie ustami wyrazów.

Królowa Marysieńka zbyt jest sprytną i wrażliwą, aby miała nie widzieć tych opresji biednej Mademoiselle Jagusi – lecz, rzecz dziwna, to właśnie sprawia jej jakąś oryginalną, a bardzo mocną przyjemność. Dzięki pośrednictwu panny Jadwigi odnajduje Marysieńka w swoim ukochanym, lecz nazbyt już często odczytywanym Brantôme źródło nie znanych przedtem wzruszeń. Zdaje się, że te grube i dosadne słowa starego pisarza, którymi jednak naiwna zmysłowość umie się wypowiedzieć aż do najsubtelniejszych jej odcieni, nabierają jakiegoś nowego i szczególnego wdzięku, kiedy przechodzą przez niewinne usta tej polskiej dziewczyny; te opowiadania rubaszne a wytworne, cyniczne a tkliwe, odsłaniają królowej Marysieńce jakieś nowe i drażniące uroki, kiedy ich słucha recytowanych miarowym głosikiem i bardzo niedoskonałym akcentem francuskim panny Jagusi. Królowa lubi śledzić ten rumieniec, wykwitający raz po raz na licach panienki (w twoje ręce, Henryczku!), lubi przyglądać się spod zmrużonych powiek, jak tak zwana pierś dziewicza faluje przyspieszonym od tłumionej emocji oddechem. Zresztą, królowa Marysieńka nie analizuje głębiej swoich uczuć; gdyby była bardziej literacko wykształconą, wiedziałaby, że to, czego w tej chwili doznaje, jest znaną perwersją, właściwą zboczeniu umysłowemu zwanemu dekadentyzmem lub schyłkowością. Ze względu na zbliżający się koniec wieku siedemnastego dałby się może ten objaw podciągnąć także pod kategorię *fin-de-siècle*'izmu.

Dzisiaj królowa Marysieńka rozpoczyna lekturę z podwójnym zainteresowaniem. Marzeniem jej jest od dawna, aby za jej panowania nieśmiertelna książka Brantôme przetłumaczoną została na język polski; pragnęłaby zostawić tę pamiątkę po sobie temu, bądź co bądź, oryginalnemu narodowi, z którego dziejami przypadek, ucieleśniony w okazałe kształty Jasia, połączył jej losy. Zdaje się królowej Marysieńce, że łatwiej będzie słabej kobiecie rządzić tym dzikim krajem, jeżeli choć cząstka galijskiej kultury erotycznej przeniknie do wnętrza twardych i okrągłych sarmackich czerepów. Królowa wyrażała

niejednokrotnie głośno to życzenie i oto dziś właśnie imć pan Górka, dworzanin jej królewskiej mości, jak fama głosi, ojczytą mową tak wiążaną, jak i nie wiążaną z niepospolitym kunsztem władający, złożył w dani u jej stóp królewskich rękopis, zawierający tłumaczenie kilku rozdziałów ulubionej książki.

– Na czym stanęłyśmy ostatnim razem, *ma petite Żagussia*?

Panna Skrzetuska zarumieniła się jak wiśnia i odparła drobnym, niewinnym głosikiem:

– Najjaśniejsza pani, zaczęłyśmy czytać dyskurs piąty, zaintytulowany: *Sur aucunes dames vieilles, qui aiment autant à faire l'amour que les jeunes*.

Królowa zamyśliła się chwilę, wsłuchana w melodię tych naiwnych wyrazów, brzmiącą jakby odcieniem delikatnej melancholii, westchnęła cichutko i rzekła:

– Dobrze. Przeczytaj mi teraz, Jagusiu, jak ten rozdział przetłumaczył na wasz język imć pan Górka.

Panna Skrzetuska wzięła do rąk rękopis, z paşowej zrobiła się karmazynowa, ale mężnie zaczęła czytać: *Rozmyślanie piąte: O poniektórych matroniech obstarnich, które porubstwem plugawią się rade po równi z młódkami*.

Marysieńka z krzykiem przyłożyła rączki do uszu:

– Dosyć, przez miłość Boga! *Quelle horreur! Quelle langue exécration! Mais c'est une brute que ce Gorka! Assez! Żagussia*, dosyć.

Królowa rzuciła się, zniechęcona, na turecką sofę. Czuła, że w tej chwili coś się w niej przełamuje. Prysło ostatnie złudzenie, aby kiedyś mogła zżyć się i zbliżyć z tym dzikim plemieniem, którego rządy Opatrzność złożyła w jej ręce. Na zawsze miała pozostać dla tych ludzi obca i niezrozumiana, tak jak oni dla niej również obcy i nienawistni. Korona wydała jej się dziwnie ciężką!... Było jednak widocznie przeznaczone, aby nieszczęsna pani tego dnia wypła do dna swój kielich goryczy, gdyż w tejże chwili wbiegła do pokoju zdyszana Anusia i paplać niemiłosiernie poczęła opowiadać swoje peregrynacje:

– Najjaśniejsza pani, ledwo tchu złapać mogę, obleciałam pół Krakowa i wszystko na próżno. Najpierw pobiegłam do jaśnie oświeconej księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej, matki nieboszczyka króla. Ale się też wybrała! Wyłożyłam jej, o co chodzi, a ta jak nie wypadnie na mnie z pyskiem, to niczym ksiądz Skarga. „Wszystko Bóg odjął temu nieszczęsnemu narodowi (powiada), wszystkimi klęskami go doświadczył (powiada), ale (powiada) jedno mu jeszcze zostawił, to jest wstyd (powiada) i obyczajność. Póki te żywią (powiada), jest jeszcze nadzieja lepszej przyszłości. Dopiero kiedy z cudzoziemskich krajów (prawi) pod pozorem ochędóstwa wkradną się do Polski te wszeteczne i bezbożne praktyki, to będzie znakiem, iż Pan w swoim gniewie postanowił zgubić do szczeru ten obłąkany naród. Nie wierzę (powiada), iżby tak zbezczeszczone wnętrzości niewieście mogły urodzić dobrego Polaka, prawego syna ojczyzny.” W końcu kazała oznajmić najjaśniejszej pani, iż przez cześć dla majestatu będzie się starała puścić w niepamięć tę niebaczną prośbę, ale błaga ją na wszystko, aby się opatrzyła i nie zapomniała, co jest winna sobie i swojemu narodowi. Księżna się popłakała, tak ją ruszyła własna elokwencja, a ja pobiegłam do jaśnie wielmożnej hetmanowej polnej, Barbary Wołodyjowskiej, mieszkającej tuż wpodle. Luba kobiecinka, choć do rany przyłożyć. Niebożatko nie mogło ani w ząb wyrozumieć, o co chodzi; jako żywo o czymś podobnym jeszcze nie słyszało. Dopieroż to zaczęło oczka szeroko otwierać, a rączkami plaskać, a wstydać się, a chichotać, a zasłaniać, a wypytywać. Trzy razy musiałam jej powtarzać, za czym uwierzyła. Nie byłaby mnie i do godziny wypuściła, ale szczęściem nadszedł pan hetman polny, tedy poskoczyła ku niemu i poczęła swojemu Michałkowi o onych zamorskich cudach opowiadać. Potem byłam jeszcze u kilku innych pań, ale już nie wdawałam się w długie dyskursy, tylko dla pośpiechu kazałam oznajmiać, że jej wysokość królowa polska i wielka księżna litewska prosi o pożyczanie tego interesu, co pani wie, bo nasz się potłukł, to mnie za niespełna rozumu poczytali i pod kurek chcieli prowadzić, a potem...

Królowa przerwała, zniecierpliwiona tą paplaniną:

– A u pani kanclerzyny Ketlingowej byłaś? Przecież to pierwsza elegantka w stolicy?

– Byłam, i owszem, i po długich certacjach mi wyznała, że w sekrecie przed swym spowiednikiem używa srebrnej salaterki i radzi jej królewskiej mości zrobić to samo.

W tej chwili, kiedy Anusia kończyła swoje opowiadanie, a królowa, bliska omdlenia, po raz wtóry osunęła się na sofę, weszło do pokoju dwóch hajduków, niosąc starannie opakowany i ciężki widocznie przedmiot, a za nimi rękodajny królowej, który oznajmił: „Od jego świątobliwości nuncjusza papieskiego”. Królowa, zdziwiona niepomiernie, albowiem o przybyciu nuncjusza do Krakowa nic jeszcze na dworze nie było wiadomo, poskoczyła żywo i nie bacząc na majestat, własnymi poświęcanymi rękami poczęła otwierać paczkę. Któż opisze zdumienie królowej na widok, jaki jej oczom się przedstawił. Był to ni mniej, ni więcej, tylko ten właśnie mebelek, który od dwóch dni stanowił przedmiot wszystkich jej pragnień i marzeń. Ba, i jaki jeszcze do tego? Był to ciężki, masywny sprzęt, cały wykuty w srebro, o szerokim brzegu pokrytym wokół rzeźbą roboty tak przedziwnej, iż wyszła chyba spod ręki samego przesławnego Benwenuta. Było tam po jednej stronie wyobrażone narodzenie z piany morskiej bogini pogańskiej zwanej Afrodytą, po drugiej zaś wywczasu starożytniej pani Ledy z ptakiem łabędzim, obie zaś sceny tak misternie były przedstawione, iż Marysieńka swych dostojnych oczu oderwać nie mogła, bo jak żyje, czegoś tak pięknego widzieć nie raczyła. Wewnętrzna powierzchnia naczyń cała była wyłaczana, zaś na samym dnie, znowuż w srebrze wykute, błyszczały białe lilie Burbonów. Ten widok dopełnił miary wzruszeń dnia dzisiejszego. Łzy puściły się z oczu nieszczęśliwej królowej. „O moja Francjo! – wołała, na przemian śmiejąc się i płacząc (zupełnie jak w powieściach). – O moja ojczyzno ukochana, czyż nigdy cię nie zobaczę, czyż nigdy nie wrócą szczęśliwe dni mojego dzieciństwa?”

Spląciwszy tymi słowami dług podnioślejszym uczuciom, królowa oddała się cała pospolitej ciekawości. „Skąd ten dar wspaniały, a tak w porę, jakby za pomocą czarów przybywający? Któż jest ów śmiertelnik – pytała z patosem właściwym monarchom – który ośmiela się w swą dozągoną dłużniczkę przemieniać królowę Polski?”

Rzecz wyjaśniła się częściowo przy pomocy Anusi. Mocno zmieszana dziewczyna wyznała, że kiedy wracała do domu, natknęła się na jakiegoś pana pięknie i bogato przybranego, który na próżno usiłował porozumieć się w mieście za pomocą francuskiego szwargotu. Dopomogła mu w tym kłopotcie, on zaś zaprosił ją do swej gospody, aby tam jej swoją wdzięczność wyrazić.

Dowiedziawszy się, iż jest w służbie u jej rólewskiej wysokości, począł ją wypytywać bardzo szczegółowo a zręcznie o różne sprawy dotyczące królowej, tak iż ani się spostrzegła, kiedy o wszystkich tego dnia przygodach i o kłopotcie jej królewskiej mości wygadała. Ten pan (bardzo grzeczny i ludzki) śmiał się do rozpuku i wydawał się bardzo kontent, i nikt inny, tylko on musiał to śliczne cacko przysłać...

– Dobrze, moje dziecko, ale tu oznajmiali przecież, że to od jego świątobliwości nuncjusza papieskiego. Czy nie powiadał ci ów pan, kim jest, może jaki dworzanin jego świątobliwości?

– I owszem, pytałam go się, z kim miałam przyjemność, ale tylko śmiał się, poklepał mnie po plecach i powiedział, że każdy, jak umie, na życie pracuje i że żadna praca nie hańbi...

Tak skończyła się relacja Anusi. Na szczęście królowa była zbyt zaabsorbowana, aby mogła zwrócić uwagę na pewne, może nie dość jasne szczegóły tego opowiadania.

Ów tajemniczy nieznajomy, z którym Anusia miała przyjemność i który tak dziwnym przypadkiem wszedł w posiadanie sekretu korony polskiej, był to nie kto inny, jak sama jego świątobliwość nuncjusz papieski we własnej osobie. Jakoż w godzinę później, wezwany przez umyślnego na szczególną audiencję przed oblicze królowej, która pała chęcią wyjaśnienia tego niezwykłego zdarzenia, zjawia się na pokojach jej królewskiej mości.

Nuncjusz nosi nazwisko duca de Perier-Jouet z przydomkiem Brut i należy poniekąd do królewskiego domu Francji, będąc jednym z licznych naturalnych wnuków Henryka IV. Książę przechodził w życiu banalnie interesujące koleje powieściowego bohatera. Przeznaczony przez Mazarina do stanu duchownego i prawie przemocą na księdza wyświęcony, uciekł za granicę, bawił przez jakiś czas w Anglii, gdzie od szeregu lat naturalizowała się starsza hugonocka linia książąt Perier-Jouet, przybrawszy przydomek Extra-Dry, następnie tułał się po dworach zagranicznych, zarabiając na swoją garderobę

wtajemniczaniem niemieckich księżniczek we francuskie kunszta miłosne. Powróciwszy do Francji, wdał się zbyt gorliwie w intrygi dworskie, wskutek czego popadł szybko w ponowną niełaszkę i przeszedł do służby papieskiej, przyjęty tam z otwartymi rękami. Obecnie wysłany został do Polski ze specjalną misją. Chodzi o to, aby jako Francuz, człowiek wielkiego rodu, zręczny i światowy, zyskał wpływ na Marię Kazimię, która nie cieszy się u papieża opinią zbyt mocnej głowy, i w ten sposób przeciwważył zabiegi dworu wersalskiego w kwestii polityki austriacko-tureckiej Jana III, a właściwie wszechwładnej Marysieńki. Zrozumiała jest zatem rzeczą, jak skwapliwie jego świątobliwość pochwyliła dziś sposobność oddania królowej tak ważnej przysługi i uzyskania na początek jej względów. Prześliczny mebelek, za cenę którego jego świątobliwość już w godzinę po przybyciu do Krakowa zdołała uzyskać szczególną i pod tak pomyślnymi auspicjami zapowiadającą się audiencję, ma również swoją historię. Jest to dar, który babka księcia, panna de Barsac czy też de Haut-Sauternes, otrzymała od swego królewskiego kochanka przez wdzięczność, iż nie zważając na swój stan paniński, obdarzyła go dorodnym synem. Sprzęt ten towarzyszy wszędzie jego świątobliwości jako droga pamiątka rodzinna; a zresztą któż zdoła przewidzieć, co i kiedy w podróży przydać się może?

Duc de Perier-Jouet, który wchodzi w tej chwili do komnaty, liczy około czterdziestu dobrze zużytkowanych wiosen. Jest co się nazywa pięknym i świetnym mężczyzną; zwłaszcza w półcieniu, jaki tu panuje, a który przysłania jego cokolwiek zmęczoną cerę, przedstawia się doskonale. Ma coś niemile chłodnego w oczach, potrafi jednak być w potrzebie pierwszorzędny *charmeurem*. Jest ubrany po świecku, całkiem czarno i bardzo wykwintnie. Książę orientuje się w ludziach i sytuacjach szybko i bystro, jednak bez żadnego zamięłowania do dociekań psychologicznych i wyłącznie pod kątem widzenia własnych interesów, wskutek czego sąd jego świątobliwości wypada zwykle dość brutalnie. I tutaj po kilku minutach rozmowy, nie dając się osłepić temu subtelnemu wdziękowi, którym owiana jest postać królowej Marysieńki, sklasyfikował ją na swój użytek jako gąskę zmanierowaną i mocno tracącą prowincją.

Tym bardziej rozwija jego świątobliwość swój aparat koncertowych środków wytrawnego zdobywcy kobiet. Przychodzi mu to tym łatwiej, iż ma za sprzymierzeńców całą tęsknotę królowej za krajem, jej radość, iż słyszy dźwięk mowy rodzinnej, przede wszystkim zaś urok swojego pochodzenia. Autentyczna krew Burbonów, płynąca w żyłach księcia, wywiera nieodparte i fascynujące działanie na panią Janową Sobieską z domu d'Arquien. Pod chłodnym i spokojnym spojrzeniem tego królewskiego bastarda słynna w Polsce z arogancji Marysieńka czuje się dziwnie malutką i nieśmiałą, a jej własny majestat wydaje się jej czymś bardzo operetkowym. Myśl, że kilka kropel tej krwi szlacheckiej mogłoby się w jakikolwiek sposób dostać do jej organizmu, przejmuje królową emocją tak silną, iż mimo woli poczyna drzeć po cichutku na całym ciele. Wzruszenie to ogarnia ją z taką gwałtownością, że gdyby jego świątobliwość okazała w tej chwili mniej uszanowania, a więcej przedsiębiorczości, Marysieńka, zazwyczaj tak ostrożna, byłaby gotowa poddać się choćby natychmiast tej operacji, chociaż Jaś w każdej chwili może wejść do pokoju. Jeszcze nie zdążyła sobie królowa uświadomić uczuć, jakie ją poruszają, a już mała jej główka instynktownie pracuje nad stworzeniem dogodniejszej i bardziej zgodnej z jej stanowiskiem sposobności.

Nie jest to rzeczą łatwą, gdyż król Jan, poza tym tak dobroduszny i pełen ufności, na jednym punkcie jest nieubłagany. Ma on paniczny strach przed zetknięciem się Marysieńki z czymkolwiek, co przypomina jej umiłowaną Francję. Instynktem zakochanego odczuwa grożące mu z tej strony ciągle i jedynie prawdziwe niebezpieczeństwo; myśl, że Marysieńka mogłaby go kiedyś porzucić, aby wrócić do ojczyzny, jest prawdziwą zmorą tego nigdy nie nasyconego kochanka swojej żony. Zresztą, poczciwy pogromca Turków nazbyt dobrze pamięta, ile w swym namiocie obozowym przecierpiał przez te chwile, w których ta obawa na długie miesiące stawała się rzeczywistością.

Królowa zna doskonale tę *idée fixe* swojego męża i wie, że widywanie nuncjusza poza najoficjalniejszymi stosunkami będzie wprost niemożliwością. Jako jedyny sposób poczyna niewyraźnie majaczyć w jej główce: „Wyprawić Jasia w podróż”. Ale gdzie? W tej chwili książę, jakby odgadując

myśli królowej, począł mówić jak o rzeczy najnaturalniejszej, że zapewne król wybierze się w tym czasie do Wiednia; że zapowiada się tam właśnie wielki zjazd monarchów celem obrony chrześcijaństwa, że jest to idealna sposobność do zaopatrzenia się we wszelakie biżuterie, gdyż wielki wazyr prowadzi ze sobą 300 żon pokrytych od stóp do głów drogimi kamieniami. Nuncjusz wspomniał mimochodem, że w razie pomyślnego wyniku całej akcji wyniesienie Polski do godności cesarstwa byłoby dla ojca świętego drobnostką, że on sam najchętniej pojechałby do Wiednia, ale sprawy kościelne zatrzymują go na dłuższy czas w Krakowie itd.

Królowa słuchała księcia bijąc się z myślami. Słowa nuncjusza – szczególnie te, które nie wypowiedziane ustami czytała w jego oczach – otwierały przed nią niespodziane a czarowne horyzonty. Z drugiej strony, nakłanianie króla do wyprawy wiedeńskiej byłoby zdradą całej dotychczasowej polityki Marysieńki, której najwyższą nagrodą miało być w jej marzeniach otworzenie niemiłosiernie dotąd przed nią zamkniętych salonów wersalskich. Królowa zamyśliła się głęboko.

Zresztą jego świątobliwość nie kładł bynajmniej na punkt ten nacisku, przeciwnie, robił wrażenie człowieka, który, daleki w tej chwili od wszelkich politycznych kombinacji, oddaje się urokowi sam na sam z piękną kobietą. Rozmowa stawała się coraz bardziej poufną, coraz mniej głośnie, aż wreszcie – Marysieńce serce na chwilę prawie ustało bić z dumy i wzruszenia – wnuk wielkiego Henryka znalazł się u jej kształtnych wprawdzie, lecz nie wyposażonych zbyt świetną genealogią kolan.

W tej chwili otworzyły się z trzaskiem drzwi i okazała postać obrońcy chrześcijaństwa ukazała się na progu. Na widok nieznanego mężczyzny we francuskim ubraniu u kolan królowej Jan III osłupiał. Pełna i krwista twarz jego poczerwieniała jeszcze bardziej, oddech stał się szybki i ciężki, a ręka, zupełnie jak u zwykłego sejmowego szlachcica, poczęła macać się bezwiednie po boku, szukając karabeli.

Królowa zdrętwiała z przerażenia. Przykuta do miejsca, martwym wzrokiem patrzyła przed siebie nie mogąc znaleźć żadnego słowa ani gestu stojącego na wysokości położenia. Natomiast nuncjusz papieski, nie wychodząc ani na chwilę ze zwykłego spokoju, pochylił się jeszcze niżej do kolan królowej i obejmując jej drobne nóżki nieco wyżej, niżby na kornego suplikanta przystało, wzruszonym głosem zawołał:

– Królowo, ratuj Wiedeń!...

Ta chwila wytchnienia wystarczyła Marysieńce, aby zapanować nad sytuacją. Majestatycznym ruchem wyciągnęła rękę w kierunku Jana III, wskazując, iż tam swe prośby skierować należy.

A jego świątobliwość w jednej chwili znalazła się u kolan królewskich, wołając z coraz większym wzruszeniem:

– Królu, ratuj Wiedeń!

Tymczasem król Jan uspokoił się nieco, a nawet zawstydził swego uniesienia, widząc wysokiego dostojnika kościelnego u swoich kolan. Słowa nuncjusza poruszyły go do głębi. Wyprawa wiedeńska była jego cichym i głęboko ukrywanym z obawy przed Marysieńką marzeniem. Kolosalne wizje przyszłych zwycięstw i tryumfów przesunęły się nagle jak żywe przed okiem bohatera, podczas gdy drugie spoglądało nieśmiało i pytająco na żonę.

A twarz królowej Marysieńki okryła się jakąś nieziemską powagą i dziwny spokój i majestat brzmiał w jej głosie, kiedy podniósłszy oczy do góry rzekła:

– Jasiu, ratuj chrześcijaństwo...

.....
I Jaś uratował chrześcijaństwo...

ZŁOTY CIELEC

(z szopki)

Nuta: *Cielec złoty...* (*Faust*)

Staniszewski tu rządzi rad!
Wszyscy kadzą
Przed tą władzą,
Bo na kredycie stoi świat!

Kto się przed nim w proch nie korzy,
Kogo śmielszy zdradzi gest,
Tego głodem wnet zamorzy,
Wraz pognębi go pro-test.
Bo tam twardszy niżli stal
Popielecki prowadzi bal!
Staniszewski i bogów ćmi!
Wszak w swej chwale
On zuchwale
Z potęgi Lea nawet drwi!

Choć porządek stary pęka,
Chodź przywilej kurii trząśł,
On o mandat się nie lęka
Klucz pancernych dzierząc kas!
Wśród wyborczych mętnych fal
Sam Kowalski prowadzi bal!

PIEŚŃ O DWÓCH IGNACACH

Tempo polki

Dwóch Ignaców historycznych
Nasz Krakowek pieści,
Obrońców polskiego ludu –
Od siedmiu boleści!

Jeden L u d chce oswobodzić –
Przez cesarskie cięcie,
Drugi NARÓD wciąż ma w ustach
(Naród jego w pięcie).

Dziś się waży, kto powiedzie
Polskę ku przyszłości,
Na Wesołej w ferbla grają
Dziś o nasze kości!

Jeden Ignąc gębą miele,
Aż pękają mury,
Przyrządza z gruszek na wierzbie
Smaczne konfitury.

On p o d W i e d n i e m nas zasłaniał
Przed burżujskim brzuszkiem –
On Sobieskim naszym dzisiaj
(A Haecker Koszczuszkciem!).

O drugim Ignacu gadać –
Pustą czasu stratą,
Czyż to nie dość, że jest „polskim
Szczerym demokratą”?

Czym zostanie, dziś rozstrzyga
Się losów trafunkiem,
Czy kołtunów deputatem –
Czy zwykłym kołtunkiem...

Każda partia swego wspiera –
Wszak w tym święta racja,
Zatem „prawnie dozwolona”
Kwitnie agitacja!

Pan dyrektor instytucji
Woźnych swych zgromadza
I tłumaczy, że od Boga
Idzie wszelka władza.

Kanalarzy sam prezydent
Uprzejmie zachęca,
By raczyli głos swój cenny
Dać na Petelenza.

Nieboszczyków dziś do urny
Ciągnie szereg długi,
Jak Piotrowin dać świadectwo
Prawdy i zasługi.

Nieboszczyków „narodowych”
I w sokolim stroju
Ze czcią wita pan komisarz,
Prosi do pokoju.

Lecz nieboszczyk socjalista
Budzi okrzyk zgrozy,
Kropią go święconą wodą
I wiodą do kozy!

Łatwo zgadnąć, jakie były
Hecy tej wyniki,
Przepadł Ignac, co miał żywych,
Górą nieboszczyki.

Tak dziś poległ samozwańczy
Naczelnik Polaków,
Znaj, Ignacu, że GŁOS zmarłych
Szanuje nasz Kraków!

W ZAKŁĘTY DUCHA ŚWIAT...

„Powiedz, Kasienko, gdzie pędzisz tak bez tchu?” –

„Spieszę w czarowne kraje,
Śnione od wielu lat,
W mistyczne święte gaje,
W zaklęty DUCHA świat!”

„Powiedz, Kasienko, skąd wzięłaś taki strój?

Wszak niezdatny on przecie
Do nadpowietrznych jazd,
Nikt w zimowym żakiecie
Nie wzbil się w MROKI GWIAZD...

Jeszcze za ciężko, Kasiu, dla skrzydeł twych!

Ja znam prawa mistyki,
Więc mnie posłuchać chciej,
Zdejmij, Kasiu, buciki,
Zaraz ci będzie lżej...

Nie chcą cię, Kasiu, wpuścić do świętych wrót!

Tam chcą samej Kasienki,
Nie chcą tych ziemskich szmat,
Zdejmij, Kasiu, sukienki –
Tyś siostra, a jam brat...

Ciesz się, Kasienku, już tylko kilka chwil...

Wstrzymaj się jeszcze troszkę
U tych promiennych bram:
Zdejm choć jedną pończoszkę – –
Drugą ja zdejmę sam...”

Z ramion koszulka spłynęła Kasi już...

I gdy w szlachetnej dumie
Weszła w marzony próg,
Ujrzała się w kostiumie,
W jakim ją stworzył Bóg...

Wziął ją w ramiona bardzo płomienny duch –

I nauczył Kasienkę
W kwiecie jej młodych lat,
Jak przez Tworzenia mękę
Wchodzi się w czarów świat...

„TRUDNO INACZEJ...”

IMPRESJA

Urodziłam się z ojca i matki
W cichej sypialni,
Fakt, jak państwo widzicie, nierzadki –
Trudno banalniej...

Jak odbywa się to przejście łzawe,
Każdy odgadnie,
Pan Żeromski opisał tę sprawę
Bardzo dokładnie.

Zrazu jęłam oddychać forsownie
Mą piersią własną,
Choć zdziwiona byłam niewymownie,
Skąd jest tak jasno?...

Jakaś pani woła na drugą:
„Dawajże sznurka!”
Oglądała mnie potem dość długo
I rzekła: „córka”.

Miałam cienkie rączyny i nóżki,
Ciałko różowe,
Zawinięto mnie mocno w pieluszki
Po samą głowę.

Co chwileczkę potrzeba je było
Zmieniać na inne,
Ale znowu to samo robiło
Dziecię niewinne.

Wyciągałam rączęta do góry,
Gdy chciałam piersi –
Dawniej ludzie mniej mieli kultury,
Lecz byli szczerzy.

Rosłam sobie powoli i skromnie
Po centymetrze,
Psułam wszystko, co było koło mnie –
Nawet powietrze...

Darłam się jak lichy opętany –
Oto i wszystko;
Kto by myślał, że kiedyś zostanę
Taką artystką...

TRYUMFY NADPOWIETRZNE PANA RAJCHMANA

Wielka feeria awiatyczno-wokalna na jeden głos, z towarzyszeniem kilku aeroplanów.

Nuta: *Cake-walk*

(1. melodia)

Zasnęła Filharmonia,
Skończyła się agonია,
Już pana
Rajchmana
Gwiazda pogrzebana!
Gwiazda tak pełna blasku
Zaryła brzuchem w piasku,
Warszawo,
Płacz krwawo
Nad minioną sławą!

(2. melodia)

Przepadły śliczne
Rauty mistyczne,
Już diabli wzięli
Panią Toselli,
Z cygana Riga
Została figa,
Wszystkie te cuda
Pryśły jak złuda!...

(1. melodia)

Warszawa jak wymarła
Wzdycha z całego gardła:
„Ach panie
Rajchmanie,
Cóż się ze mną stanie!
Od czasu, jak cię nie ma,
Nikt tutaj nie wytrzyma,
Kto może,
Nieboże,
Ucieka za morze...”

(2. melodia)

I prasa cała
Chodzi ospała,

Katastrof szereg:
Skonał „Kurierek”,
W redakcji „Świata”
Nikt nie zamiata,
Biedny reporter
Nie wie, co porter...

(Trio)

Naraz z dalekiej strony
Przybiega wieść:
W niebieskie ktoś regiony
Zdołał się wznieść
I nad wszelakim krajem
Kursuje jak tramwajem,
A wszędzie lud zdumiony
Woła: „Cześć mu, cześć!”

Z dołu go wszystko śledzi,
Gdzie pędzi, gdzie?
On ostro w siodle siedzi,
Nie zadrzy, nie!
Naraz zawrócił w prawo
I nad samą Warszawą
Spokojnym ruchem skrzydeł
Z wolna spuszcza się...

(2. melodia)

Wszczyzna się wrzawa,
Pędzi Warszawa –
Lud cały wyległ
Jak główki szpilek,
Młodzieńce, dziewczki,
Całe Nalewki,
„To dżywne jazdy –
Gewidzial hast dy?”

(1. melodia)

I w oczach rzeszy tłumnej
Wysiada jeździec dumny,
Co w górze
Na chmurze
Wędrował w lazurze...
Lecz postać ta nadobna
Łudząco wszak podobna
Do pana

Rajchmana –
Wprost jak wykapana!...??

(2. melodia)

„Ludu Warszawy,
Syt nowej sławy,
Niosę me blizny
W służbę ojczyzny:
Powietrzne statki
Wiozę na ratki
Co gdy raz wzłata,
Leczi trzi lata...

A gdyby Wrighta
Spotkała plajta,
Komu ochota,
Mam i Bleriota,
Rzecz wszystkim znana,
Żem druh Farmana,
Wszystkie te ludzie
Są w mojej budzie –

Za kilka rubli,
Jak stado wróbli,
Heca nad hecą!
Zaraz tu wzlecą!
A potem który
(Przedpłata z góry),
Gdy uda mu się,
Wzleci w «Momusie»!

Cała muzyka
Nie warta przytka –
To wszystko farsa,
Ja wracam z Marsa,
Człowiek się przecie
Otarł po świecie,
Wszystkie Wagnery
To humbug szczery...

(1. melodia)

Więc dalej do przedpłaty,
Aeroplan na raty,
 Powyżej
 Tuzina
Rabat się zaczyna –

Kto tylko się poczuwa
Do czegoś, ten dziś fruwa;
Fruwanie
Rzecz główna,
Reszta wszystko – głupstwa...”

(2. melodia)

I miasto całe,
Jak oszalałe
Nową wielkością,
Niesie z radością
Wszystko, do gatek,
Za jeden statek;
Zastawia skórę,
By frunąć w górę...

Najpierwsza wzlata
Redakcja „Świata”,
Pan Krzywoszewski
Ma w oczach łezki,
Pruje powietrze,
Choć coraz bledsze
Są jego lica – –
Biedna ulica...

W powietrzu szczerem
Wolff z Gebethnerem –
Istna sielanka!
Już od poranka
Wśród atmosfery
Oba Kempnery,
Wszystko tak fruwa:
A Rajchman czuwa...

(1. melodia)

I jak z jednego gardła,
Hosanna się wydarła,
Lud cały,
Zdębiały,
Wznosi okrzyk chwały:
„Niech nas ten tryumfator,
Pan Rajchman, awiator
Skrzydlaty,
W zaświaty
Prowadzi – n a r a t y!”

POBUDKA GRUNWALDZKA

ulożona na obchód przez Stow. STRAŻ POLSKA oraz ZWIĄZEK TURYSTYCZNY¹⁴

Nuta: *Nasz pan cysarz we Wiedniu stoi*

Król Jagiełło pod Grunwald wali,
Z nim rycerze duzi i mali,
 Wszystkie gniazda sokole
 Z panem Turskim na czole,
Kto ma tylko „strój ćwiczebny”, rusza dziś w
 pole.
„Hej, Witoldzie, słusuj sam, bracie!
Czas już urwać łeb tej hakacie,
 Tyś jest żołnierz morowy,
 Poucinaj im głowy,
Dopieroż zakwitnie w Polsce PRZEMYSŁ KRAJOWY
Gdzie rycerska zgraja okrutna,
Z KORCZYŃSKIEGO namiot jest PŁÓTNA.

Tam Jagiełło zasiada,
Tam wojenna jest rada
I do swojej wiernej drużby tak król powiada:
„Niech przepadnie krzyżacka buta!
I ołówki pruskie Hardtmutha!
 Gdzie bojowy wre zamęt,
 Gdzie gwar srogi i lament,
Me rozkazy KARMAŃSKIEGO niesie ATRAMENT!

Naostrzyć mi miecze jak brzytwy



BRZYTWY I MIECZE przyjmje do ostrzenia
i uskutecznia takowe w przeciągu 24 godzin
L. KNAPIŃSKI, Św. Krzyża 7

I ruszajcie śmiało do bitwy;
 Chociaż który z was twarze
 We krwi własnej umaże,
DOBROWOLSKI nam dostarczy *gratis* BANDAŻE.

A gdy skończym z hordą przebrzydłą,
Podajcie mi z firmą «TLEN» MYDŁO!
 Ręce wszak obmyć muszę
 Po tej krzyżackiej jusze,
PUDREM HAYA twarz spoconą niechaj osuszę!

¹⁴ Wszystkie anonsujące firmy ofiarują 20% opustu okazicielowi niniejszej książeczki.

Gdy już trupem pole zaścielem,
Zasiądziemy z wielkim weselem,
 Będziemy jedli bez przerwy
 ŚLIŻYŃSKIEGO KONSERWY,
A tymczasem sępom, krukowi idźcie na żer wy!

Zaś po wojnie – Bogu ślub czynię
Ufundować zacną świątynię,
 Wdzięczność naszą okażem
 Ponad wielkim ołtarzem
W cenie kosztów ŻELEŃSKIEGO pięknym WITRAŻEM”.

Skończyły się wreszcie gonitwy
I ośmiogodzinny dzień bitwy:
 Szczęśliwie się powiodło,
 Pod MAKOWSKIEGO SIODŁO
Nasza wiara przytroczyła tę zgraję podłą.

Wraca do dom wojska huf męzny,
Każdy ma swój BILET OKREŻNY,
 Wiwat armia siarczysta,
 Wiwat ziemia ojczysta
I niech żyje król Jagiełło, polski turysta!

KILKA SŁÓW O PIOSENCE

Sokrates, warum treibst du keine Musik?...
(Nietzsche, *Geburt der Tragödie*)

Było to w Paryżu, któregoś wieczora wałęsałem się wzdłuż bulwarów, gdy nagle zbudził mnie z zamyślenia głos przeraźliwie donośny a zachrypiły, który śpiewał, a raczej, mówiąc ściśle, darł się, co następuje:

*Moi j'aime
la femme
à la folie...*

Zdumiony tym niespodzianym publicznym wyznaniem, zwróciłem głowę i ujrzałem następujący obraz: mały sklepik o ścianach pokrytych od podłogi do sufitu edycjami piosenek, na środku zaś olbrzymi gramofon, z którego mosiężnej gardzieli wychodziły chrypliwe a namiętne dźwięki słyszane przed chwilą. Naokoło tłum ludzi, mężczyzn i kobiet, przeważnie ubogo lub skromnie odzianych, powtarzających półgłosem za tym idealnie cierpliwym i niezmeńczonym nauczycielem kuplet piosenki. Za chwilę fala ludzka wydobyła się na ulicę nucąc już płynnie:

*Moi j'aime
la femme
à la folie...*

a wraz nowy tłum przechodniów opanował sklepik. W ten sposób „piosenka dnia” znajduje się w przeciągu kilku godzin na ustach wszystkich, aby nazajutrz ustąpić miejsca innej i zginąć w niepamięci.

I nigdy tak wyraźnie jak wówczas nie odczułem, czym jest we Francji piosenka: jedną z elementarnych potrzeb egzystencji, artykułem spożywczym tak ważnym i niezbędnym jak wino i mąka. To tło trzeba czuć, aby zrozumieć ów *genre* literacki, który wykwitł z wrodzonej potrzeby odczuwania nie tylko gwałtownych wzruszeń, nie tylko wielkich smutków i radości, ale wprost najpowszedniejszych zjawisk życia codziennego w rytm piosenki.

Stworzenie temu kultowi piosenki trwałej świątyni, a zarazem rynku zbytu, było dziełem głośnego Salisa, twórcy „Chat-Noiru”. Salis, przy całej „bohémie” obdarzony wielką praktycznością i niepospolitym talentem organizacyjnym, przeczuł kopalnię złota w tych fajerwerkach dowcipu i szalonych pomysłach, spalanych codziennie z wielkopańską rozrzutnością wśród koleżeńskich zebranych malarskich pracowni i knajp literackich. Rezultat przeszedł najświetniejsze oczekiwania – dla niego samego i dla nowego *genre'u* literatury. Z otwarciem tego krateru z żywiołową siłą buchnęły talenty zdumiewająco silne i różnorodne. Sentymentalna, urocza piosenka Delmeta, szerokie, dramatyczne akcenty „Tyrteusza Montmartre'u”, Marcela Legay – obok krwawych strof Bruanta, w których migota błysk noża apasza, obok niezmordowanego wabienia samicy u Gabriela Montoyi, werwy satyrycznej Ferny'ego i tylu., tylu innych. Każdy z tych twórców-śpiewaków stwarza swój własny, odrębny rodzaj i każdy jest w nim do dziś dnia nieprześcignionym mistrzem. Z czasem wybuch ten uspokaja się nieco i piosenka płynie spokojniejszym, uregulowanym łóżyskiem. Szalone improwizacje ustępują miejsca doskonałej literackiej fakturze; znika coraz bardziej rodzaj *macabre* (Jehan Rictus), dominuje natomiast *chanson d'actualité*, będąca najczęściej *chanson rosse* (Fursy, Bonnaud, Numa Blès, Hyspa i inni). Jest to śpiewana migawkowa kronika bieżącego życia od najdrobniejszych wydarzeń miejscowych aż do największych faktów politycznych, traktowanych co najmniej równie lekko. Ot, bierze się trochę życia na

słomkę i wydmuchuje bańki okrągłe, błyszczące i niknące w chwilę po urodzeniu.

Rozumie się samo przez się, że stałym, niejako oficjalnym przedmiotem nieskończonych konceptów i zabawy jest przede wszystkim pomazaniec narodu, prezydent Republiki. Można by mieć wrażenie, że każdorazowy prezydent tak długo zasiada na swoim *quasi*-królewskim krześle, dopóki piosenka nie wyciśnie z jego osoby i sytuacji całej możebnej sumy humoru i komizmu: po czym, siłą rzeczy, naród musi przystąpić do wyboru nowej głowy. Wraz ze swoim naczelnikiem dzieli ten los każdorazowy rząd, bez względu na jego wartość i istotę. I zaprawdę, niebezpiecznym jest objawem dla osobistości politycznej, jeżeli nazwisko jej nie defiluje stale w szarżach paryskich kabaretów. Nie z byle kogo Paryż śmiać się raczy i nie lada znaczenia i popularności trzeba, aby na to wyróżnienie zasłużyć. I nie jest to bynajmniej satyra polityczna wynikła z bólu, z siły przekonania; jest to raczej owa *blague* w najlepszym paryskim znaczeniu: obracanie w świetle dowcipu wszystkimi powierzchniami danego przedmiotu, aby zamigotał całym snopem iskierek wesołości.

A zresztą zdaje się, że te zakłady, w których co wieczora ośmiesza się dobrodusznie a dotkliwie oficjalnych reprezentantów narodu, zdobyły sobie już stanowisko wprost jako instytucje użyteczności publicznej. Jako dowód może świadczyć, że jeżeli jakiś utalentowany piosenkarz „*engueule le gouvernement*” przez szereg lat i czyni to ze znacznym powodzeniem, to zostaje nagrodzonym przez ten sam *gouvernement* „palmami” akademickimi (mało zresztą szanowanymi na estradzie kabaretowej); jeśli zaś ataki jego odznaczają się szczególniejszą werwą i dowcipem, to może marzyć i o czerwonej wstążeczce Legii Honorowej. Być może, że jest w tym traktowaniu rzeczy i głębszy podkład: że piosenka jest tą klapą bezpieczeństwa, którą niewinnie wyładowują się stale wszelkie niezadowolone nie grożące niebezpiecznym nagromadzeniem. Kto się śmieje, ten nie jest groźny; podejrzani są tylko ci ludzie, którzy się nigdy nie śmieją. Będąc przed laty po raz pierwszy w Paryżu zakochałem się od pierwszej chwili w paryskiej piosence, szukałem jej wszędzie, refreny jej dźwięczały mi bez ustanku w uszach. Kiedy po latach kilku znowu danym mi było usłyszeć starą a tak nieskończenie wesołą, klasyczną nutę „*Chat-Noiru*”:

*Un jeune homm' venait de se pendre
Dans la forêt de Saint-Germain*

czułem, że jak Sienkiewiczowskiemu latarnikowi (jeżeli wolno użyć tego porównania) łzy napływają mi do oczu. Miłość ta byłaby najpewniej zesłała ze mną do grobu bez konsekwencji, gdyby nie powstanie krakowskiego „Zielonego Balonika”, które wydobyło z każdego z nas jakieś ziarenko wesołości, drzemiące przeważnie dość głęboko wobec niewesoło usposabiających warunków naszego życia...

Pisane w r. 1907

W ścisłym przyjacielskim kółku, bez myśli o prasie drukarskiej, rodziły się te piosenki przeznaczone na zabawę jednego wieczoru. Dziś, kiedy po kilku latach przeglądam je przed powtórny oddaniem do druku, spostrzegam, iż wiele z nich już trąci myszką, wiele kreślonych na kolanie razi dotkliwie swym niedbalstwem moje klasyczne zamiłowanie; niechaj jednak znajdą się tu razem jako historyczny dokument owego przelotnego okresu, w którym niewinna wesołość i pustota stukały nieśmiało i boczną furteczką do wrót „pałaców sterczących dumnie” naszej bardzo dostojnej pani Literatury.

Kraków, w r. 1912

[GDY KTO KUPI SOBIE PLACYK...]

Gdy kto kupi sobie placyk,
Aby zbudować pałacyk,
Czym najlepszy gust okaże?
Wprawiając szybko witraże.

Gdy kto pokumał się z biesem
I duszę zgubił z kretesem,
Czym przewiny swoje zmaże?
Fundując wielkie witraże.

Gdy odwieczny wróg bez sromu
Gnębi nas we własnym domu,
Czym żywotność swą okażem?
Tylko Wawelskim witrażem.

Urzędnik – nie wie, co zrobić,
Chciałby domek przyozdobić,
Ale ma zbyt szczupłą gażę –
Daję na spłaty witraże.

A jeżeli mam grobowiec,
Jak tu go przystroić, powiedz?
Jak uwiecznić zmarłych twarze?
Daj te gęby na witraże.

Gdy się ma fabryczkę własną,
W Europie trochę ciasno,
W Ameryce się pokażę –
Do you kauf the uaiteraże?

Patrzą Indian dzikie szczepy
Ściskając w rękach oszczepy,
Cóż im niosą blade twarze?
Wybieraj: śmierć lub witraże!

Pożar zniszczył kościół cały,
Tylko gruzy się zostały.
Cóż przetrwało po pożarze?
Beton, mozaika, witraże.

Ale dziś jesteśmy przecie
Między swymi, w kabarecie,
Cóż pan tutaj nam pokaże?
...Trzeba zmienić te witraże.

PIEŚŃ O STU KORONACH

Któż za młodości płochych lat
Nie lubił grywać w bakarata? –
Gdy ostatniego wezmą blata,
Ponuro się przedstawia świat.
Właśnie pociągnąć passę masz,
A tu pytają: gdzie pieniądze?
Tak smutnie po ulicach błądzę,
Gdy wtem znajomą widzę twarz!

Przyjacielu, powiadam mu,
Potrzebuję gwałtem koron stu,
Jak tylko trochę odegram się,
Z wdzięcznością oddam je.

Cynicznie tylko rozśmiał się,
Popatrzył na mnie jak na bzika,
W bocznej ulicy szybko znika,
I gdzież ja teraz pójdę, gdzie?
Za chwilę szabes – pierwszy zmrok,
Drobnych w kieszeni ani troszkę –
Mniejsza z tym, wołam na dorożkę,
Na Kaźmierz każę pędzić w skok.

Panie Gajer, mówię bez tchu,
Potrzebuję gwałtem koron stu,
Jak tylko trochę odegram się,
Z procentem oddam je.

Popatrzył na mnie bestia Żyd –
Jakie sto? niechże pan ochłodnie:
Jak pan ma sprzedać stare spodnie,
Bierz pan trzy reńskie i sy git.
Przeklęte bydłę, jeszcze drwi!
Rozpaczą na wpół obłąkany
Pędzę do mojej ukochanej,
Z bijącym sercem wchodzę w drzwi:

Ukochana, przybiegłem tu,
Potrzebuję gwałtem koron stu,
Jak tylko trochę odegram się,
Z wdzięcznością oddam je.

Najdroższy, w tobie szczęście me
– Powiada słodka ta istota –
Chciałabym mieć kopalnię złota,

Każde życzenie spełnić tve,
Lecz koron sto... w tak krótki czas...
Próżno się biedna myśl wyteża...
Ach, wiem już, wiem, poproszę męża,
Właśnie pieniądze ma jak raz!

Drogi mężu, powiada mu,
Potrzebuję zaraz koron stu,
Przyszedł rachunek za suknie dwie,
Więc go zapłacić chcę.

Takie głosy słyszę przez drzwi,
Naraz zmieszany mąż wypada –
Obie ręce szeroko rozkłada
I na szyję rzuca się mi.
Powiada tak, ściskając mnie:
Przyjacielu, wiesz, jak cię lubię –
Zgrałem się wczoraj do nitki w klubie,
A żonie boję przyznać się.

Wybaw mnie z sytuacji tej
I koron sto pożyczyć chciej,
Jak tylko trochę odegram się,
Z wdzięcznością oddam je.

Patrzę na niego błędny wpół...
To jakiś istny dom wariatów –
I potykając się wśród gratów,
Szybko po schodach zbiegam w dół.
Och, rozpacz mnie ogarnia już –
Noc już zapada, czas ucieka –
Nie zapłacony fiakier czeka,
O szóstkę wypadł z pyskiem stróż.

Przyjacielu, powiadam mu,
Idę właśnie szukać koron stu,
Jak tylko znajdę pieniądze te,
Dam ci szóstki aż dwie.

Fiakrowi robiąc pański gest,
W krąg objechałem całe miasto;
Dawałem procent dwieście za sto,
Wszędzie mi mówią: zastaw jest?

Moi państwo, przyszedłem tu,
Potrzebuję na fiakra koron DWU,
Jak tylko odegram się,
Z wdzięcznością oddam je!

KRAKOWSKI JUBILEUSZ

[fragment]

Chociaż zrodzić tutaj mi się
Nie dały wyroki boskie,
Słusznie jestem w ludospisie
Za dziecko liczon krakowskie:

Tum mą młodość spędził całą,
Mieszkam z górą lat trzydzieście,
I powiedzieć mogę śmiało,
Znam się trochę na tym mieście.

O, bo Kraków to nie płochę
Dziewczę, skore do swywoli:
Kraków, aby poznać trochę,
Trzeba zjeść z nim beczkę soli.

Kraków to nie młodzik lada,
Z tych, co pozorami gardzą:
W senatorach on zasiada
I dekorum lubi bardzo.

Toteż spoci się porządnie,
Nim kto przejrzy wskroś nasz Kraków,
Nim w labirynt tajny wglądnie
Naszych tu masonskich znaków;

Gość, co wpadnie doń przelotny,
Za wrażeniem goniąc żywszym,
Zmyka od nas wnet markotny
I z pojęciem najfalszywszym;

Bo choć, brodząc w ulic smutku,
Weselszej nie spotkał twarzy,
Nigdzie tyle, co w tym gródku,
Nie masz tęgich, cichych kpiarzy.

Pożyj z nami dłużej nieco,
A zobaczysz, gościu miły,
Jak tu chwilki słodko lecą,
Jak uśmiejesz się co siły;

Jak w tym świecie matron, powag
Zyskasz wprawę niepoślednią,
Aby zawsze, tak czy owak,
Zabawić się jakoś przednio.

Lecz nad wszystkie inne cuda
Jest tu frajda ulubiona,
Co, kiedy się dobrze uda,
Mało z śmiechu się nie skona.

Przy niej z konia wysokiego
Tak cię wydrwią, dobry człecze,
Że za lat pięćdziesiąt tego
I sam Hösick nie dociecze.

[KASZTELAN LUDWIK SOLSKI]

Kasztelan Ludwik Solski
Pierwszy teatr ma polski,
Fredrowski, nie Marchołtski.

A Sowizdrzał nieboże
Stroi hotel, jak może,
I Fryczem samym orze.

Kasztelan ma aktory
Tudzież dziewczki – jamory
Oraz inne rozwory.

Sowizdrzała aktorki
Skaczą jak młode wołki,
Sztuki chudopachołki.

Kasztelan do wyręki
Ma małżonki swej wdzięku:
Stylizowane jęki.

Sowizdrzał musi w gości
Spraszać drogie jejmości,
Nikt nie zagra z miłości.

Kasztelan ma Burkhardy,
Spitziary, krawców gwardy,
Z Siemiradzkiego hardy.

Sowizdrzał fara chuda
Nie ma tak mnogo luda,
Frycz wszystkie lepi cuda.

Szpitziar za swe potwory
Wynosi złota wory
Z Pana Solskiej komory.

A Fryczek za swe cudy
Jako był – będzie chudy,
Frycem go przezwą ludy.

Kasztelan dla swej sceny
Ma Strindbergi, Ibseny,
Żuławskie wielkiej ceny.

Sowizdrzał ma Buchnerty,

Perzyńskie i Neuwerty,
Caillavety i Flerty.

Tak to obaj rywale
Mieli nierówny los wcale,
Ten w gnoju – a ten w chwale.

Przez tak różne wyniki,
Gdy oba zawodniki
Wyprawiali te same fi-gli-ki.

(silne akordy w muzyce)

r. 1907

[KIEDY PO PROSTU OKRĘCI O GŁOWĘ]

Kiedy po prostu okręci o głowę
Swoje warkocze długie, ciemnopłowe,
I spojrzy spod nich łagodnie jak trusia,
Rzekłbyś: ot, swojska, poczciwa Jagusia.

Lecz nie dowierzaj zbyt tej prostocie!
Bo oto chwila nie minęła jeszcze,
Jak w tych źrenicach jakieś błyski kocie
Czają się, dziwne niecąc wkoło dreszcze.

W tej samej chwili ta prosta i szczerza
Dziewczyna polska, z polskim niebem w oku,
Pręży się niby królewska pantera,
Węsząc krew świeżą, gotowa do skoku.

Więc, odurzony przez tej pani śliczność,
Wnet przed zjawiskiem stajesz niepojętem,
I chciałbyś wiedzieć, „z kimże okoliczność”
I co w niej prawdą jest, a co talentem?

Czy z nią w dożynki pomknąć obertasa?
Czy naga rzucić na kosztowne futra?
E r d g e i s t? czy tylko „kółeczka u pasa”?
Śluby panieńskie, czy też Kamasutra?...

Łatwiej podziwiać jest ten urok rzadki,
Jakim w jej ustach skrzy się każda głoska,
Niżli klucz znaleźć drażniącej zagadki,
Mającej godło: JADWIGA MROZOWSKA...